



Wymiana Łukaszenki na kogoś innego byłaby szalenie ryzykowna dla Rosji

● Nie tylko pornografia stanowi dziś koszmarnie zagrożenie ● Dziesięciu z Pawiaka

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV

GŁOS DZIENNIK POMORZA **POMORZA**

Piątek
19.05.2023

Nr 115 (4967)
Nakład: 14.340 egz.

www.gp24.pl
Cena 4,90 zł (w tym 8% VAT)

LUDZIE BIEGOWA PASJA ZBIGNIEWA SZKUDLARCZYKA

Siedem maratonów na siedmiu kontynentach



Ma 70 lat i może się pochwalić tym, że biegał po Antarktydzie. Nie tylko jako nieliczny Polak, ale także jako nieliczny mieszkaniec Ziemi

TYGODNIK REGIONÓW - STR. 16-17

Zdrowie. Panu Pawłowi dawano trzy tygodnie życia. Od przeszczepu minęły 22 lata. Pan Paweł ma się świetnie

TYGODNIK REGIONÓW - STR. 12

Edukacja. Szkoła jest po to, by ludzi uczynić przyzwoitymi i uczciwymi

TYGODNIK REGIONÓW - STR. 15

Zdrowie. Każdy, kto przechodził ospę wietrzną, może zapaść na półpasiec
str. 2

Region. Wrak auta, w którym imprezowała młodzież, w końcu zniknął
str. 3

Region. Z programu Maluch+ będą dodatkowe miejsca w żłobkach
str. 3

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



Wiara. Rocznica kanonizacji świętego Andrzeja Boboli - kapłana i męczennika, patrona Polski

TYGODNIK REGIONÓW - STR. 14



Historia. Gdzieś wśród 200 statków, które zatoniły na Morzu Północnym, jest również ORP Orzeł

TYGODNIK REGIONÓW - STR. 18-19

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA

● Niby senior, ale za to, jaki ma voice! Śpiewna historia

PONIEDZIAŁEK

● Sportowy24: Pogoni za brązowym medalem

WTOREK

● Strefa Biznesu: Czytaj o tym co w gospodarce

ŚRODA

● Strona Zdrowia: Stwardnienie rozsiane: początki

CZWARTEK

● Pod paragrafem: Rififi w Bydgoszczy. Skok, że ho!

PIĄTEK

● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Półpasiec: każdy, kto przechodził ospę wietrzną, może zapaść na tę chorobę

opr. Grażyna Rakowicz
Rozmowa

Z prof. dr hab. n. med. Leszkiem Szenbornem, wiceprzewodniczącym Polskiego Towarzystwa Wakcynologii.

Prawie każdy z nas w dzieciństwie przechodził ospę wietrzną. Jednak niewiele osób wie, że wiąże się z nią inna choroba, na którą możemy zapaść w każdym momencie naszego życia. Pan pozwoli, że przyjrzymy się jej w naszej rozmowie. Proszę bardzo. Mowa o półpaścu, który jest drugą, wtórną postacią zakażenia wirusem ospy wietrznej. Rzeczywiście nie wszyscy o tym wiedzą.

Według prowadzonych dotychczas badań ocenia się, że jedna na trzy osoby zachoruje na półpasiec w ciągu życia. Gdzie i jak w organizmie ten wirus czeka, żeby potem się ujawnić?

Wirus, o którym mówimy, lokuje się w komórkach układu nerwowego, zwojach przykręgosłupowych czy zwojach nerwów czaszkowych i jest tam nieśmiertelny. Nie wiąże się z jądrem komórek, ale czeka sobie spokojnie, aby się reaktywować. To nie musi być moment ciężkich zaburzeń odporności, dlatego nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kiedy ani w jakim miejscu dojdzie do ujawnienia się drugiego oblicza zakażenia tym wirusem. A właśnie od tego miejsca zależy poziom złośliwości choroby. Drogą nerwów czuciowych, w których pierwotnie przetrwał, półpasiec wędruje w naszym ciele do skóry i objawia się w postaci rumienia, wysypki pęcherzykowej czy owrzodzenia.

Czy to prawda, że dopiero wtedy można go bez żadnych wątpliwości bardzo łatwo rozpoznać?

No cóż, to wszystko się zgadza. Po prostu występuje po jednej stronie ciała w postaci zgrupowanych, zlewających się pęcherzyków, na rumieniowym podłożu. Tak to wygląda.



FOT. MADESLANE

Leszek Szenborn: - Nie da się przewidzieć, kiedy zaatakuje nas półpasiec. Ani kiedy, ani w jakim miejscu to zrobi

Powróćmy jeszcze do przeprowadzonych dotychczas badań. Z nich wynika, że ryzyko zachorowania wzrasta gwałtownie po 50. roku życia. Dlaczego?

Rzeczywiście tak jest, choć półpasiec zdarza się też u tych dzieci, które zakażenie wirusem ospy wietrznej przeżyły w życiu płodowym albo we wczesnym dzieciństwie. Natomiast cztery z pięciu wszystkich przypadków półpaśca - we wszystkich krajach świata i niezależnie od rasy - to właśnie ludzie po pięćdziesiątce. Szczególnie w tych krajach o wyższej przeżywalności.

Czy możemy powiedzieć, od czego zależy intensywność tej choroby? Czy to wciąż jest dla nas swego rodzaju tajemnicą?

Z reguły tego nie wiemy. Ale to nie oznacza, że jesteśmy zupełnie bezsilni. Natomiast możemy podejrzewać, bardzo ciężki przebieg półpaśca u osób z zaburzoną odpornością komórkową. To są na przykład pacjenci zakażeni wirusem HIV czy po przeszczepach. Jednak, o ciężkości półpaśca stanowi nie tylko samo zakażenie i wysypka, ale też jego lokalizacja. I tak: jeśli ulokuje się on na nodze i nie występują nerwobóle, to nie jest on tak wielkim problemem jak półpasiec na głowie. Chodzi szczególnie o postać oczną czy uszną, które nie dość, że powodują ból i nas okaleczają, to jeszcze na dodatek trwale oszpecają.

Ten ból towarzyszy w ostrzeżeniu choroby, jak i bardzo często długo po zakażeniu.

Mamy trzy fazy bólu związanego z półpaścem. Pierwsza to wspomniana przeze mnie przeculica. Druga faza to bardzo dotkliwy ból ostry, który utrzymuje się około miesiąca. I trzecia faza - neuralgia popółpaścowa, rozpoznawana w sytuacji, gdy ból ten utrzymuje się powyżej 90 dni. Zdarzają się też rzadkie powikłania, w postaci zapalenia naczyń. Jeżeli do nich dochodzi w ośrodkowym układzie nerwowym, to efektem może być udar.

Przed nami bardzo ważne pytanie. Czy chory może zarażać?

Niestety, tak. To jest przecież osoba, która aktywnie wydalą wirusy. W przypadku półpaśca ta zaraźliwość jest ograniczona i związana z lokalizacją. Jeśli jest on na oku lub na śluzówkach jamy ustnej, to będzie bardziej zaraźliwy od tego zlokalizowanego pod ubraniem.

Przed półpaścem możemy się łatwo chronić.

Tak, ale tę możliwość mamy dopiero od niedawna. Dostępna jest tak zwana szczepionka zabita, która może być stosowana nawet u osób z wysokim ryzykiem wystąpienia półpaśca, czyli u tych z chorobami współistniejącymi i z zaburzoną odpornością. Badania potwierdzają, że jest ona bezpieczna i pozostawia odporność na dłuższy czas. Aby uzyskać optymalną ochronę, trzeba koniecznie przyjąć dwie dawki tej szczepionki. W Polsce rekomendujemy je wszystkim osobom po 50. roku życia oraz tym, które skończyły 18 lat i są obciążone dodatkowymi czynnikami ryzyka. Szczepionkę należy proponować pacjentom poradni onkologicznych, po przeszczepach, chorym z wirusem HIV i z tak zwanymi chorobami reumatologicznymi. Szczepionka nie nadaje się niestety do profilaktyki ospy wietrznej.

ŹRÓDŁO: STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

KALENDARIUM

19 MAJA URODZILI SIĘ

1910
Władysław Szczepaniak, piłkarz, obrońca, symbol Polonii - z warszawskim klubem był związany przez całą karierę. W reprezentacji Polski debiutował w 1930 r. w meczu ze Szwecją, ostatnie spotkanie rozegrał już po wojnie, w 1947 r. Łącznie w biało-czerwonych barwach rozegrał 34 mecze, wielokrotnie pełniąc funkcję kapitana, także w historycznym spotkaniu z Brazylią na mistrzostwach świata w 1938 r., przegranym przez Polaków po dogrywce 5:6.

1925
Malcolm X, jeden z przywódców ruchu afroamerykańskiego w Stanach Zjednoczonych. Zginął 21 lutego 1965 r. podczas wiecu w Harlemie, na którym miał przedstawić status Organizacji Jedności Afroamerykańskiej.

ZMARLI

1480
Jan Długosz, historyk, kanonik krakowski. Jest autorem opisu historii Polski 12-tomowego dzieła „Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego”.

1912
Bolesław Prus, właściwe nazwisko Aleksander Głowacki - pisarz i publicysta okresu pozytywizmu. Jest między innymi autorem powieści: „Płocówka”, „Lalka”, „Faraon”, „Anielka”, „Emancypantki”.

1935
W wypadku motocyklowym zginął Thomas Edward Lawrence, znany jako Lawrence z Arabii, orientalista, pisarz, agent wywiadu brytyjskiego i realizator polityki brytyjskiej na Bliskim Wschodzie w czasie I wojny światowej.

1965
Maria Dąbrowska, pisarka, eseistka, dramatopisarka, tłumaczka literatury duńskiej, angielskiej i rosyjskiej. Jest między innymi autorką „Nocy i dni”, „Dzienników” oraz zbiorów opowiadań: „Marcin Kozera”, „Znaki życia”.

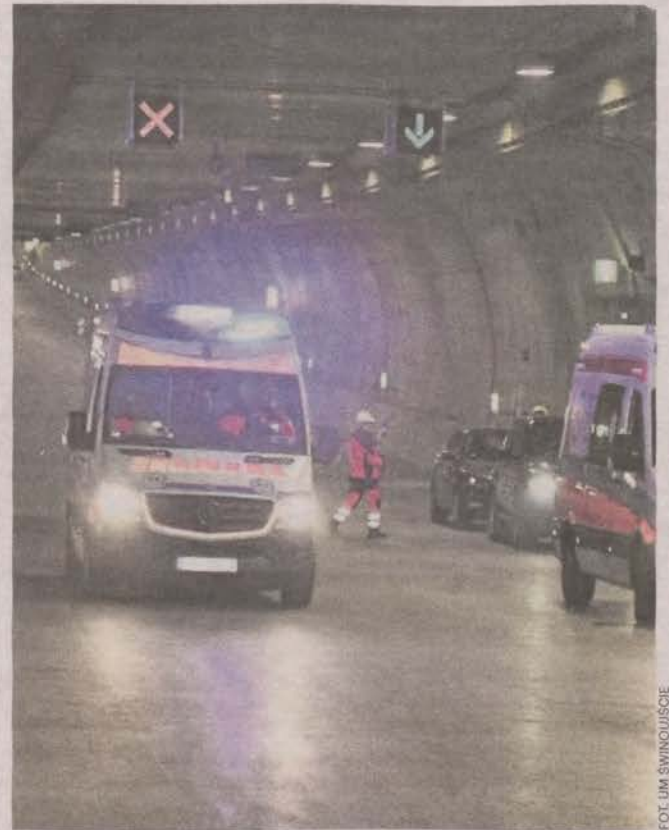
1997
Teresa Tuszyńska, aktorka - grała jako amatorka, mimo to do historii polskiego kina lat 60. XX w. przeszły jej role w filmach: „Do widzenia, do jutra”, „Tarpany”, „Rozwódów nie będzie”, „Praskie noce”, „Kto wierzy w bociany”, „Cała naprzód”.

ZŁOWIONE W SIECI



GRAFIKI: WORLDGEOGRAPHY

ZDJĘCIE TYGODNIA



FOT. UM ŚWINOUJŚCIE

W tym tygodniu przez tunel pod Świną testowo przejeżdżały karetki pogotowia. Na budowie trwają też ostatnie prace wykończeniowe. Były już próby zadymiania i rozpalania ognia, aby sprawdzić systemy wentylacyjne i przeciwpożarowe, teraz tunel mogli przetestować ratownicy medyczni z pogotowia ratunkowego w Świnoujściu i Międzyzdrojach. Sprawdzali m.in. czas przejazdu przez tunel, ale także możliwości zrobienia korytarza życia

REKLAMA

0010811037



**Wy
zmieniacie
najbliższe Wam otoczenie**

Maluch+ to dużo więcej miejsc w żłobkach, a samorzady chętnie sięgają po pieniądze

Wojciech Lesner
Region

Blisko 380 milionów złotych trafi do pomorskiego na utworzenie ponad 7000 miejsc opieki w żłobkach i klubach dziecięcych. Fundusze pochodzą z rządowego programu. Z dofinansowania skorzystają również gminy z regionu słupskiego.

Wnioski o dofinansowanie z programu składać mogły gminy, ale też podmioty prywatne. Nadrzędnym celem rządowego przedsięwzięcia jest likwidacja tzw. białych plam, czyli gmin, w których do tej pory nie funkcjonowały miejsca opieki dla dzieci do lat trzech. W latach 2016-2021, czyli od początku istnienia programu udało się utworzyć łącznie 7693 nowe miejsca opieki w żłobkach, klubach dziecięcych i u dziennych opiekunów. Dzięki kolejnej edycji programu tę liczbę uda się nie-



W Żłobku nr 1 przy ul. Andersa w Słupsku dzięki dofinansowaniu z programu Maluch+ utworzone zostaną 72 dodatkowe miejsca dla dzieci

mal podwoić (jej budżet to pięć i pół miliarda złotych).

- Poprzez programy społeczne takie jak Maluch+ inwestujemy w polskie rodziny, pomagając im w łączeniu życia zawodowego z rodzinnym i ułatwiając wychowanie dziecka. Wymazujemy miejsca na mapie, gdzie nie ma

dostępu do miejsc opieki nad małymi dziećmi - powiedział wojewoda pomorski Dariusz Drelich podczas konferencji prasowej poświęconej rozstrzygnięciom w kolejnej edycji programu.

Pieniądze przeznaczone na realizację założeń programu trafią już po raz ko-

lejny również do samorządów z regionu. Słupsk ma otrzymać około trzech milionów złotych na stworzenie i kilkuletnie utrzymanie dodatkowych 72 miejsc opieki dla dzieci w Żłobku nr 1 przy ul. Andersa. Tym samym, liczba miejsc w tej placówce zwiększy się do 177.

- Słupsk jest na etapie składania oświadczenia o przyjęciu dofinansowania - poinformowała „Głos” Monika Rapaciewicz ze słupskiego ratusza.

W ramach poprzednich edycji programu „Maluch+” w Słupsku były tworzone już dodatkowe miejsca w żłobkach. W 2016 r. dofinansowanie pomogło na utworzenie dziesięciu miejsc w Żłobku nr 3 przy ul. Łukasiewicza, w 2018 r. za otrzymane środki zwiększona została o 30 liczba miejsc w Żłobku nr 1 i Żłobku nr 3. W 2019 r. przybyło 40 miejsc w Żłobku nr 2 przy al. 3 Maja.

Oświadczenie o przyjęciu dofinansowania złożyła już gmina Dębica Kaszubska. Do samorządu trafią ponad trzy miliony złotych. Taka kwota pomoże w sfinansowaniu budowy żłobka przy Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Dębicy Kaszubskiej i stworzeniu w nim aż 80 miejsc opieki dla dzieci. To będzie ważna inwestycja dla gminy, bowiem jest ona jedną z owych „białych plam”

na mapie Polski. Samorząd planuje uruchomienie żłobka w 2026 r. i zakłada, że liczba miejsc dla najmłodszych zaspokoi potrzeby mieszkańców gminy.

„Maluch+” ma szansę być realizowany także w gminie Kobylnica. Przyznane samorządowi dofinansowanie pozwoli na utworzenie 32 miejsc opieki dla dzieci do lat trzech.

- Gmina nie prowadzi placówek żłobkowych. Analizujemy nasze możliwości utworzenia żłobka na naszym terenie w ramach programu „Maluch+” - przekazała „Głowski” Iga Bekiesza, kierownik Działu Oświaty i Sportu w Centrum Usług Wspólnych w Kobylnicy. - Z poprzednich edycji programu „Maluch+” dofinansowanie na nowe miejsca dla dzieci uzyskał niepubliczny żłobek Kraina Malucha w Bolesławicach.

Dofinansowanie z programu „Maluch+” zostało przyznane również gminie Ustka na utworzenie 30 miejsc w żłobku i gminie Kępice (16 miejsc). ©©

Wrak nareszcie zniknął sprzed komisariatu

Sylwia Lis
Region

Kilkanaście dni pod oknami policjantów z Miastka stał zniszczony samochód dostawczy. Okoliczni mieszkańcy skarżyli się, że wrak stał się miejscem spotkań przy alkoholu i regularnych imprez. Co na to stróża prawa i porządku?

Kilka dni temu mieszkańcy Miastka zaalarmowali „Głos”,

że we wraku samochodu dostawczego, który stał w pobliżu komisariatu policji, odbywały się młodzieżowe imprezy.

- Co tam się działo to wołało o pomstę do nieba - twierdziła nasza czytelniczka.

Sytuacji sprzyjał fakt, że w pobliżu budowany jest skatepark, co przyciąga młodych.

Czytelniczka była bardzo zbulwersowana, że rozbity samochód stał tuż pod oknami komisariatu. - Policjanci na-

prawdę nie widzą, co się w nim dzieje - pytała?

Zainteresowaliśmy się sprawą, ale dopiero po kilku dniach otrzymaliśmy odpowiedź z Komendy Powiatowej Policji w Bytowie, której podlega komisariat w Miastku. Nasza interwencja okazała się skuteczna.

- Policjanci podczas codziennej służby kontrolują teren budowy skateparku i w razie uzasadnionej potrzeby legitymują przebywające tam

osoby - wyjaśnia Dawid Łaszczyk z bytowskiej KPP. - Rozbity pojazd był na terenie budowy, został już usunięty przez właściciela. Dodatkowo w ramach własnych spostrzeżeń mundurowi zawnieśli do zarządcy terenu Urzędu Miejskiego w Miastku o uzupełnienie tabliczek ostrzegawczych dotyczących prowadzonych prac budowlanych oraz o ogrodzenie terenu przed dostępem osób postronnych. ©©



Wrak samochodu dostawczego był przez kilkanaście dni miejscem młodzieżowych imprez

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 16 maja 2023 r. odszedł w wieku 68 lat

śTp
Piotr Wójcik

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się 20 maja 2023 r. na Starym Cmentarzu.

Wystawienie o godz. 11.20, wyprowadzenie o godz. 11.50.

Msza żałobna odprawiona zostanie w dniu pogrzebu w kościele

pw. Najświętszego Serca Jezusowego o godz. 7.30.

Pograżona w smutku
Żona z dziećmi

13 maja 2023 r. odeszła w wieku 99 lat

śTp
Teresa Senko

Nasza Kochana Mama i Babcia

Całe Jej życie było świadectwem dobroci i miłości do drugiego człowieka.

Msza św. żałobna odprawiona zostanie 20 maja 2023 r. o godz. 8.00 w kościele św. Faustyny w Słupsku.

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się o godz. 13.30 na Starym Cmentarzu w Słupsku.

Maryla, Jola, Janusz
i Rodzina

Szczerze wyrazy współczucia i żalu oraz słowa wsparcia

Aleksandrze Wiczowskiej

z powodu śmierci

Taty

składa Wójt Gminy Kobylnica

wraz z pracownikami Urzędu Gminy Kobylnica

Nekrologi

zamówisz tutaj:

Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, 59 848 81 03
reklama.słupsk@polskapress.pl

REKLAMA

0010811041



ORLEN SYNTHOS GREEN ENERGY

**My
inwestujemy
w czystą i taną
energię z małego atomu**

Czekamy na zapisy małych rowerzystów

Alek Radomski
Słupsk

Za niecały miesiąc odbędą się Dziecięce Zawody Rowerkowe „Głosu”. Zapisy trwają, czekamy na zawodników.

10 czerwca odbędą się 49. Dziecięce Zawody Rowerkowe „Głosu Pomorza”. Trwają zapisy. Warto się spieszyć, bo liczba miejsc jest ograniczona.

Podobnie jak w poprzednich odsłonach czekamy na młodych i nieco starszych kolarzy. Zapraszamy dzieci z roczników 2019-2020, które na bieżni stadionu zmierzają się na dystansie 40 m. O 20 metrów więcej do pokonania będą mieć 5 i 6-latkowie, czyli dzieci z rocznika 2017-2018. Z kolei sto metrów

rowerowego sprintu przygotowaliśmy dla 7 i 8-latków. Na 200 metrach sprawdzą się 9-latkowie z rocznika 2014.

Koszt wpisowego to 12 zł. Zapisy trwają do 7 czerwca. Dzieci można zgłaszać w Biurze Ogłoszeń „Głosu Pomorza” w siedzibie naszej redakcji przy ul. H. Pobożnego 19 oraz na portalu Kupbilecik.pl

Impreza na stadionie przy ul. Madalińskiego rozpocznie się o godz. 10, ale wydawanie numerów startowych rozpoczniemy godzinę wcześniej. Co ważne, każdy młody zawodnik musi mieć ze sobą kask. Prosimy zabrać ze sobą wydrukowany bilet lub mieć go w formie elektronicznej, tylko na tej podstawie zostanie wydany numer startowy. Nie ma możliwości zapisania dzieci w dniu zawodów. ©©

Tu będą montowane i stąd wiatraki popłyną na Bałtyk

Bogna Skarul
Pomorze

Na przełomie 2024 i 2025 w porcie Świnoujście rozpocznie pracę pierwszy w Polsce i jeden z najnowszych w Europie terminali instalacyjnych dla morskich farm wiatrowych.

- 13 października 2022 roku PKN Orlen podpisał umowę z Zarządem Morskich Portów Szczecin i Świnoujście na budowę tego portu - przypomniał wczoraj w Świnoujściu wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk. - A już dziś rozpoczynamy prace. Pamiętam, że niektórzy nie wierzyli, że nam ten projekt się uda, a proszę, trwają roboty rozbiórkowe. Myślę, że za parę miesięcy będziemy mogli się spotkać na odbiorze inwestycji.

Terminal instalacyjny w Świnoujściu powstaje na terenach należących wcześniej do Morskiej Stoczni Remontowej Gryfia. Ma służyć budowie morskich farm wiatrowych na Bałtyku. Będzie jednym z najnowszych tego typu obiektów w Europie.

Budowa terminalu składa się z dwóch osobnych inwestycji - części hydrotechnicznej, za którą odpowiada Zarząd Morskich Portów Szczecin i Świnoujście i części lądowej, realizowanej przez Orlen Neptun.

- Budowa nabrzeży, każde o długości 250 metrów, należy do ZMPSiS - mówi Krzysztof Urbaś, prezes ZMPSiS. - Ich nośność musi sięgać nawet do 50 ton na metr kwadratowy. Ładunki, jakie będą obsługiwane w tym porcie, wymagają takich wielkich parametrów. To ogromna budowa, bo przypomnę, że standardowo nośność takiego nabrzeża wynosi do około pięć ton na metr kwadratowy. Ale nabrzeża te umożliwią operowanie największym dostępnym w tej chwili specjalistycznym statkiem przeznaczonym do instalacji najnowszych turbin o mocy jednostkowej 15 megawatów i większych.

Terminal, zgodnie z założeniami, posłuży w pierwszej kolejności do instalacji komponentów morskiej farmy wiatrowej Baltic Power, a następnie do realizacji kolejnych inwestycji na Bałtyku. Port w Świnoujściu, z u-

wagi na swoją lokalizację, będzie mógł oferować obsługę nie tylko polskich inwestycji, ale również zagranicznych (np. prowadzonych na wodach niemieckich, szwedzkich i duńskich).

- Terminal instalacyjny, to inwestycja niezbędna dla rozwijania się w Polsce morskich farm wiatrowych - podkreśla wiceminister klimatu i środowiska Małgorzata Golińska. - W tej chwili naszym zadaniem jest szczególnie dbałość o bezpieczeństwo energetyczne. Jednak bez alternatywnych źródeł energii, uzyskanie go nie jest możliwe, dlatego tak ważne dla nas są farmy wiatrowe.

Inwestorzy podkreślają błyskawiczne tempo prac.

- Umowę z grupą PKN Orlen podpisaliśmy 13 października, a już 14 października rozpoczęliśmy prace przy tej inwestycji - powiedział Urbaś. - Projekt ma być w pełni gotowy jeszcze w tym miesiącu, tak abyśmy mogli na przełomie maja i czerwca ogłosić przetarg na wykonawcę.

Jeśli chodzi o finansowanie, to wszystkie dokumenty zostały już złożone do specjalnego europejskiego funduszu inwestycyjnego,

a cały projekt zdobył najwyższą ocenę zarówno od strony Unii Europejskiej, jak i polskich inwestorów.

Prezes zdradził też, że wartość tej inwestycji jeszcze rok temu wynosiła około 400 mln zł, ale dziś, gdy stal jest tańsza, wydatki na budowę portu wraz z działką wyniosą 320 mln zł.

- Ale to wszystko może się zmienić - zastrzegł. - Finalna cena zostanie umieszczona w przetargu na budowę.

Zakończenie przetargu planowane jest na październik, a wykonawca na budowę części hydrologicznej powinien wejść w listopadzie 2023 roku.

- Zakończenie budowy portu planowane jest na przełom roku 2024 i 2025, ale będziemy starali się, aby port oddać już w 2024 r. - obiecał Urbaś.

- Terminal instalacyjny w Świnoujściu idealnie wpisuje się w łańcuch dostaw zielonej energii dla Orlenu - zaznaczył Jarosław Trybuchowicz, prezes zarządu Orlen Neptun, który jest inwestorem. - Chcemy, aby Świnoujście stało się takim hubem offshore'owym dla całego kraju. ©©

REKLAMA 0010815480

Burmistrz Miastka

stosownie do art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2023 r., poz. 344 ze zm.) informuje, że na tablicach ogłoszeń tut. urzędu oraz na stronie <http://www.bip.miastko.pl/> zamieszczone zostały na okres 21 dni wykazy nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży w drodze przetargu:

- obręb DRETYŃ, działki numer: 157/5, 157/6 i 157/7
- WGNIOŚ.6840.3.6.202.SS,
- obręb ŚWIERZNO, działka numer 164.

REKLAMA 0010811334

OFERTA DLA DZIECI OD 7 DO 12 LAT

AKTYWNE PÓŁKOLONIE

w TRZECH FALACH

PROGRAM:

- SZALEŃSTWO NA BASENIE • WARSZTATY KULINARNE
- WYCIECZKA POCIĄGIEM DO USTKI • ZABAWY ORAZ OGNISKO W LEŚNYM KOCIE
- GRY I ZABAWY NA ŚWIEŻYM POWIETRZU • ZABAWY NA DMUCHANYM PLACU ZABAW
- WYŻYWNIENIE (śniadanie, obiad, podwieczorek)

TERMINY:

9 TURNUSÓW TYGODNIOWYCH od 3 lipca do 26 sierpnia 2023 (zapewniamy opiekę od 7:45 do 16:00)

ZGŁOSZENIA:

polkolonie@trzyfale.slupsk.pl • w recepcji Trzech Fal • osobiście telefonicznie pod nr tel. 887 808 822

CENA:

750 zł za osobę

700 zł za osobę (więcej niż 1 turnus, rodzeństwo, ze Słupską Kartą Mieszkańca)

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW: www.trzyfale.slupsk.pl

Groźna machina wojenna na dnie

oprac. Alek Radomski
A to ciekawe

Gribshunden to liczący ponad pięćset lat wrak, który spoczywa w wodach Morza Bałtyckiego. Tym uzbrojonym po zęby statkiem pływał król Danii Jan Oldenburg.

Naukowcy twierdzą, że zatopiony w 1495 roku okręt wojenny Gribshunden był niezwykle groźną machiną wojenną.

Wyposażony był w aż 90 potężnych dział, a kadłub miał być silnie opancerzony, niczym forteca. Górnym pokład i dziób miały być tak przystosowane, aby żołnierze mogli wspierać artylerzystów w bitwach morskich. Sprawiało to, że ten mający około 35 metrów długości okręt mógł wzbudzać postrach wśród przeciwników.

Dlaczego trafił na dno Bałtyku? Jeden ze scenariuszy zakłada, iż pożar doprowadził do eksplozji prochu składowanego pod pokładem. W efekcie statek bardzo szybko zatonął. Wrak udało się zlokalizować w pobliżu Ronneby w latach 70. ubiegłego wieku - spoczywał



Gribshunden to jeden z najstarszych wraków okrętów wojennych na Bałtyku

on na głębokości około dziesięciu metrów i został zidentyfikowany w 2013 roku. Dwa lata później wydobyto kilka artefaktów, między innymi figury przypominające smoka. Ekspedycje nurków umożliwiły wy-

krycie kolejnych przedmiotów, takich jak działa, kusze i pancerze. Badania stwierdziły, że armaty np. wystrzeliwały stosunkowo niewielkie pociski, wielkością odpowiadające piłkom golfowym.

Stanowisko z wrakiem XV-wiecznego okrętu okazało się niezwykle interesujące i bogate w odkrycia. Na przestrzeni lat archeolodzy podjęli na powierzchnię, zabezpieczyli i tym samym uratowali wiele zabytków.

Wśród najnowszych znalezisk znajduje się 3097 pozostałości 40 gatunków roślin. Co więcej, wszystkie je odzyskano na obszarze zaledwie metra kwadratowego w rufowej części wraku. Wśród zi-

dentyfikowanych smakotyków znalazły się m.in. owoce - maliny i jeżyny, warzywa, w tym ogórki oraz orzechy i nasiona. Nie zabrakło również wielu orientalnych przypraw m.in. imbiru, czarnego pieprzu, goździków i szafranu. Badacze przyznali, że ich odkrycie jest jedynym znanym w archeologii przykładem kompletnej królewskiej średniowiecznej spiżarni.

Po raz kolejny Morze Bałtyckie pokazało, jak unikalnym jest akwenem w skali świata. Wyjątkowe warunki panujące pod jego powierzchnią pozwoliły zachować materię organiczną przez 528 lat. Podobna sytuacja nie byłaby możliwa ani na powierzchni, ani w żadnym z ciepłych mórz.

Ponadto stwierdzono, że specyficzna technika szklenia okrętu Gribshunden została importowana z krajów śródziemnomorskich. Chodzi głównie o sposób łączenia desek na krawędzi kadłuba. Gribshunden mógł dzięki temu transportować dużo cięższy ładunek nawet w trudnych warunkach. ©

FOT. INGEMAR LUNDGREN / BLEKINGE MUSEUM

ARTYKUŁ REKLAMOWY

0010798380

Odkryto cząsteczki młodości! redukujące zmarszczki

Polecana kuracja cząsteczkami młodości podbija serca i... twarze Polek!



Badania potwierdziły, że po 2 tygodniach stosowania kremu ·IN· z cząsteczkami młodości skóra jest bardziej jędrna, elastyczna i z mniejszą ilością zmarszczek.

Nareszcie z przyjemnością patrzę w lustro

Wiele lat prowadziłam znany gabinet kosmetyczny „Centrum Urody” więc kosmologię znam od podszewki. Ostatnio na spotkaniu klasowym „po latach” spotkałam moją koleżankę Annę. Wyglądała dalej prawie tak pięknie, jak na wspólnym zdjęciu maturalnym. Jak ona to robi pomyślałam. Jaki jest jej sekret? Anna



młodości pobudzają produkcję naturalnego kolagenu, elastyny i kwasu hialuronowego w skórze. Dzięki nim skóra jest młodzieńcza, napięta i nie powstają na niej nowe zmarszczki. Dla mnie, jako doświadczonej kosmolog to wspaniały skład i może zastąpić obstrzykiwanie skóry twarzy. Zamówiłam krem w aptece i natychmiast, gdy otrzymałam

piękne pudełeczko, nałożyłam go sobie na twarz. Szybko i przyjemnie się wchłonął, pozostawiając po sobie uczucie świeżości. Skóra prawie od razu napięła się, a po dwóch tygodniach stosowania kremu nastąpił efekt podobny do liftingu. Aż nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście! Co rano patrzę w lustro z nowym optymizmem widząc swoją odmładzającą się cerę i wygląd. - *Elżbieta, kosmolog*

W odpowiedzi na aktualne potrzeby Pań w znanych laboratoriach kosmologicznych powstały nowatorskie koncepcje składu i działania kremów do twarzy. Efektem badań laboratoryjnych jest wyodrębnienie biochemicznych składników zwanych cząsteczkami młodości. Nowatorski krem IV generacji ·IN· z cząsteczkami młodości

działa jak łagodny botoks, kolagen i elastyna razem wzięte. Cząsteczki młodości działają bezpośrednio na mechanizm powstawania zmarszczek, napinają skórę i ograniczają powstawanie nowych zmarszczek.

Tego mi było trzeba!

Mam na imię Emilia. Wychowuję z mężem dwójkę dzieci, które już trochę podrosły. Wreszcie mogę zadbać o siebie.



Wybrałam się do mojej mamy zostawić dzieciaki i wpadł mi w ręce artykuł, w którym była mowa o nowej generacji kremie odmładzającym. Tego mi było trzeba! Nie wahałam się i podskrytowałam zamówienie go telefonicznie. Krem z cząsteczkami młodości od pierwszego użycia świetnie się sprawdził.

CZĄSTECZKI MŁODOŚCI



Moja skóra nabrała jędrności i szybko się zregenerowała. Wreszcie ponownie czuję się w pełni atrakcyjną kobietą i nawet mój mąż zauważył we mnie nowy blask. Gorąco polecam - *Emilia Kożuchowicz, lat 34*

Sieć energetycznych innowacji

Do sieci ENERGA-OPERATOR przyłączonych jest już blisko 230 tysięcy mikroinstalacji, a także ponad 1400 większych odnawialnych źródeł energii (OZE), o mocy powyżej 50 kW. Niezwykle szybki wzrost ich liczby i mocy to ogromne wyzwanie dla energetyków oraz użytkowników sieci elektroenergetycznych. Wymaga ono nie tylko rozbudowy infrastruktury, ale także wypracowania oraz wdrażania na szeroką skalę szeregu nowych rozwiązań i technologii.

Droga energii elektrycznej do domowych gniazdek, do niedawna, była znacznie prostsza. Prąd wytwarzany w dużych, najczęściej węglowych elektrowniach, liniami wysokiego, średniego, a na końcu niskiego napięcia trafiał do naszych domów. Obecnie, źródła wytwórcze przyłączone są do linii elektroenergetycznych w bardzo wielu miejscach. Co więcej, swoją własną przydomową elektrownię może mieć każdy z nas. Przyłączanie rosnącej liczby rozproszonych odnawialnych źródeł energii wymaga przygotowania na to sieci dystrybucyjnej. Niezbędne są zarówno inwestycje w jej rozbudowę, jak i wdrażanie rozwiązań z zakresu sieci inteligentnych pozwalających na jeszcze efektywniejsze jej wykorzystanie. Bardzo ważnym działaniem jest także tworzenie nowych mechanizmów, np. usług elastyczności, lokalnego bilansowania energii, w którym uczestniczy wiele podmiotów z rynku energii po to, aby efektywniej ją wykorzystywać.

Elastyczna sieć

ENERGA-OPERATOR tylko w zeszłym roku przeznaczyła na modernizację, utrzymanie i rozbudowę sieci elektroenergetycznej ponad 1,6 mld złotych. W ostatnich latach w ramach projektu Smart Grid, dokonano automatyzacji sieci średniego napięcia, dostosowując ją do standardów sieci inteligentnej na całym terenie działania ENERGA-OPERATOR. Obecnie trwa wprowadzanie nowego systemu sterowania pracą sieci dystrybucyjnej. Nowy



system, dzięki automatyzacji części procesów, pozwoli na optymalne wykorzystanie energii produkowanej przez OZE.

W ramach programu Horyzont 2020, ENERGA-OPERATOR współpracuje z europejskimi partnerami, budując rozwiązania zwiększające elastyczność sieci. Choć sieć nie jest z gumy, to dzięki odpowiedniemu korzystaniu z niej, możliwe jest przyłączenie większej liczby odbiorców oraz wytwórców energii, bez konieczności jej rozbudowy. Pomysł na elastyczną sieć, w uproszczeniu, oznacza korzystanie z niej w taki sposób, aby jak najlepiej dostosować zużycie prądu do poziomu energii lokalnie produkowanej przez OZE, a także aktualnych możliwości sieci do jej przesyłania. W ramach projektów EUniversal oraz OneNet testowa-

ne są rozwiązania przypominające platformy zakupowe, dzięki którym ENERGA-OPERATOR może m.in. kupować usługi elastyczności od prosumentów. Elastyczność zakłada bowiem obopólną korzyść zarówno użytkowników sieci, jak też Operatorów Systemów Dystrybucyjnych.

Ważnym elementem projektu EUniversal są opracowane wspólnie przez ENERGA-OPERATOR oraz gdański oddział Instytutu Energetyki rozwiązania dla inteligentnych stacji transformatorowych, które pozwalają na zwiększenie możliwości przyłączania mikroinstalacji.

W tych stacjach zastosowano transformatory wyposażone w funkcję podobciążeniowej regulacji napięcia (OLTC ang. On-Load Tap Changer), co pozwala na płynne dostosowywanie jego wartości, w reakcji na zmia-

ny wynikające z obciążenia i ilości energii produkowanej w mikroinstalacjach fotowoltaicznych. Ciekawostką i jednocześnie nowatorskim rozwiązaniem jest to, że do optymalizacji napięć wykorzystywane są dane pomiarowe pozyskiwane dzięki licznikom zdalnego odczytu energii elektrycznej.

Wprowadzanie do sieci energii z mikroinstalacji ułatwić mogą też aktywne regulatory napięcia (ALVR) w sieciach dystrybucyjnych opracowane przez polską firmę MMB Drives sp. z o.o. przy współudziale ENERGA-OPERATOR. ALVR zamieniają linie zaprojektowane jako jednokierunkowe na dwukierunkową sieć dostosowaną do inteligentnie zarządzanych usług elastyczności. Po przeprowadzonych testach ALVR jest coraz częściej stosowany w sieci nn ENERGA-OPERATOR, poprawiając współpracę z prosumentami.

Nowe rozwiązania na rynku energii

Aby zwiększyć elastyczność sieci, ważne jest stworzenie mechanizmów umożliwiających współpracę wszystkich użytkowników sieci, aby produkowaną energię najefektywniej wykorzystywać lokalnie.

sterowania pracą pomp ciepła, mikroinstalacji, a także elektromobilności. Obszary demonstracyjne projektów utworzone zostały także m.in. w Dani i Holandii.

Liczniki zdalnego odczytu

Działanie sieci elektroenergetycznej opartej o rozproszone, liczne i zróżnicowane OZE, wymagać będzie bieżącej wymiany danych, która prowadzona będzie za pośrednictwem tworzonego właśnie Centralnego Systemu Informacji Rynku Energii (CSIRE). Niezbędne do tego będą wdrażane już od wielu lat przez ENERGA-OPERATOR technologie zdalnego pomiaru. Obecnie objętych jest nim już ponad 2,2 miliona jej klientów. Do 2026 roku ENERGA-OPERATOR planuje zamontować licznik zdalnego odczytu u każdego ze swoich odbiorców. Przekazywane na bieżąco dane pomiarowe z liczników są niezbędne do zapewnienia zbilansowania systemu elektroenergetycznego. Czyli takiego zarządzania nim, aby ilość zużywanej energii dostosowana była, jak najlepiej, do ilości energii wytwarzanej w danym momencie. Taki bilans uwzględni zarówno pracujące z różną, zależną od pogody, wydajnością OZE, jak też i działanie tradycyjnych źródeł, takich jak elektrownie gazowe czy węglowe, których pracę dzięki wykorzystaniu aktualnych danych można odpowiednio zaplanować.

Informacje dostarczane dzięki zdalnemu pomiarowi umożliwią też np. bieżące monitorowanie parametrów dostarczanej energii, wprowadzenie szeregu nowych usług tj. taryfy dynamiczne, które pozwolą korzystać z prądu wtedy, kiedy jest on najtańszy.

Istotną rolę w procesie takiej współpracy odgrywać mogą lokalne wspólnoty energetyczne, które będą efektywnie zarządzać generowaną na danym terenie energią, uzyskując w ten sposób znaczną samowystarczalność.

ENERGA-OPERATOR bierze udział w projektach badawczo-rozwojowych współfinansowanych z programu Horizon 2020, których celem jest wypracowywanie rozwiązań dla takich społeczności. Projekty SERENE i SUSTENANCE, prowadzone wraz z innymi partnerami z UE. W ich ramach w Sopocie (SUSTENACNE) oraz gminie Przywidz (SERENE), utworzone zostały obszary demonstracyjne, na których testowane są rozwiązania dot. m.in. lokalnych magazynów energii.

Nowa wersja Mojego Licznika

Jeżeli masz licznik zdalny, spróbuj aplikację Mój Licznik od ENERGA-OPERATOR, z której korzysta już blisko 118 tysięcy użytkowników. Ostatnio została ona zaktualizowana do nowej wersji, zawierającej ułatwienia m.in. dla prosumentów. Aplikacje znaleźć można na stronie <https://energa-operator.pl/infrastruktura/liczniki-zdalnego-odczytu/ami> Aplikacja dostępna jest również w wersji dla urządzeń mobilnych.

POLSKA i ŚWIAT

KOPENHAGA

Położone strategicznie pośrodku północnego Atlantyku Wyspy Owcze wciąż współpracują z Rosją przy połowie ryb i uniezależniają się od Danii. Jednocześnie rząd po naciskach Kopenhagi przygotowuje analizę skutków ewentualnego wypowiedzenia rosyjskiej umowy. Porozumienie pozwalające rybakom z Wysp Owczych łowić dorsze na rosyjskiej części Morza Barentsa, a Rosjanom zawijać do portów, zostało przedłużone do końca 2023 r.

”

Rybolówstwo napędza naszą gospodarkę, daje nam możliwość odgrywania ważnej roli na północnym Atlantyku

Hogni Hoydal, szef dyplomacji Wysp Owczych

Zmiana zarzutów po zabójstwie Kamila z Częstochowy

Karolina Wrońska
Gdańsk

Szczególne okrucieństwo w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie - tak zabójstwo 8-letniego chłopca oceniają prokuratorzy po analizie akt.

Rzeczniczka prasowa Prokuratury Regionalnej w Gdańsku Marzena Muklewicz poinformowała, że w niespełna tydzień po otrzymaniu akt śledztwa, dotyczącego zabójstwa 8-letniego Kamila i wykonaniu dodatkowych czynności procesowych, prowadzący śledztwo prokuratorzy z Prokuratury Regionalnej w Gdańsku ogłosili zmienione zarzuty Dawidowi B. oraz Magdalenie B. - Wśród obydwoje zostali przesłuchani w charakterze podejrzanych - dodała Muklewicz.

Ojczymowi chłopca Dawidowi B. zarzucono zabójstwo chłopca ze szczególnym okrucieństwem w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie poprzez m.in. polewanie go wrzącą wodą, uderzenie pryznicem i pięściami po ciele, rzucenie pokrzywdzonego na rozżarzony piec węglowy. - Skutkiem działań podejrzanego było spowodowanie u 8-letniego chłopca ciężkich obrażeń ciała, które po pozostawieniu go w stanie bezpośredniego niebezpieczeństwa utraty życia, bez udzielenia pomocy, doprowadziły do jego śmierci - powiedziała rzeczniczka prokuratury w Gdańsku.

Zarzuty śledczych - podała prokuratura - obejmują również trwające od listopada 2020 roku do 3 kwietnia 2023 roku znęcanie się psychiczne i fizyczne ze szczególnym okrucieństwem nad małoletnim pasierbem poprzez m.in. bicie go rękoma po całym ciele, rzucanie o podłogę i meble, kopanie po ciele i głowie, przypalanie papierosami, skutkujące szeregiem obrażeń ciała doznanych przez dziecko. Jak ustalili śledczy, podejrzany dopuścił się zarzucanego mu czynu w warunkach recydywy.



Zarzuty obejmują psychiczne i fizyczne znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem nad małoletnim pasierbem

Według śledczych, podstawą do jej przyjęcia było wcześniejsze skazanie go m.in. za przestępstwo rozboju i odbycie kary łącznej dwóch lat pozbawienia wolności. Przedstawiony podejrzanemu zarzut obejmuje także dokonane w tym samym okresie znęcanie się psychiczne i fizyczne ze szczególnym okrucieństwem nad drugim pasierbem, 7-letnim Fabianem.

Jak poinformowała prokuratura, matce chłopca Magdalenie B. zarzucono pomocnictwo do zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie poprzez - pomimo ciąży - zaniechanie działania i niepodjęcie reakcji chroniących małoletniego przed aktami przemocy ze strony ojczyma oraz nieudzielenie pomocy skatowanemu chłopcu znajdującemu się w ubiegłym roku.

Po 35 dniach walki o życie, zmarł 8-letni Kamil, skatowany pod koniec marca przez ojczyma - 27-letniego Dawida B.

Tragedia rozegrała się w jednopiętrowym budynku przy ul. Kosynierskiej w Częstochowie. 8 maja w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka, po 35 dniach walki o życie, zmarł 8-letni Kamil, skatowany pod koniec marca przez ojczyma - 27-letniego Dawida B.

Początkowo sprawę prowadziła Prokuratura Okręgowa w Częstochowie, potem została ona przekazana do Prokuratury Regionalnej w Gdańsku. Minister sprawiedliwości i prokurator generalny niezależnie od śledztwa prokuratury zdecydował się wystąpić do rzecznika dyscyplinarnego sędziów w celu wszczęcia postępowania wyjaśniającego wobec sędziów z Częstochowy i Olkusza.

PAP

Politycy i najwyżsi dowódcy u prezydenta. Spotkanie w BBN także o znalezionej rakiecie

Anna Nagel
Warszawa

Narada Biura Bezpieczeństwa Narodowego dotyczyła przede wszystkim lipcowego szczytu NATO w Wilnie.

- Rosja musi przegrać wojnę w Ukrainie i musi zrozumieć, że zjednoczony, wolny świat jest silny i będzie się sprzeciwiał jej imperialistycznej polityce - mówił w czwartek w Warszawie prezydent Andrzej Duda. Dodał, że celem Polski powinno być zapewnienie Ukrainie wstąpienia do Unii Europejskiej i NATO. Prezydent zabrał głos podczas otwarcia dwudniowej konferencji PISM Strategic Ark 2023.

Na późniejszą naradę Biura Bezpieczeństwa Narodowego zaproszono m.in. szefa MON, szefa sztabu generalnego i dowódcę operacyjnego rodzajów sił zbrojnych oraz ambasadora Polski przy NATO. Poza zbliżającym się szczytem Sojuszu rozmawiano także o rosyjskiej rakiecie, która w grudniu spadła w Zamościu pod Bydgoszczą, a przypadkowy cywil odnalazł ją w kwietniu.

Celem Polski powinno być zapewnienie Ukrainie wstąpienia do Unii Europejskiej i NATO - powiedział prezydent RP

- Nie ma świętych krów, jeżeli będą stwierdzone błędy, jeżeli będą stwierdzone zaniechania, to będzie wyciągnięta odpowiedzialność - powiedział jeszcze przed naradą szef BBN Jacek Siewiera, odnosząc się do całej sprawy. Siewiera podkreślił, że sprawa ta „jest absolutnie wyjątkowa i bez wątpienia ma istotny wpływ na bezpieczeństwo państwa”.

Ale - jak podkreślił - nie jest prosta do wyjaśnienia i wymaga spokoju po to, aby - jak mówił - bezpieczeństwo państwa wskutek pochopnych decyzji nie zostało narażone. - Jeżeli ktoś popełnił błąd, poniesie za niego odpowiedzialność, nie ma taryfy ulgowej w tym względzie - zapewnił szef BBN. PAP

REKLAMA

WYTNIJ I POKAŻ W APTECE

0010798392

CZĄSTECZKI MŁODOŚCI!
Krem nowej generacji ·IN·

Nanoverse Peptide®

redukcja zmarszczek

Fantastyczne właściwości

Krem z cząsteczkami młodości doceniły klientki we Francji i USA a teraz także w Polsce

cząsteczki młodości = technologia MOQ22



Krem kup / zamów W APTECE
sklepie zielarsko-medycznym
lub tel: 61 635 08 23
oraz na: www.asepta.pro

ASEPTA
Rok założenia 1998
Tylko najlepsze produkty

Uwaga promocja! Zadzwoń i podaj hasło promocyjne:
SUPER EFEKT a otrzymasz specjalną zniżkę.
Tylko dla czytelników.

Dla szybszej realizacji kremu
Nanoverse Peptide®
podaj w aptece kod:
krem: 7089588

Jedna z najstarszych Biblii sprzedana w Nowym Jorku za 38 milionów dolarów

Anna Nagel
Nowy Jork

Nowojorski dom aukcyjny Sotheby's sprzedał Kodeks Sassoon, jeden z najstarszych i najpełniejszych egzemplarzy Biblii.

Księga, która osiągnęła cenę 38 milionów dolarów, trafi do Muzeum Narodu Żydowskiego w Izraelu - poinformował portal dziennika „The Times of Israel”.

Przed aukcją dzieło odbyło światowe tournée - Biblia była kolejno wystawiana w Londynie, Tel Awiwie i Los Angeles.

„Istnieją trzy starożytne Biblii Hebrajskie z tego okresu” - powiedział dziennikarzom profesor Josef Ofer z Uniwersytetu Bar Ilan - Kodeks Sassoon, Ko-

deks z Aleppo z X wieku i Kodeks Leningradzki z początku XI wieku. Tylko zwoje znad Morza Martwego i garść fragmentarycznych tekstów wczesnośredniowiecznych są starsze”. Teksty zawarte w Biblii Hebrajskiej chrześcijanie nazywają Starym Testamentem.

Sprzedany w środę egzemplarz powstał między 880 a 960 rokiem. Do XIII wieku przechowywano go w syryjskiej synagodze, która jednak została bezpowrotnie zniszczona. Po siedmiu stuleciach David Solomon Sassoon, znawca i kolekcjoner, dotarł do rękopisu i nabył go w 1929 roku za 350 funtów. Kodeks Sassoon jest odręcznie napisany i oprawiony w skórę. Jego 792 strony stanowią około 92 proc. pełnej treści Biblii Hebrajskiej. PAP



David Solomon Sassoon, znawca i kolekcjoner, dotarł do rękopisu i nabył go w 1929 roku za 350 funtów

Kolejna eksplozja odnotowana na okupowanym Krymie

Karolina Wrońska
Kijów

Linia kolejowa pod Symferopolem na Krymie po prostu nie wytrzymała i z powodu zmęczenia materiału nie będzie przez pewien czas wykorzystywana - oznajmiła ironicznie strona ukraińska.

W godzinach porannych w czwartek rosyjskie media i kanały w sieciach społecznościowych poinformowały, że w pobliżu Symferopola, na linii kolejowej Symferopol-Sewastopol, prawdopodobnie doszło do wybuchu. Według przekazywanych doniesień wykoleiło się pięć wagonów przewożących zboże. Ruch pociągów pomiędzy głównymi miastami okupowanego Krymu został tymczasowo wstrzymany.

- Tą trasą transportowane są m.in. broń, amunicja, pojazdy opancerzone i inne rodzaje sprzętu wykorzystywanego podczas rosyjskiej agresji na Ukrainę - po to, żeby zabijać ukraińskich cywilów i żołnierzy. (...) Infrastruktura Krymu znacznie funkcjonować w normalny, bezpieczny sposób wówczas, gdy półwysep powróci pod kontrolę Ukrainy. Dopóki znajdują się tam rosyjscy terroryści, spokoju nie będzie - zadeklarował przedstawiciel ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR) Andriy Jusow, cytowany przez portal Ukrainka Prawda. Poczynając od sierpnia 2022



Według przekazywanych informacji wykoleiło się pięć wagonów przewożących zboże, a ruch między miastami okupowanego Krymu został wstrzymany

roku, na Krymie niemal co kilka dni odnotowywane są wybuchy.

W przypadku ukraińskich ataków przy pomocy dronów rosyjska administracja za każdym razem utrzymuje, że jest to jakoby efekt działań obrony przeciwlotniczej lub skutecznego niszczenia nadlatujących bezzałogowców.

W drugiej połowie marca sztab generalny ukraińskiej armii potwierdził, że siły ukraińskie przeprowadziły atak na linię kolejową w mieście Dżankoj na północy Krymu. Jak wówczas wyjaśniono, ta operacja

miała na celu całkowite lub przynajmniej częściowe zniszczenie tras zaopatrzeniowych wroga w kierunku okupowanych terenów południa Ukrainy.

Półwysep Krymski został zaanektowany przez Rosję w marcu 2014 roku w wyniku interwencji zbrojnej i nielegal-

Infrastruktura Krymu znacznie funkcjonować w normalny, bezpieczny sposób wówczas, gdy półwysep powróci pod kontrolę Ukrainy

nego referendum. Ukraina i Zachód uznały te działania Kremla za pogwałcenie prawa międzynarodowego.

Tymczasem w nocy ze środy na czwartek podczas ataków rakietowych Rosji armia Ukrainy zestrzeliła 29 z 30 rakiet manewrujących, odpalonych z samolotów, okrętów i systemów naziemnych przeciwnika.

Siły rosyjskie zaatakowały także z okrętów na Morzu Czarnym, używając do tego rakiet typu Kalibr oraz z naziemnych systemów rakietowych z wykorzystaniem rakiet Iskander-K - przekazano. PAP

Moldawia ma problem, czyli agent Rosji w prozachodnim rządzie

Grzegorz Kuczyński
Kiszyniów

Najbardziej niebezpieczny region Europy potwierdził swoje przywiązanie do Rosji. Wynik wyborów baszkana, czyli szefa administracji autonomicznej Gagauzji, oznacza poważne kłopoty dla władz Mołdawii.

Ostatnie kilka dni to kolejna już w ostatnim roku polityczna burza w Mołdawii. Nałożyło się na to kilka wydarzeń: wybory szefa autonomii Gagauzji, operacyjne działania służb mogące storpedować wynik głosowania, wreszcie toczący się przed Sądem Konstytucyjnym proces o delegację Partii Șor, której kandydatka wygrała wybory w Gagauzji.

Zgodnie z konstytucją Mołdawii, baszkan Gagauzji automatycznie staje się członkiem rządu w Kiszyniowie. Prezydent Maia Sandu i związany z nią pro-

zachodni rząd nie zamierzają jednak dopuścić do tego, żeby w samym sercu państwa znalazła się osoba z partii kierowanej przez agenta FSB, która chce nawiązać faktycznie relacje Gagauzji z Rosją niezależnie od Mołdawii. To może zapowiadać powrót pomysłu niepodległości regionu, czemu przykłaśnie Moskwa.

37-letnia Jewgienia Gucul wygrała 14 maja w drugiej turze wyborów lokalnych. Otrzymała 27 376 głosów (52 proc.). Jej rywalem, niezależny kandydat 36-letni Grigor Uzun, wspierany przez Partię Socjalistów, otrzymał 24 913 głosów (48 proc.). Był to wybór między dwójkiem prorosyjskich kandydatów. W czym nie ma nic zaskakującego, ponieważ sami Gagauzi są w swej ogromnej większości prorosyjscy. Zresztą, już w pierwszej turze, 30 kwietnia, cała ośmiema kandydatów była prorosyjska (choć też dlatego, że rządząca



Na każdym kroku kandydatka Partii Șor na baszkanę Gagauzji podkreślała swoją podległość liderowi partii

w Mołdawii prozachodnia partia PAS nie wystawiła kandydata).

Gucul deklaruje chęć pogłębienia przyjaźni z Rosją.

- Jesteśmy partią prorosyjską. Chcemy pogłębionej współpracy z Federacją Rosyjską,

przyjaźni z innymi krajami - mówiła otwarcie do dziennikarzy w stolicy regionu Komrat.

Gucul chce nawet otwarcia „biura łącznikowego Gagauzji” w Moskwie.

Dzień po ogłoszeniu wyników, funkcjonariusze Narodo-

wego Centrum Antykorupcyjnego (CNA) wkroczyli do biur Centralnej Komisji Wyborczej w Gagauzji, zbierając listy wyborców, którzy głosowali na Gucul. CNA twierdzi, że znalazło tam nazwiska osób, które mieszkają poza krajem oraz już nieżyjących. Przedstawiciele CKW wezwano na przesłuchania w Cahul, największym mieście południowej Mołdawii.

Wydaje się, że rząd mołdawski będzie starał się doprowadzić do unieważnienia wyborów, argumentując to poważnymi nieprawidłowościami. Drugi sposób, pośredni, to uderzenie w partię, której kandydatką była Gucul.

Natychmiast po akcji CNA, deputowani Ludowego Zgromadzenia Gagauzji, lokalnego parlamentu, zebrali się na nadzwyczajnej sesji i zatwierdzili formalnie zwycięstwo kandydatki Partii Șor w wyborach baszkana. Niedawną rywalkę poparł Uzun,

potępiając działania władz centralnych. Działania władz w Kiszyniowie zaatakował Ilan Șor - ciekawe, oprócz mediów społecznościowych, w rosyjskiej telewizji Rossija-24.

Położona na południu Mołdawii autonomia Gagauska to najbardziej niebezpieczny region kraju. Zajmuje ok. 5 proc. terytorium Mołdawii, jest zamieszkały przez ok. 140 tys. ludzi, w większości Gagauzów, czyli ludność pochodzenia tureckiego, dogłębnie zrussyfikowaną, wyznającą prawosławie, tradycyjnie promoskiewską. 90 proc. mieszkańców regionu nie chce wejścia Mołdawii do UE. Ostatnio Gagauzi zażądali na stałe pięciu miejsc w parlamencie Mołdawii i większej autonomii podatkowej.

Przed wyborami w Gagauzji prezydent Mołdawii oskarżyła Rosję o ingerencję w nie za pośrednictwem swoich agentów i polityków.

tygodnik Regionów

Piątek, 19.05.2023

ŁUDZIE I MEDYCYNĄ

Ponad 1000 przeszczepów wątroby - to konto szpitala przy Arkońskiej **str. 12**

ROZMOWA

Rafał Janus mówi, jak kierować szkołą, by była tak dobra, jak LO Dubois **str. 15**

WŁAM DO HISTORII

Poszukiwacze wraków na tropie legendarnego ORP „Orzeł” **str. 18-19**

HISTORIA PRL-U

Kto padł, przegrywał. Kto chociaż ręką ruszał, miał szansę na trofeum **str. 20**



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Magiczna siódemka pana Zbigniewa. 70 lat, 7 maratonów, 7 kontynentów

Tylko trzech biegów brakuje Zbigniewowi Szkudlarkowi do zdobycia Korony Maratonów Świata. Nosi ją obecnie tylko 530 biegaczy, w tym 17 Polaków **str. 16-17**

Panu Pawłowi dawano trzy tygodnie życia. Minęły 22 lata. Ma się świetnie

Leszek Wójcik
Szczecin

Pan Paweł nie umarł, bo wątroba od zmarłej kobiety dotarła na czas. To była druga tego typu operacja w szpitalu wojewódzkim. Pan Paweł jest więc Numerem Dwa. - Z organem tej kobiety żyje już 22 lata - mówi.

Kiedy Pawłowi Pająckowskiemu życie wywróciło się do góry nogami, mieszkał w Gryfinie i pracował w Elektrowni Dolna Odra.

- Byłem zdrowy, to znaczy tak się czułem - opowiada. - I nagle, na rybach, zwymiotowałem krwią. Tak to się zaczęło.

Historia Numeru Dwa

Najpierw były nietrafione diagnozy, podejrzenie wrzodu żołądka i długie leczenie, które nie przyniosło spodziewanych rezultatów. W końcu poszedł do drugiego lekarza, który nie miał wątpliwości: marskość wątroby. Jedyna szansa: przeszczep.

Pan Paweł, obecnie 58-latek, do dzisiaj pamięta emocje, które towarzyszyły mu w oczekiwaniu na organ.

- Przeżyłem straszne chwile - przyznaje. - Lekarze mówili, że mam przed sobą zaledwie trzy tygodnie życia. Na szczęście ich diagnoza się nie sprawdziła.

Przeszczep wątroby wykonano 5 lutego 2001 r. w szpitalu przy ul. Arkońskiej w Szczecinie. Transplantacji dokonał dr Roman Kostyrka.



Z lewej pan Paweł (Numer Dwa), obok pan Marcin (Numer Tysiąc)

- Od tego czasu minęły już 22 lata. I całkowicie się zmieniłem - mówi Paweł Pająckowski, który zapisał się w historii szpitala przy Arkońskiej jako drugi pacjent z przeszczepioną wątrobą. - Mam świadomość, że jest we mnie cząstka innej osoby. I że nie jestem już tym samym człowiekiem, co byłem - kontynuuje pan Paweł. Często chodzę na potańcówki - uwielbiam tańczyć, choć wcześniej nie sprawiał mi to przyjemności. Czuję się bardzo dobrze. Lekarze i ta młoda kobieta, której wątrobę mam w sobie, podarowali mi drugie życie. Nie ma dnia, abym o tej dziewczynie nie myślał.

Sprawy ostateczne

O roli dawców i ich rodzinach pamięta również dyrektor szpitala, Małgorzata Usielska.

- Nie wolno zapominać o tragediach tych ludzi. Pograżonych w bólu po stracie najbliższych osób, których organy wszczepiamy podczas transplantacji - twierdzi. - Na wykorzystanie narządów ich bliskich zgodzili się z miłości do drugiego człowieka. Należy przed nimi chylić czoła. Bez nich nie byłoby tego tysiąca przeszczepów. Tysiącu osobom nie udało się uratować życia.

Bo przeszczep to ostateczność.

- Ostatnia szansa - podkreśla dr Samir Zeair, który kieruje programem transplantacji wątroby w szpitalu wojewódzkim. - Próba uratowania już umierającego. Któremu w żaden inny sposób nie umiemy pomóc. Ta świadomość sprawia, że każdy zabieg przeżywamy tak samo

mocno. Każdy wiąże się z wielkimi emocjami.

W podobnym tonie mówi o swojej pracy prof. Marta Wawrzynowicz-Syczewska:

- To nie jest łatwy kawałek chleba. Określiłabym go jako słodko-kwaśny. Piękna praca, dająca satysfakcję i przynosząca sukcesy, ale... zawsze w cieniu śmierci.

Mówią o nim Hiob

- Nadaje się jako scenariusz dobrego dreszczowca - prof. Syczewska przywołuje historię pana Sławka. - I choć wciąż nekają go coraz to inne choroby, on nadal walczy. Został szczęśliwym ojcem i zrealizował swoje marzenie: jest strażakiem. Tak jak chciał. - Mówią o mnie Hiob - przedstawia się pan Sławek. - Że wszystko we mnie trafia. Mimo to się nie poddaję.

Ma 31 lat, choć wygląda na 15. Nawet strażacki mundur nie dodaje mu powagi. Jego chłopięca twarz wszystkich wprowadza w błąd.

- Już się przyzwyczałem, że policjanci z drogówki zawsze zatrzymują mnie do kontroli - śmieje się nasz rozmówca.

Kłopoty ze zdrowiem zaczęły się u niego dość wcześnie. Przeszczep wykonano w 2015 r.

- Operacja się udała. Wątroba zaczęła działać. I działała dokładnie dwanaście godzin. Potem coś złego zaczęło się dziać - opowiada.

Zespół opiekujący się panem Sławkiem podejrzewał, że wątroba jednak nie podjęła pracy. Lekarze postanowili więc usunąć świeżo wszczepiony organ, na który chory czekał osiem lat. Na zdobycie nowego miał 48 godzin.

- Ponownie wzięli mnie na stół - opowiada pan Sławek. - Otworzyli i, całkiem przypadkiem, dr Zeair przesunął rękę wyżej. Wtedy się zorientował, że pękła żyła łącząca wątrobę z sercem. Natychmiast założyli mi protezę i w ten sposób ponownie połączyli serce z wątrobą, która natychmiast zaczęła działać.

Choć pan Sławek walczy dziś z nowotworem, a potem, jak z nim wygra, czeka go następny przeszczep, jest dobrej myśli.

- Bo trafiłem na wspaniałych lekarzy. To aniołowie.

Dzięki nim czeka na drugiego synka. Dzięki nim został druhem Ochotniczej Straży Pożarnej w Trzebiatowie.

- Zawsze chciałem być strażakiem. Ze względu na zdrowie do straży państwowej nie miałem wejścia. Ale do OSP mnie przyjęli. Jestem szczęśliwy - mówi.

Licznik przeszczepów bije

Szczecin nie jest jedynym ośrodkiem w Polsce, w którym dokonuje się przeszczepy wątroby. Transplantacje są jeszcze przeprowadzane w Bydgoszczy, Gdańsku, Katowicach, Wrocławiu i Warszawie. Jednak jedynie w Szczecinie i Warszawie wykonuje się ich tak dużo - tylko w tych ośrodkach wykonano ich przeszło tysiąc.

Do pierwszego przeszczepienia wątroby w Szczecinie, w szpitalu na Pomorzanach, doszło w 1986 r. Wykonał go prof. Stanisław Zieliński. Jego uczniem był dr Roman Kostyrka, który w 2000 r. jako pierwszy wykonał transplanta-

cję w szpitalu wojewódzkim przy Arkońskiej - wszczepił wątrobę panu Krzysztofowi.

- Operacja się udała - mówi dr Kostyrka. - Pacjent przeżył kolejne dwadzieścia lat. Po operacji założył rodzinę, pracował zawodowo... Dziś już, niestety, nie żyje, ale zmarł z zupełnie innych powodów.

To, że pan Krzysztof przeżył przeszczep, zdaniem pioniera szczecińskiej transplantologii jest niezwykle ważne.

- Gdyby wtedy ta operacja się nie powiodła, wszczepienia wątroby przez wiele lat nie byłoby wykonywane. Na pewno zatrzymałby się rozwój tej dyscypliny - tłumaczy.

Dr Kostyrka dodaje, że tamte czasy naprawdę można nazwać pionierskimi.

- Na początku sam jechałem po organ na drugi koniec Polski, wracałem kolejne kilkanaście godzin do Szczecina, a potem natychmiast stawałem do stołu operacyjnego. To było naprawdę duże obciążenie fizyczne i psychiczne. Operacje wtedy trwały nawet 14 godzin. Na dodatek, choć dziś trudno to sobie wyobrazić, nie było internetu. Przez to dostęp do literatury fachowej był bardzo ograniczony. Przed wykonaniem pierwszego przeszczepu nie widziałem na żywo żadnego podobnego zabiegu. Takie czasy.

Dr Roman Kostyrka ze swoim zespołem wykonał około stu przeszczepień. W sumie w szpitalu wojewódzkim w Szczecinie doszło już do ponad 1023 przeszczepów wątroby. Tysięczna transplantacja odbyła się w styczniu tego roku. Pacjentem był Marcin Walukiewicz z Wałcza.

- Oddawałem honorowo krew w wojsku - opowiada pan Marcin. - Chodziło o to, by otrzymać dodatkowy urlop. W czasie rutynowego badania wykryli, że mam żółtaczkę typu „C”, która po kilku latach doprowadziła do marskości wątroby. Wtedy zostałem zakwalifikowany do przeszczepu. Czekal cztery miesiące.

- Cztery długie miesiące! Każdy dzień był oczekiwaniem na jeden konkretny telefon - wyznaje. - Ten najważniejszy w życiu, kiedy miano mi powiedzieć, że jest dawca, i że jego organ idealnie do mnie pasuje. Ale kiedy w końcu ze szpitala do mnie zadzwonili, byłem przeziębiony. Nie mogłem się poddać operacji. Dopiero za trzecim razem wszystko się zgrało. ©



Gala „1000 przeszczepień wątroby w SPWSZ” w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Zachodniopomorskiego w Szczecinie. Wojewoda Zbigniew Bogucki w imieniu prezydenta RP Andrzeja Dudy uhonorował odznaczeniami m.in. Zenona Czajkowskiego, Martę Wawrzynowicz-Syczewską, Jerzego Myśliwca i Samira Zeaira

SŁABOŚĆ DYKTATORA

Co czeka Białoruś,
kiedy upadnie reżim
Aleksandra Łukaszenki
str. 4-5

WYCHOWANIE DZIECI

Nie tylko pornografia
stanowi dziś koszmarne
zagrożenie
str. 6-7

HISTORIA

Dziesięciu z Pawiaka.
Za świętowanie 3 Maja
do więzienia
str. 10

PULS

#60



Dorota Kania, redaktor naczelny Polska Press

GORSZE DZIECI



Zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego podwyższenia świadczenia 500 plus do 800 plus wywołała wśród części polityków opozycji i jej medialnych zwolenników reakcje będące w pewnym stopniu kalką zachowań z 2016, po wprowadzeniu 500 plus. Lider Polskiego Stronnictwa Ludowego Władysław Kosiniak Kamysz stwierdził, że „500 plus jako podstawa dla wszystkich, ale jeśli jest propozycja waloryzacji, to dla pracujących, dla tych, którzy płacą podatki. To jest bardziej sprawiedliwe”. Z tej wypowiedzi można wywnioskować, że lider ludowców chce wzmocnienia tylko tych rodzin, gdzie obydwój rodzice pracują. Według niego świadczenie nie należy się dzieciom, których matki zrezygnowały z kariery zawodowej i poświęciły się wychowaniu swojego potomstwa. Każdy, kto ma dzieci, wie, jak jest to ciężka, wyczerpująca praca na „wielu etatach”, czego - wydaje się - nie dostrzegają politycy PSL oraz jego koalicjanta, ugrupowania Szymona Hołowni. Lider Polski 2050 uważa, że „500 plus to inflacja minus”.

Dzisiaj, po kilku latach doświadczenia i wielu badań opinii społecznej, można stwierdzić, że program 500 plus (a niebawem 800 plus) to przywrócenie godności polskim rodzinom i wyrównanie szans dla dzieci w całej Polsce. Właśnie według badań to świadczenie jest przeznaczane na zakup żywności, odzieży, opłatę przedszkola, dodatkowych zajęć edukacyjnych, wyjazdy, a także oszczędzanie na przyszłe wydatki dla dzieci. Sondaż także pokazuje, że świadczenie nie jest roztrwaniane, jak sugeruje część opozycji, lecz wręcz przeciwnie - jest ogromnym wsparciem dla polskich rodzin.

Warto przyjrzeć się również reakcji Platformy Obywatelskiej i jej zwolenników na zapowiedź podniesienia świadczenia - w tym przypadku narracja „rozjechała się” całkowicie. Z jednej strony Izabela Leszczyna w radiu RMF FM twierdzi, że „mieliśmy projekt de facto gotowy waloryzacji na taką właśnie kwotę i nie składaliśmy go właśnie dlatego, żeby się nie licytować, bo jak my powiedzielibyśmy 700 czy 800 zł, to Kaczyński powiedziałby 1000 zł”, a z drugiej strony sprzyjające PO media totalnie krytykują wprowadzenie 800 plus. Powołują się przy tym na... internautów i na rzekome zdemolowanie budżetu państwa. Z kolei Donald Tusk zażądał wprowadzenie tego świadczenia nie od 2024 tylko natychmiast, czyli od 1 czerwca bieżącego roku, co jest awykonalne - Tusk jako były premier powinien wiedzieć, że jest coś takiego jak roczne planowanie i uchwalanie budżetu.

Podczas weekendowej konwencji Prawa i Sprawiedliwości „Programowy U!” padły także inne zapowiedzi, m.in darmowe autostrady i leki dla osób po 65. roku życia oraz dla młodzieży do 18. roku życia.

- To był bardzo mocny i skuteczny ruch ze strony PiS. Do tej pory grupy, którym złożyła obietnice partia rządząca, nie dostały żadnej oferty od opozycji poza „babciowym”, które zaproponował Donald Tusk. To był dobry ruch opozycji, ale nie poszła za ciosem. Polityka jest jak boks, PiS wyprowadził kolejne ciosy - celne i mocne - spychając opozycję do kampanijnej defensywy - powiedział portalowi Wirtualnedia.pl dr Krystian Dudek, specjalista od marketingu politycznego i pełnomocnik rektora Akademii WSB ds. strategii komunikacji i PR, autor kampanii wyborczych.

Komentatorzy zwracają także uwagę, że do wyborców trafiają konkretne programy i propozycje, a nie lawina hejtu i bezsensowne ataki, co potwierdzają sondaże.

Przemysław Szymańczyk, red. nacz. „Głosu Pomorza”, „Dziennika Bałtyckiego”

PORT ...NA SKALĘ NASZYCH
MOŻLIWOŚCI

Gdy mieszkałem na antypodach, w pięknym Vancouver, starałem się wytłumaczyć Stanleyowi vel Staszce, od którego wynajmowałem mieszkanie, jak skomplikowanym procesem jest zawinięcie do portu w Elblągu. Nawet małą łajbą.

By przepłynąć z Polski do Polski, trzeba płynąć przez Rosję. Wprawdzie krótki odcinek po wodach Cieśniny Piławskiej, ale jednak...

Stanisław, a teraz Stanley, wyjechał z Polski, gdy zaimplementowany przez Sowieców ustrój powszechnej szczęśliwości, dogorywał. Dobrze znał dzieła tropiciela absurdów Barei, ale tej lekcji geografii akurat nie pamiętał.

Dopiero mapa pomogła mu zrozumieć, w czym rzecz. - By wpłynąć do polskiego portu, trzeba mieć zgodę ruskich - powtórzyłem, a on nie mógł się nadziwić.

Był 2001 rok, pierwszy sekretarz PZPR ze Skierniewic Leszek Miller stał na czele rządu.

Kilkanaście lat później inny premier, Donald Tusk, nazwał projekt przywrócenia Polsce Elbląga „politycznym trikiem”, a jego minister od spraw zagranicznych Sikorski pytał na tt, czy „przekop przechrzcić w pomnik PiS”.

Znalazł się nawet taki przedstawiciel odpowiedzialnej opozycji, który ambitny plan połączenia Zatoki Gdańskiej przez Zalew Wiślany z portem nazwał „dziurą w ziemi”. Innych głupot wygadanych przez polityków nie pomnę. Bo wymazałem z pamięci dla spokojności własnej.

Wspomniany „trik” 17 września ubiegłego roku sprawił cud prawdziwy. Dzięki „dziurze w ziemi” można wpłynąć z Polski do Polski przez Polskę.

Teraz największym problemem jest przebudowa 900-metrowego odcinka drogi wodnej w samym porcie. Bez tego, ten ambitny infrastrukturalny projekt, będzie warty tyle, ile jego najslabszy element. Czyli niewiele.

Zamiast go rozwiązać, siadając do stołu ze stroną rządową, samorządowcy z Elbląga robią wszystko, by tylko trzy jednostki dziennie przepływały kanałem za 2 miliardy złotych.

Właśnie prezydent z PSL-u zorganizował konsultacje społeczne, które mają być dla władz Elbląga drogowskazem, a raczej usprawiedliwieniem irracjonalnej postawy, odrzucającej ofertę rządu wartą 100 milionów złotych, a domykającą cały projekt.

Ten rodzaj konsultacji, jak ułał pasuje do powiedzenia Józefa Stalina, że nieważne, kto głośnie, ważne, kto liczy głosy. W tym konkretnym przypadku za fasadą partycypacji społecznej kryje się pytanie, na które - nawet zwolennicy dokapitalizowania portu i przejęcia pakietu kontrolnego przez państwo - z trudem odpowiedzieli: TAK.

Tłumacząc je na język polityki obowiązującej w Polsce brzmi ono tak: Czy chcesz, by PiS zabrał nasz port? („Czy uważa pan/i, że port morski w Elblągu powinien pozostać nadal własnością miasta?”).

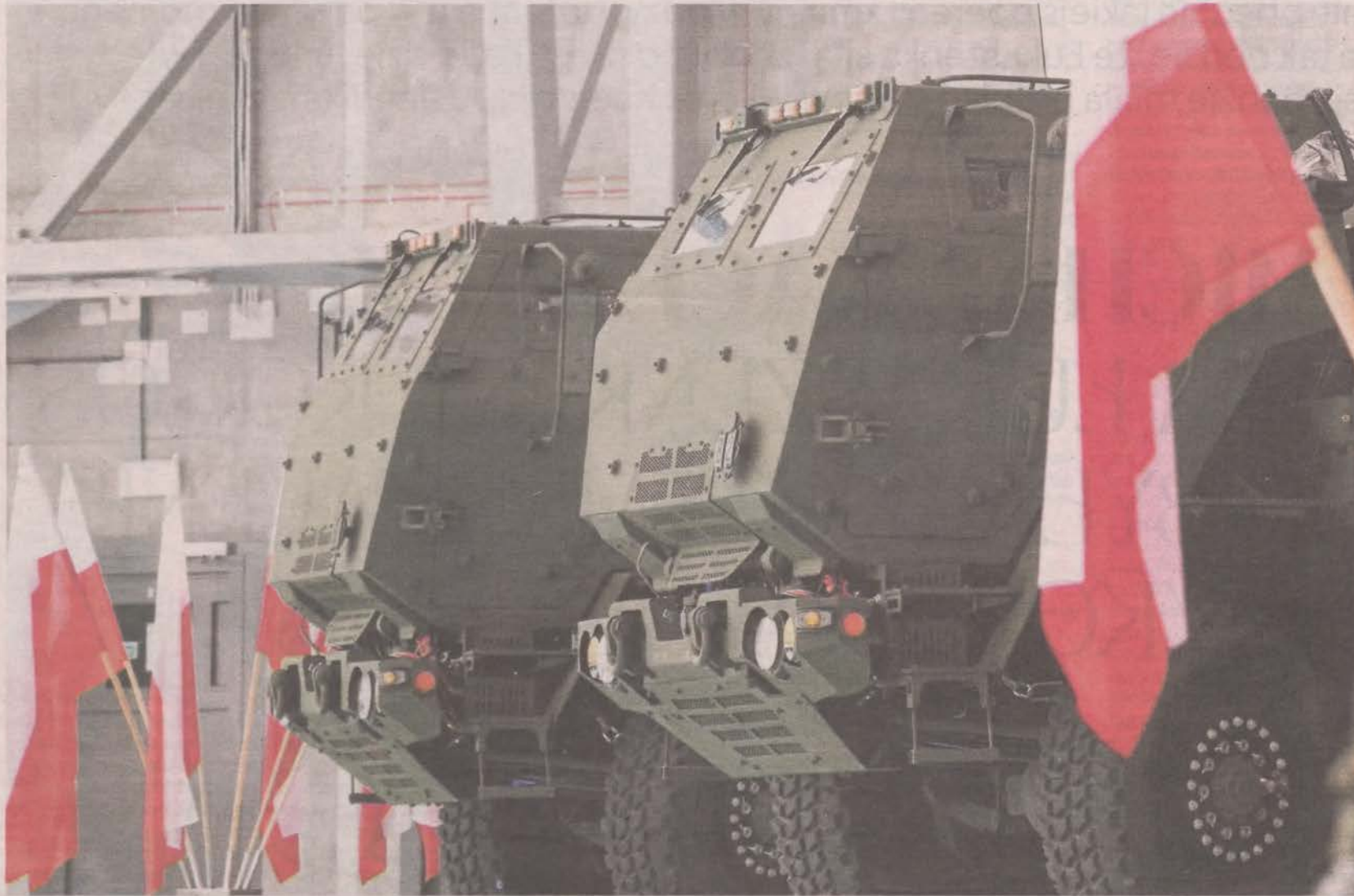
Dlatego już teraz (30 maja poznamy oficjalne wyniki głosowania) można stwierdzić bez cienia wątpliwości, że elblążanie odrzucili propozycje zainwestowania w ich port 100 milionów pisowskich złotych.

Już niebawem władze miasta będą mogły z radością ogłosić, że otrzymały mandat od lokalnej społeczności na przegnanie pisowskich Hunów.

Ale czy Stanley vel Stanisław to zrozumie?

Musimy stworzyć mechanizmy, które w długiej perspektywie zapewnią wsparcie Ukrainie; wsparcie finansowe, w zakresie obronności. To będzie jasny sygnał dla świata, że sprawiedliwość może zwyciężyć i że każda próba podważenia porządku międzynarodowego od samego początku będzie skazana na porażkę

FOTO komentarz tygodnia



15 MAJA 2023,
WARSZAWA,
POLSKA

Do Polski przyleciały pierwsze HIMARS-y. Na razie pięć. Z pięciuset. Na Ukrainie dwadzieścia wypchnęło Rosjan za Dniepr. Pięćset, jak mówi generał Kraszewski, będzie działać jak taktyczna broń jądrowa. I bardzo dobrze

FOT. LESZEK SZYMANSKI/PAP



16 MAJA 2013, KIJÓW, UKRAINA, Raketowy atak na miasto. Ukraińska obrona przeciwlotnicza zestrzeliła wszystkie z wysłanych przez Rosjan rakiet. Były i naddźwiękowe i zwykłe. Ważne, że rosyjska wunerwaffe okazała się niezbyt wiele warta

FOT. TWITTER/KREMLIN TROLLS



13 MAJA 2023, WARSZAWA, POLSKA, prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński zapowiedział podniesienie 500+. Od 1 stycznia. Donald Tusk ogłosił, że on wprowadzi to od czerwca. Żartowniś

FOT. LESZEK SZYMANSKI/PAP



13 MAJA 2023, USTKA, POLSKA, „Anakonda”, prezydent Andrzej Duda w roli oliwy wylanej na fale, obok szef sztabu, bezprzymiotnikowy generał Andrzejczak i generał broni Piotrowski

FOT. JAKUB SZYMCIUK/KPPP

– Łukaszenka żyjący i rządzący na Białorusi jest zdecydowanie dla Putina bezpieczniejszy niż przeprowadzanie obecnie jakiejś operacji zmiany władzy. Natomiast w pewnym momencie rzeczywiście tak będzie, że Łukaszenka siłą rzeczy po prostu odejdzie, umrze. I wtedy dopiero Rosja będzie miała problem – mówi Michał Kacewicz, dziennikarz Biełsat TV

Dorota Kowalska

MICHAŁ KACEWICZ: WYMIANA ŁUKASZENKI NA KOGOŚ INNEGO BYŁABY CZYMŚ SZALENIE RYZYKOWNYM DLA ROSJI

Co dolega Alaksandrowi Łukaszence? Spekulacji jest sporo: jedni mówią, że został otruty, inni, że przeszedł za palenie mięśnia sercowego. Podczas obchodów święta zwycięstwa 9 maja rzeczywiście nie wyglądał dobrze, przez tydzień nie pokazywał się publicznie. Co się stało, twoim zdaniem?

Absolutnie nie chcę dywagować, co stało się Łukaszence, dlatego że nie posiadam takiej wiedzy. Podejrzewam, że nie ma jej 99,99 procent tych, którzy spekulują na ten temat. Bo to wszystko są tylko i wyłącznie spekulacje. Zawsze w sytuacji niedomagania dyktatorów, przywódców państw autorytarnych pojawiają się tego typu plotki. Mieliliśmy takie sytuacje w niedalekiej przeszłości, jeżeli spojrzeć na współczesną mapę dyktatur na świecie, z Erdoganem, regularnie mamy taką sytuację z Putinem, no i teraz Łukaszenką. To wynika z tego, że stan zdrowia jest tematem ścisłego tabu, jeśli chodzi o dyktatorów. Jednocześnie sytuacja, kiedy dzieje się z nimi coś niedobrego, kiedy mogą umrzeć, wywołuje potężny chaos i kryzys w systemie autorytarnym. To może warto wyjaśnić - tacy dyktatorzy jak Łukaszenka nie mają określonych procedur sukcesji.

Mówisz „chaos”. Odejście Łukaszenki w taki czy inny sposób, taki chaos by wywołało? Tak. Myślę, że sytuacja, kiedy po kilku dniach obserwujemy usilną próbę udowodnienia, iż Łukaszenka żyje i ma się dobrze, już pokazuje pewien chaos. Poniedziałkowe nagrania i zdjęcia z wizytacji Łuka-

szenki w jednostce wojsk przeciwlotniczych, to wyraźna próba pokazania, że nic mu nie jest. Ona wynika właśnie z tego, że system władzy wpadł w panikę. Fakty są takie, że rzeczywiście coś pewnie jest na rzeczy, Łukaszenka na pewien czas zniknął, były też takie oficjalne komunikaty w tej sprawie, teraz się pojawił. Poniedziałkowa demonstracja też zresztą wywoływała różnego rodzaju dywagacje, Łukaszenka na tych nagraniach wyglądał nie najlepiej, jakoś inaczej. Można spekulować, czy to rzeczywiście był on sam, czy może jakiś jego sobowtór.

A twoim zdaniem: on, czy sobowtór?

Nie wchodźmy w to. Wracając do twojego pytania: taka sytuacja wywołuje chaos, dlatego że ten system jest oparty wyłącznie na Łukaszence. Pod niego w państwie Białoruś podczepione są zarówno wszystkie klany władzy, jak i cały system, decyzyjność. Więc sytuacja, kiedy go zabraknie, wywołuje panikę. Jednocześnie cały ten system nie wie, na kogo się orientować, kto go zastąpi - czy to miałby być ktoś, powiedzmy, wyznaczony przez Moskwę, czy to miałby być ktoś, kogo wcześniej namięcił w jakiś sposób Łukaszenka, on tego chyba raczej nie zrobił, chociaż pewne sygnały były wysyłane. W zasadzie cały moloch biurokratyczno-mundurówy, służby nie wiedziałyby, w którą stronę się zwrócić, kiedy zniknie Łukaszenka.

Spekuluje się, że gdyby go zabrakło, na czele państwa mógłby stanąć sekretarz

Rady Bezpieczeństwa Aleksander Walfowicz. Uważasz taką sytuację za możliwą?

Tak, oczywiście, że tak. Według białoruskiej konstytucji w sytuacji nagłej śmierci prezydenta np. w zamachu, władzę może przejąć Rada Bezpieczeństwa z Walfowiczem na czele. W przypadku niezdolności prezydenta do pełnienia funkcji w normalnym trybie, osobą pełniącą obowiązki prezydenta powinien zostać przewodniczący (obecnie przewodnicząca) Rady Republiki Zgromadzenia Ludowego, krótko mówiąc - parlamentu białoruskiego. Parłamentu, mówię w cudzysłowie, dlatego że nie jest to faktycznie normalny parlament, nie został wybrany w sposób demokratyczny, nie jest w żaden sposób demokratyczny, ale pełni taką rolę na Białorusi. Jego przewodniczącą jest Natalia Kaczanowa. To kobieta, która była w administracji prezydenckiej, Łukaszenka w pewien sposób ją promował, wokół niej skupiony jest tak zwany klan witebski. Ona sama pochodzi z Nowopołocka, tam przez jakiś czas rządziła jako nasz odpowiednik burmistrza. Bliższe jej osoby, to chociażby Igor Siergiejienka, czyli obecny szef administracji prezydenckiej. Jeśli patrzeć na białoruskie zasady konstytucyjne, to ona

powinna objąć władzę w przypadku śmierci prezydenta, a później powinny zostać rozpisane wybory.

Łukaszenka na czele państwa białoruskiego jest na rękę Putinowi?

W obecnej sytuacji jest na rękę Putinowi, bo jest gwarantem stabilności Białorusi, gwarantem lojalności. Mimo różnego rodzaju ruchów, które wykonuje Łukaszenka po to, aby w jakiś sposób zyskać swoją przestrzeń autonomicznych decyzji, co oczywiście nie zawsze jest wygodne dla Moskwy, bo spowalnia różnego rodzaju procesy, które Moskwa chciałaby przeprowadzić. To jest chyba dobre określenie - Łukaszenka wielokrotnie irytował Putina swoim spowalnianiem, ostatecznie jednak pod presją, czy to siły, czy groźby, czy szantażu rosyjskiego, czy po prostu zwykłego własnego interesu Łukaszenka ulegał. Potrafił też zdławić rewolucję przeciwko władzy, także z tego punktu widzenia wymiana Łukaszenki na kogoś innego byłaby czymś szalonym dla Rosji, zwłaszcza w tym momencie.

No dobrze, ale weźmy pod uwagę taką możliwość: Łukaszenka odchodzi, Rosja przysyła swojego człowieka,

który rządzi na Białorusi. Mówi się, że Walfowicz jest bardzo prorosyjski. To nie byłby lepszy scenariusz dla Rosji, niż Łukaszenka na czele państwa białoruskiego?

Po pierwsze, Rosja nie może przysłać kogoś z zewnątrz. To nie może być Rosjanin, to musi być ktoś miejscowy i to ktoś, kto jest głęboko osadzony w białoruskiej łukaszenkowskiej elicie władzy, czyli w taki czy inny sposób, to musi być człowiek z otoczenia Łukaszenki. Natomiast, jeśli chodzi o prorosyjskość, to cała białoruska elita władzy jest prorosyjska. Aleksander Walfowicz, generał, wojskowy, czy wspomniana przeze mnie Natalia Kaczanowa, oni są bardzo prorosyjscy. Nie widzę w tej elicie władzy białoruskiej postaci, które nie są prorosyjskie. Oni nie wierzą w Białoruś ni stojącą u boku Rosji. Protesty 2020 roku i wojna na Ukrainie tylko zradycyzowały ich prorosyjskie poglądy.

Krótko mówiąc, zmiana na stanowisku przywódcy Białorusi nic Rosji nie daje, bo Łukaszenkę zastąpi człowiek podobny do niego?

Łukaszenka jest u władzy bardzo długo, ktoś nowy musiałby budować swój autorytet na Białorusi wśród elity władzy długo, żeby dojść do tego poziomu. Do tego poziomu autorytetu dla tej elity władzy. Zawsze ktoś nowy jest ryzykowny z punktu widzenia Rosji. Bo ktoś taki musiałby zaskarbić sobie w taki czy inny sposób lojalność całej kasty rządzącej na Białorusi, a to nie jest wcale takie oczywiste. To musiałaby być postać równie silna jak Łukaszenka. Łukaszenka bardzo

długo budował sobie autorytet na Białorusi, tępiąc jednych czy też w jakiś sposób represjonując, innych korumpując. Tak jak wspominałem, to długi proces, nowy przywódca Białorusi musiałby go przejść. To nie jest korzystny scenariusz dla Rosji. Dlatego uważam, że Łukaszenka żyjący i rządzący na Białorusi jest zdecydowanie dla Putina bezpieczniejszy niż przeprowadzanie obecnie jakiejś operacji zmiany władzy. Natomiast w pewnym momencie rzeczywiście tak będzie, że Łukaszenka siłą rzeczy po prostu odejdzie, umrze. I wtedy dopiero Rosja będzie miała problem.

Dla Ukrainy Łukaszenka też chyba w obecnej sytuacji, w obecnych okolicznościach jest w miarę bezpieczny? Ukraina przynajmniej wie, czego się może po nim spodziewać, tak czy nie?

Do pewnego stopnia tak, ale Białoruś jest z perspektywy Kijowa państwem wrogim prawie tak samo jak Rosja. To z terytorium Białorusi przeprowadzane były ataki na Ukrainę. Natomiast fakt, że Łukaszenka nie wysłał białoruskiej armii na Ukrainę, na pewno jest korzyścią dla Kijowa. Ukraińcy mają jednak świadomość, że Łukaszenka nie zrobił tego z dobrego serca. Armia Łukaszenki nie nadaje się do tego, żeby przeprowadzić obecnie w krótkim czasie operacje wojskowe wspólnie z Rosjanami, jest zbyt słaba. Jednocześnie, tak, na pewno Łukaszenka jest w pewien sposób przewidywalny. Ukraińcy dobrze wiedzą, że spowalnia integrację z Rosją, że często kombinuje, mówiąc kolokwialnie, próbuje

*POTENCJAŁ DO KOLEJNYCH
PROTESTÓW W MOMENCIE
PRZESILENIA OCZYWIŚCIE JEST,
ALE PRZECIWNİKÓW ZMIANY
NA BIAŁORUSI NADAL JEST WIELU*



FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Michał Kaciewicz: Poniedziałkowe nagrania i zdjęcia z wizytacji Łukaszenki w jednostce wojsk przeciwlotniczych to wyraźna próba pokazania, że nic mu nie jest

się jakoś wymknąć Putinowi. To w jakiś sposób działa na korzyść Ukrainy, ale jednocześnie Kijów prowadzi przecież bardzo aktywną politykę na kierunku białoruskim. Buduje antyrosyjskie, antylukaszenkowskie jednostki wojskowe na swoim terytorium. Odbyło się spotkanie Zelenskigo z Cichanouską, mimo tego chłodu, jaki panował cały czas między ośrodkiem wileńskim opozycji białoruskiej a administracją Zelenskigo coś tu drgnęło.

Z czego wynikał ten chłód?

Z tego, co wiem na podstawie rozmów z ukraińskimi politykami, z Ukraińcami, on wynikał z dwóch powodów. Pierwsza rzecz to brak zaufania do ośrodka opozycyjnego Cichanouskiej. Ukraińcy często podejrzewali, nie chodzi o samą Cichanouską, że w jej otoczeniu jest bardzo silna agentura białoruska czy rosyjska. A druga rzecz, może nawet ważniejsza, Ukraińcy sądzą, że ten białoruski ośrodek emigracyjny jest mało skuteczny, z ich perspektywy. Nie wywołuje na przykład na Białorusi odpowiednio licznych protestów czy też jakiejś obstrukcji działań reżimu łukaszenkowskiego na tyle skutecznej, żeby sparaliżować zdolności bojowe, wsparcie

dla Rosji, w ogóle działania rosyjskie przeprowadzane z terytorium Białorusi. Ukraińcy uważają, że ten ośrodek nie jest w stanie wywołać większych zmian na Białorusi, więc nie warto w niego inwestować. Może to się zaczęło teraz zmieniać.

Właśnie, uważasz, że moment odejścia Łukaszenki to jest taki czas, kiedy opozycja białoruska może dojść do głosu, może doprowadzić do jakichś zmian?

Wszyscy chcielibyśmy, żeby tak było, ale pamiętajmy, że Łukaszenka nie jest sam, to jest cała biurokratyczna, mundurowa elita władzy, dla której odejście Łukaszenki będzie momentem koszmarnym z uwagi na ten ryzykowny transfer władzy. Jednocześnie ta elita będzie robiła wszystko, żeby zabezpieczyć swoją przyszłość, nie dopuścić do jakiegokolwiek rewolucji na Białorusi, do tego, żeby opozycja doszła do władzy. Dla nich to byłby koniec: koniec kariery, w wielu przypadkach koniec bezpiecznego życia i rozliczenie za te wszystkie okropne rzeczy, które robili przez całe swoje życie. Oni będą się przed tym bronić, a mają zasoby, żeby to robić. Mają potężny aparat państwa, jak na tak niewielkie państwo jak Białoruś. Mają wszyst-

kie struktury policyjne, struktury bezpieczeństwa, KGB i ostatecznie też armię. Jednocześnie główni liderzy opozycji białoruskiej są albo w więzieniach, albo na emigracji. Ten średni i niższy poziom aktywności też często powyjeżdżał albo jest represjonowany. Oczywiście, jakaś część młodych ludzi została, zwłaszcza tych, którzy brali udział w protestach 2020 roku i jest na emigracji wewnętrznej, nic nie robi, ale pogłódów przecież nie zmieniła, inni zeszli do głębokiego podziemia. Więc jakiś potencjał do kolejnych protestów w momencie jakiegokolwiek przesilenia oczywiście jest, ale przeciwników zmiany na Białorusi nadal jest wielu. To nie jest tak, że po odejściu Łukaszenki państwo policyjne nagle się rozpadnie. Wpadnie w turbulencje, ale na pewno będzie się broń przed rewolucją.

Nie wierzysz w taki scenariusz, że Łukaszenka odchodzi, tłumy wychodzą na ulice i dochodzi do rewolucji białoruskiej, która sprawi, że opozycja przejmie ster władzy? To nie jest tak, że w to nie wierzę. Dopuszczam, że coś takiego rzeczywiście mogłoby się stać. Tylko, oprócz tego wszystkiego, o czym mówiłem przed chwilą, w obecnej sytu-

acji, kiedy Rosja prowadzi wojnę na Ukrainie, pojawia się jeszcze czynnik rosyjski. Rosja nie dopuści do żadnych protestów, żadnych rewolucji. To się może skończyć nawet interwencją rosyjską na Białorusi. Zachowanie Białorusi w momencie, kiedy nie udało się działania Rosji przeciwko Ukrainie, kiedy Rosjanie nie odnieśli tam sukcesów, nie zrealizowali swoich celów, będzie kluczową sprawą. Rosja na pewno nie będzie chciała wypuścić Białorusi z rąk. Myślę, że, niestety, ale pojawi się wsparcie dla elity autorytarnej łukaszenkowskiej, żeby zdławić wszelkiego rodzaju protesty.

Tylko Putinowi nie będzie łatwo prowadzić działań na dwóch frontach jednocześnie. Patrząc na protesty 2020 roku trudno się spodziewać, żeby Rosja musiała prowadzić na Białorusi działania wojenne.

Wystarczy wysłać trochę wojska?

Myślę, że akurat białoruskie państwo policyjne, wszystkie służby bezpieczeństwa i milicja mają wystarczające zasoby, żeby obecnie tłumić protesty. Białoruska armia, siły zbrojne są stosunkowo słabe. Natomiast jeśli chodzi o struktury bezpieczeństwa, one są bardzo rozbudowane, doinwestowane i po prostu silne. Białoruski reżim potrafił sobie poradzić z protestami 2020 roku, teraz też na pewno nie odpuszciliby. Jest jeszcze oczywiście czynnik ukraiński - na Ukrainie też sporo mówi się o tym, że w przypadku dużych protestów na Białorusi mogłoby dojść do zaangażowania się w nie białoruskich jednostek budowanych na Ukrainie, ale trudno to sobie na razie wyobrazić, szczerze mówiąc.

Te jednostki to Białorusini, którzy przeszli na stronę ukraińską?

Tak, np. pułk Kalinowskiego i inne budowane jednostki. Najpierw to były bataliony, obecnie mają status pułku. To są głównie młodzi ludzie zaangażowani w walkę opozycyjną, uczestnicy protestów 2020 roku. To są białoruscy patrioci, którzy już od wielu lat są zaangażowani w działalność antyreżimową na Białorusi. Oni po prostu powyjeżdżali, trafili na Ukrainę i walczą w tym przypadku konkretnie z Rosjanami, ale postrzegają to, jako jeden front. Walczą z Rosją, ale wiedzą, że Rosja stoi za Łukaszenką, więc to jest dla nich taka zastępcza wojna z Łukaszenką. Jednocześnie najczęściej deklarują, że w przyszłości będą walczyli przeciwko Łukaszence i doprowadzą do zmian na Białorusi.

Wspomniałeś o tym, że Łukaszenka nie może wysłać armii

na Ukrainę, bo ta armia jest zbyt słaba, ale dużo mówi się też o tym, że społeczeństwo białoruskie jest mentalnie społeczeństwem dość pokojowym i że Łukaszenka boi się wysłania wojsk na wojnę. To mogłoby po prostu wywołać niepotrzebne protesty, sprzeciw Białorusinów, a on nie jest Łukaszence potrzebny.

To jest pewnego rodzaju mit zbudowany chociażby przez fakt, że sam reżim łukaszenkowski przez wiele lat uprawiał propagandę pokoju. Ona polegała w dużym skrócie na takim zapewnianiu Białorusinów: „Patrzcie, wokół nas wszędzie wojna, także w Rosji, wszędzie wokół nas są jakieś konflikty, coś złego się dzieje, a na Białorusi jest spokój, jest bezpiecznie”. Reżim bardzo mocno w ten sposób odwoływał się do dwóch traum, przez które przeszło białoruskie społeczeństwo. Pierwsza to II wojna światowa. Białoruś była republiką w składzie Związku Radzieckiego, która poniosła ogromne straty w czasie II wojny światowej. A druga trauma to dość duży stosunkowo udział niewielkiej Białorusi w radzieckiej interwencji w Afganistanie, sporo ofiar tej wojny. Łukaszenka odwoływał się często do obecnych emerytów, mówiąc: „Patrzcie, były wojny, a teraz jest pokój. Jestem garantem tego pokoju”. Chyba na tym polega w dużej mierze ten mit pokojowego społeczeństwa białoruskiego. Natomiast uważam, że znaczna jego część, ta, która pozostaje pod wpływem propagandy reżimu łukaszenkowskiego, jest, podobnie zresztą jak Rosjanie, plastyczna. Białoruska propaganda jest w stanie uformować tych ludzi w to, w co będzie chciała. Potrafi to zrobić i to robi. Przecież obecnie białoruska propaganda, media rządowe, a właściwie jedynie one są dostępne, wskazuje na zagrożenie ze strony Zachodu, Polski i Litwy, NATO. I oczywiście Ukrainy. Trwa proces podkreślenia emocji. Mocnego atakowania wrogów zewnętrznych, wskazywania ich, a później atakowania i budowania takiej świadomości wśród Białorusinów, że oto są zagrożeni, że NATO na nich czyha, że Polska chce ich napaść razem z Litwą i całym NATO. Nie wiem, czy to jest to narracja pokojowa, wręcz przeciwnie, to jest narracja bardzo mocno agresywna. Myślę, że ta propaganda byłaby w stanie, gdyby Łukaszenka podjął decyzję o jakimś zaangażowaniu się w działania zbrojne, uzasadnić to Białorusinom i znaczna ich część, niestety, ale by w to wierzyła.

Jak wygrana Ukrainy w wojnie z Rosją może wpłynąć na sytuację w Białorusi?

Co to znaczy wygrana? Chciałbym to zdefiniować, Ukraińcy definiują zwycięstwo jako od-

zyskanie wszystkich terytoriów w granicach z 1991 roku, czyli łącznie z Krymem i całym Donbasem.

Nie wierzysz w taką wygraną?

Wierzę w taką wygraną, ale uważam, że nie nastąpi szybko. Jeżeli do tego dojdzie, to oczywiście wywoła bardzo poważne konsekwencje, ale na razie skupmy się na takim krótkoterminowym horyzoncie. W tym horyzoncie, jeżeli rzeczywiście zapowiadana kontrofensywa ukraińska zakończy się sukcesem, polegającym na odzyskaniu nawet niewielkich terytoriów, na kolejnych poważnych klęskach armii rosyjskiej, wtedy reżim łukaszenkowski będzie jeszcze bardziej asertywny wobec pomysłów, żeby białoruska armia zaangażowała się w wojnę na Ukrainie. Łukaszenka w ciągu roku tej wojny właśnie w taki sposób działał - próbował się wszelkim sposobem nie zaangażować w jakieś aktywne działania rosyjskie, zwłaszcza w momencie, kiedy podejrzewał, że Rosja jednak nie osiągnie swoich celów na Ukrainie. Jednocześnie chce dodać, że, niestety, ale reżim białoruski wszelką asertywność wobec rosyjskich planów, pomysłów, zaangażowania armii białoruskiej na Ukrainie obudowuje agresywną retoryką o zagrożeniu ze strony NATO, ze strony Polski, ze strony Litwy. I jest to widoczne nawet teraz.

Nie wierzysz, żeby sytuacja na Białorusi w jakichś diamentralny sposób w najbliższych miesiącach się zmieniła?

Wracamy znowu do stanu zdrowia Łukaszenki, o którym nic nie wiemy. Od tego będzie dużo zależało. Jeżeli cokolwiek się stanie z Łukaszenką, to wywoła, rzecz jasna, duże zmiany. Każda zmiana na szczycie władzy, nawet, jeżeli będzie kontrolowana przez ludzi Łukaszenki, będzie jednak zmianą po dwudziestokilkuletnim okresie rządów jednego człowieka. Zmiana zawsze stwarza szansę.

CV



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Michał Kaciewicz
Dziennikarz, komentator, publicysta. Był dziennikarzem m.in. „Newsweeka”, obecnie pracuje w TV Bielsat. Zajmuje się Europą Wschodnią i Centralną.

Jak rozpoznać objawy, które wskazują, że dziecko jest czy też było narażone na wpływy pornografii?

Pewnie najczęściej rozpoznajemy to nie po samym dziecku, ale po ekranie, z którego korzysta. Czasem rodzic natrafi na historię przeglądanych stron lub zobaczy, na jakie strony dziecko wchodzi. To jest najczęstszy przypadek. Jednak w przypadku dziecka, które ogląda tego typu treści, zwłaszcza jeśli mówimy o młodszych dzieciach, a nie o 15- czy 17-latkach, którzy spędzają dużo czasu bez rodziców, pojawiają się także pewne zmiany w zachowaniu. Mogą to być nowe słowa czy określenia, których dziecko wcześniej nie używało. Wiemy, że nie usłyszało ich w domu ani też nie są one powszechne w przedszkolu czy szkole. Bywa, że obserwujemy pewne ruchy dziecka lub zachowania, nie werbalne, a motoryczne, które nas zaskakują, bo identyfikujemy je jako związane z tematyką seksualną. Czasami takie zachowania pojawiają się również w wypowiedziach dziecka, ale rzadziej. Już w okresie przedszkolnym dzieci bardzo szybko zdają sobie sprawę, że tematyka seksualna jest tematem tabu, czymś nieodpowiednim. Większość dzieci w przedszkolu już odkrywa to, chociaż może nie potrafią tego nazwać ani użyć słowa „tabu”, ale wiedzą, że o pewnych rzeczach z rodzicami się nie rozmawia.

Jakie podejście powinien zastosować rodzic, aby pomóc dziecku zrozumieć, czym jest pornografia i dlaczego nie jest odpowiednia dla dzieci?

W tej kwestii istnieją dwie szkoły. Pierwsza to podejście reaktywne, czyli rodzic reaguje dopiero wtedy, gdy ewidentnie dostrzeże, że coś już się stało. Druga szkoła to podejście proaktywne, gdzie rodzic stara się uprzedzić, z czym dziecko może się spotkać. Oczywiście, w drugim przypadku trudnością jest określenie, w jakim wieku powinno być dziecko, aby rozmawiać z nim o takich sprawach. W większości przypadków jestem zwolenniczką drugiego podejścia, choć także ono wiąże się z pewnymi zagrożeniami. Dlaczego? Jeśli rodzic nie potrafi (choć w miarę swobodnie) rozmawiać o seksie i seksualności, to rozmowa na ten temat z dzieckiem może przynieść więcej szkody niż pożytku. Może pogłębić przekonanie, że to są rzeczy, o których się nie rozmawia, że w ogóle nie powinny być częścią naszego świata i życia. Proszę mi wierzyć, wielu z nas, dorosłych, nie potrafi w rozmowie z dzieckiem używać słów, takich jak: „współżycie”, „stosunek”, „członek”, „pochwa” i wiele innych. Oczywiście, nie

sugeruję, że powinniśmy korzystać z tych terminów podczas rozmowy z przedszkolakiem. Zresztą, w przypadku przedszkolaka, profilaktyczna rozmowa na ten temat jeszcze nie jest konieczna. Jednak czasami, reaktywnie, może zaistnieć potrzeba poruszenia tego tematu.

Porozmawiajmy o metodach, które pozwolą pomóc dziecku zredukować wpływ pornografii na jego myśli i zachowanie.

Przede wszystkim wierzę w to, że człowiek jest istotą, która przetwarza informacje, a jego zachowanie, a nawet przeżywane emocje i pojawiające się myśli, są głównie wynikiem tego, co wiemy, jak rozumiemy i jak umiemy zinterpretować to, czego doświadczamy. Biorąc pod uwagę statystyki, trzeba przyjąć, że około 10. roku życia wiele dzieci ma już za sobą pierwszy kontakt z pornografią, ponieważ ciekawość u dzieci jest naturalna i jeśli słyszały takie słowa, jak „seks” czy „seksualność” i zauważyły towarzyszącą im aurę niezwykłości czy wręcz oburzenia, to dlaczego nie wpisać tego w wyszukiwarkę internetową? A im mniejsza szansa, że w domu w rozmowach z rodzicami pojawia się ta dziedzina życia, tym silniejsza staje się ciekawość i dziecko może chcieć zdobyć jakieś informacje na ten temat. Nie jestem zwolenniczką jednej „uświadamiającej” rozmowy, która miałaby wyjaśnić dzieciom wszystko, co wiąże się z płciowością i seksualnością. Często dorośli mają problem z tym, jak taką rozmowę zaaranżować i jak ją prowadzić. Taka rozmowa wydaje się nienaturalna, a obie strony często odczuwają duże skrępowanie, nie wiadomo, kto większe. Moim zdaniem bardziej skuteczne jest podejmowanie tego tematu niejako przy okazji, nawet w przypadku przedszkolaka. Na przykład, jeśli dziecko przypadkiem zobaczy film, w którym ktoś kogoś bije, można mu powiedzieć, że rzeczywistość tak nie wygląda, że jest to kręcone w studiu filmowym. Od najmłodszych lat powinniśmy przyzwyczajać dziecko do tego, że filmy udostępniane w telewizji, czy w internecie, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Na pytanie, dlaczego ludzie to robią, odpowiadajmy krótko: dla pieniędzy. Uczmy dzieci o mechanizmach działania mediów. Wyjaśnijmy, czym jest reklama i dlaczego istnieje. Przedszkolaki często są zafascynowane reklamami i potrafią wyśpiewywać te głupiotkie piosenki reklamowe. Wyjaśnijmy dzieciom, dlaczego reklamy powstają i że nie służą one temu, aby uczynić świat piękniejszym czy pokazaniu im fajnych i ciekawych rzeczy. Ich prawdziwym celem jest skłanianie nas do działań, które są ko-

– Wcześniej czy później nasze dziecko zetknie się z pornografią. Dzieci powinny być świadome, że filmy pornograficzne nie odzwierciedlają rzeczywistości ani prawdziwego życia intymnego. Powinniśmy im tłumaczyć, że pornografia powstaje głównie dla zysku, a nie dla promowania zdrowych i bliskich, pełnych miłości i szacunku, relacji – mówi dr Aleksandra Piotrowska, psycholog dziecięcy

Anita Czupryn



Dr Piotrowska: Czasami zupełnie przypadkowo dzieci trafiają na treści pornograficzne

DR ALEKSANDRA PIOTROWSKA: NIE TYLKO PORNOGRAFIA STANOWI DZIŚ KOSZMARNE ZAGROŻENIE

rzystne dla producenta i sprzedawcy. Podobnie jest w przypadku pornografii, ona również ma swoje cele i intencje. Dzieci powinny być świadome, że filmy pornograficzne nie odzwierciedlają rzeczywistości ani prawdziwego życia intymnego. Powinniśmy im tłumaczyć, że pornografia powstaje głównie dla zysku, a nie dla

promowania zdrowych i bliskich, pełnych miłości i szacunku, relacji. To ważne, abyśmy w sposób odpowiedni dla wieku i możliwości zrozumienia wyjaśniali dzieciom, że pornografia nie jest właściwym sposobem poznawania seksualności ani sposobem budowania intymności. Ważne jest, abyśmy jako rodzice i opieku-

nowie byli proaktywni w edukowaniu naszych dzieci na temat reklam i pornografii. Musimy być gotowi na krótkie, odpowiednie dla ich wieku rozmowy, które pomogą dzieciom zrozumieć, jakie są prawdziwe intencje i konsekwencje oglądania takich materiałów. Poprzez odpowiednie edukowanie, możemy pomóc dziecku

w redukowaniu wpływu pornografii na jego myśli i zachowanie, a jednocześnie budować zdrowe podejście do seksualności i intymności.

Jak włączyć edukację seksualną do codziennych rozmów z dzieckiem w celu zapobieżenia narażeniu go na treści pornograficzne?

Oddaliśmy w ręce czasami zadziwiająco małych dzieci przepiękne narzędzie. Wiemy, że korzystając z sieci możemy zwiedzać Luwr albo National Gallery, tylko ile osób to robi? Natomiast przeogromna większość scrolluje sobie ekran i czasami zupełnie przypadkowo dzieci trafiają na treści pornograficzne. Przemysł pornograficzny ma opracowane różne metody, aby przyciągnąć uwagę internautów, nawet jeśli nie korzystają bezpośrednio z linków. Najlepszym podejściem jest przygotowywanie dzieci zawczasu, jednak ważne jest, aby nie przekraczać granicy informacji dostosowanych do ich wieku. Wyjaśnienie 8- czy 9-latkowi technik używanych w pornografii nie jest dobrym pomysłem. Zamiast tego, możemy skupić się na tłumaczeniu, że filmy pornograficzne nie odzwierciedlają prawdziwej intymności i zdrowych relacji. Możemy również rozmawiać z dzieckiem o tym, co jest prawdziwe, a co nie w tego rodzaju materiałach. Włączanie edukacji seksualnej do codziennych rozmów z dzieckiem może być pomocne w zapobieganiu fatalnym skutkom kontaktu z treściami pornograficznymi. Ważne jest, aby budować z dzieckiem zaufanie i stworzyć otwartą atmosferę, w której mogą zadać pytania i poruszać tematy związane z seksualnością. Przy odpowiednim podejściu, możemy pomóc dziecku zrozumieć, czym różni się pornografia od prawdziwych, intymnych relacji, oraz jakie są negatywne skutki oglądania takich treści. Żadna edukacja seksualna nie powinna polegać na nauczaniu technik. Takie treści są przeznaczone dla starszych, świadomych swojej seksualności osób. Jednak udawanie przed dziećmi, że ta dziedzina życia nie istnieje, jest nieuczciwe. Ważne jest, aby dzieci otrzymywały dwa komunikaty. Po pierwsze, że ludzie, którzy się kochają, wyrażają swoją miłość, czułość i serdeczność na różne sposoby, dostosowane do wieku. Po drugie, ważne jest przekazywanie informacji (odpowiednich dla wieku dziecka), które wyjaśniają, że filmy porno są zmyślone i zrealizowane w sposób celowy, aby przyciągnąć uwagę widza, że nie pokazują prawdziwego obrazu seksu. Niezbędne jest utrzymanie równowagi, aby dzieci rozumiały, że intymność między dorosłymi jest czymś naturalnym i pięknym, jednak filmy pornograficzne nie odzwierciedlają rzeczywistości. Przekazując te informacje w sposób odpowiedni dla ich wieku, możemy pomóc dzieciom zrozumieć, że filmy porno są wynikiem skonstruowanego spektaklu, mającego na celu zainteresowanie i utrzymanie uwagi widza.

Rodzice, którzy martwią się, że ich dziecko jest narazone na wpływy pornografii, ale nie wiedzą, jak rozpocząć tę rozmowę, chętnie przeczytali by, jakie wskazówki byłyby dla nich przydatne?

Wykorzystajmy okazję, na przykład zdjęcie lub filmik, który przedstawia gesty czułości, pocieszenia lub ludzi przytulających się do siebie. Możemy naturalnie nawiązać do tego, że istnieje wiele różnych rzeczy do obejrzenia. Zawsze możemy powiedzieć, że czytaliśmy o pewnym przypadku albo rozmawialiśmy ze znajomym z pracy, który właśnie o tym wspominał. Zawsze można się odwołać do tego rodzaju doświadczeń. Jednak lepiej unikać odwoływania się do własnych doświadczeń w tematyce edukacji seksualnej. Powtórzę: nie planujemy jednej wielkiej rozmowy, w której powiemy wszystko.

Tej tak zwanej rozmowy uświadamiającej.

Właśnie. Zamiast tego, starajmy się wykorzystać różne okazje i sytuacje, aby w sposób krótki i naturalny poruszać temat i stopniowo wprowadzać informacje. Jeśli chodzi o nieco starsze dzieci, musimy wiedzieć, że prawdopodobieństwo ich zetknięcia się z treściami pornograficznymi zbliża się do 100 procent, bo nawet jeśli same ich nie szukają, to usłużny kolega podeksycytowany tym, co widzi, może im pokazać. To konsekwencje tego, że dzieci mają nieograniczony dostęp do internetu. Może nam się to nie podobać, ale nie ma możliwości, by to wyeliminować. Zatem na pytanie, jak na pewno ustrzec dziecko przed oglądaniem pornografii, odpowiedź wydaje się jedna: trzymać dziecko zawsze w pobliżu, nie dalej niż pół metra od siebie, i nie dawać mu telefonu.

Ale to jest niemożliwe.

I nie jest to również postulowane. To nie byłoby dobrym pomysłem.

Jakie znaczenie mają media społecznościowe w kształtowaniu postrzegania seksualności przez dzieci i jak można kontrolować wpływ tych mediów na dziecko? Istnieją przecież narzędzia, takie jak filtry i programy, które pomagają ograniczyć dostęp dziecka do treści pornograficznych.

Oczywiście, każdy rodzic, który decyduje się dać swojemu dziecku telefon, powinien rozpocząć, a nawet wcześniej, prowadzić liczne rozmowy na temat zasad postępowania osoby korzystającej z telefonu. To niezwykle istotne, aby przed przekazaniem dziecku telefonu wyjaśnić, wprowadzić i utrwalić zasady, co można, a czego nie

RODZICE USTALAJĄ REGUŁY, ALE IM BARDZIEJ DZIECKO BĘDZIE ICH WSPÓŁAUTOREM, TYM WIĘKSZA SZANSA, ŻE POTRAKTUJE JE JAKO SWOJE PRZEKONANIA

można robić, korzystając ze smartfona. Jedną z tych zasad powinien być na przykład limit czasu. Naprawdę nie może być tak, że dopiero wtedy, kiedy zorientujemy się, że nasze dziecko spędza cztery godziny dziennie przy smartfonie, możemy się odwołać do ograniczeń. To jest absurd. Podobnie, nie możemy nie rozmawiać z dzieckiem o tym, że istnieją różne strony internetowe i różne treści, i dopiero wtedy, gdy napotkamy stuprocentowy dowód, próbować wprowadzać jakieś ograniczenia. Limit czasowy powinien być wprowadzony od samego początku. To po pierwsze. Druga rzecz to wprowadzenie kontroli rodzicielskiej. Istnieją specjalistyczne narzędzia, warto skorzystać z ich pomocy, jeśli sami nie jesteśmy w stanie sobie poradzić lub obawiamy się, że zrobimy coś nie tak. Poprośmy o zainstalowanie aktualnych i skutecznych programów kontroli rodzicielskiej. Problem jednak polega na tym, że są dzieci, które potrafią obejść takie zabezpieczenia. To oznacza, że rodzic, który zainstrował taki program, dajmy na to, trzy lata temu, nie może żyć w błogim przekonaniu, że zrobił wszystko, co trzeba, w tej dziedzinie.

Dzisiaj technologie cyfrowe umożliwiają dzieciom i młodzieży łatwy dostęp do pornografii w każdym miejscu i natychmiastowo, więc co można zrobić?

Warto monitorować wyszukiwarkę i zawrzeć umowę z dzieckiem, że korzysta ono z internetu, ale rodzic ma prawo to kontrolować i powinien z tego prawa skorzystać.

Są rodzice, którzy z różnych powodów tego nie sprawują; w ogóle nie zajmują się tym tematem.

Niektórzy nie zajmują się tym, ponieważ nie czują się kompetentni w tej dziedzinie i mieliby trudności z odtworzeniem historii przeglądania. Inni tłumaczą to tym, że nie chcą szpiegować swojego dziecka, uważając, że wychowanie powinno się opierać na zaufaniu. To prawda, ale zaufanie rodzica do dziecka, nie powinno być równoznaczne z dziecięcą naiwnością i unikaniem trudnych sytuacji. Uważam, że kiedy dziecko jest stosunkowo małe; ma 8, 9, 10 lub 11 lat, powinno mieć świadomość, że

rodzic ma prawo sprawdzić, w jaki sposób korzysta ono ze smartfona. Nie robiłabym z tego wielkiej tajemnicy. Dla dziecka powinno być jasne, że rodzic może kontrolować sposób, w jaki ono korzysta z urządzenia. Za takim rozwiązaniem się tu opowiadałam.

W październiku ubiegłego roku NASK opublikował raport: „Nastolatki wobec pornografii cyfrowej”, z którego wynika, że co piąte dziecko, które ogląda tego rodzaju treści, ma mniej niż 10 lat. Okazuje się, że głównym narzędziem do przeglądania pornografii jest telefon, a powodem tego zachowania jest nuda. Mając taką świadomość, co możemy z tym zrobić?

Po pierwsze, nie powinniśmy zakładać, że nasze dziecko absolutnie nie jest dotknięte tym problemem; byłby to błąd. A proszę mi wierzyć, jest to równie powszechne jak przekonanie, że skoro dziecko dostało iPhone'a lub inny smartfon, z zainstalowanym programem kontroli rodzicielskiej (trzy lata temu!), to rodzic zrobił, co należy i jest zabezpieczony na resztę życia i nie ma się czym martwić. Nie możemy trwać przy takich błędnych przekonaniach. Zawsze mnie zdumiewa, gdy rodzice dzieci, które zaczynają sprawiać kłopoty, tłumaczą to złym towarzystwem. Jednak nie spotkałam jeszcze rodzica, który by przyznał, że to właśnie ich dziecko jest tym złym towarzystwem dla innych. Zadziwiająco, prawda? To samo dotyczy smartfonów i rodzice powinni być świadomi tego faktu. To też zadanie edukacji medialnej, niestety, w większości szkół jest ona słabo realizowana. Rodzice powinni zdawać sobie sprawę, że jeśli istnieje możliwość wpisywania w wyszukiwarkę słów kluczowych dotyczących pornografii, seksu czy stosunku, które to słowa krążą w różnych grupach rówieśniczych, wcześniej czy później nasze dziecko także to zrobi. Nawet jeśli nie zrobi tego ze względu na świadomość, że kontrolujemy jego smartfon, to ma kolegów, którzy mogą to zrobić. Warto mieć świadomość, że nie ma innej możliwości niż przygotowanie dziecka na to, że tego rodzaju „dzieła sztuki” istnieją i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Co więcej, mogą kształtować przekonania, które utrudniają

dziecku nawiązanie bliskiej relacji, właściwe przeżycie pierwszej miłości w późniejszym życiu. Mamy wiele informacji na ten temat, że poza nielicznymi przypadkami, kiedy seksuolog wręcz zaleca dorosłemu kontakt z filmami porno, dla ogromnej większości ludzi pornografia jest nieodpowiednia. To dotyczy zarówno dorosłych, jak i dzieci.

Badania pokazują, że dzieci, które oglądają treści pornograficzne, mają niższy poziom społecznej integracji i wykazują wyższe ryzyko występowania niepożądanych zachowań. Co to dokładnie oznacza?

Zdarza się, że 9- i 10-latkowie oglądają pornografię przez dwie-trzy godziny dziennie. To już może być objaw uzależnienia. Wiadomo, że im większe przywiązanie do smartfona, który jest głównym sposobem kontaktowania się dzieci z internetem, tym więcej czasu dziecko spędza w sieci i ogląda różnego rodzaju treści. Może wyszukiwać filmy dotyczące nie tylko pornografii, ale także, na przykład, w jaki sposób zabić karnarka czy chomika. Nie tylko pornografia stanowi dziś kosztowne zagrożenie. Im więcej czasu dziecko spędza w sieci, tym większe jest ryzyko, że będzie stale pobudzone emocjonalnie. Treści internetowe bardzo intensywnie oddziałują na układ nerwowy, przez co dziecko może być bardziej drażliwe, irytować się łatwiej i tracić kontrolę nad emocjami. Dodatkowo, dziecko może nie mieć okazji do wypracowania lub rozwinięcia kompetencji społecznych, takich jak nawiązywanie kontaktu i rozmowa z innymi ludźmi, nawet na błahe tematy. Dzieci powinny uczyć się tych umiejętności. Jak mają to osiągnąć, jeśli większość ich czasu wypełnia korzystanie z internetu? Widać tutaj sprzężenie zwrotne. Dzieci, które mają trudności w relacjach z rówieśnikami z różnych powodów, na przykład ze względu na sytuację domową, bo często nie czują się komfortowo zapraszając kolegów do swojego domu, to więcej czasu spędzają w sieci. To jest naturalne, że szukają tam kontaktu, który w innych miejscach może im sprawiać trudność. Mogłoby poświęcić ten czas na naukę rozmawiania, porozumiewania się i uczenia się rozwiązywania konfliktów bez przemocy, obrażania się czy szukania rozwiązań ekstremalnych. Tego czasu brakuje. Krótko mówiąc, dzieci, które nie cieszą się popularnością wśród rówieśników, szukają ucieczki w sieci, ale spędzanie tam zbyt dużej ilości czasu może utrudniać im funkcjonowanie i relacje z rówieśnikami.

Warto zachęcać dzieci do angażowania się w inicjatywy mające na celu ograniczanie występowania pornografii wśród dzieci i młodzieży? W jaki sposób to robić?

Zdecydowanie warto to robić od najmłodszych lat. Już u dwulatka widać bardzo wyraźne dążenie do samodzielności, do tego, żeby mógł powiedzieć: ja sam, ja sama i to nie mija w kolejnych latach. Dziecko ma bardzo dużą potrzebę współdecydowania o swoim życiu. Oczywiście, rodzice ustalają reguły, ale ważne jest widzieć dziecko jako współdecydenta i współtwórcę swojego życia. Jeśli rodzice wieczorową porą, tak, by im dzieci nie przeszkadzały, siadają i ustalają, jakie zmiany wprowadzają w życie dzieci, to jest to przykład sytuacji, kiedy rozstrzygają o życiu dzieci bez nich. Traktują je przedmiotowo. Kiedy w rozmowie z dzieckiem potrafimy powiedzieć, co nas niepokoi i dlaczego chcemy wprowadzić takie a nie inne rozwiązania, albo co uważamy za konieczne w postępowaniu po to, żeby tych powodów do niepokoju było jak najmniej, to im bardziej dziecko będzie współdecydem, współautorem wprowadzonych, następnie wypisanych i przyklejonych do lodówki albo do drzwi reguły, to tym większa szansa, że w pewnym momencie ono potraktuje te narzucone z zewnątrz reguły jako swoje przekonania, zgodnie z którymi będzie postępowało. Nie da się dzisiaj upilnować dziecka. Jeśli rodzic ma taką koncepcję że upilnuje, że będzie sprawować całkowitą kontrolę nad życiem dziecka, to jest to skazane na niepowodzenie.

Znaczenie ma umiejętność komunikacji?

Powiedziałabym szerzej, że znaczenie ma styl wychowania. Wpojenie dziecku podstawowych norm i zasad postępowania jest naturalnie niezbędne, ale jeśli ktoś widzi się w roli rodzica jako „kaprala”, przed którym dziecko musi stukać obcasikami i powtarzać „Tak jest!”, to dzisiaj taki styl wychowania nie przyniesie dobrych rezultatów.

CV

Aleksandra Piotrowska

Doktor psychologii, wieloletni pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, była społecznym doradcą Rzecznika Praw Dziecka, współpracuje jako społeczny doradca z Komitetem Praw Dziecka. Autorka wielu publikacji naukowych i popularnonaukowych.

HELENA ENGLERT: JESTEM CZŁOWIEKIEM, KTÓRY IDZIE PO SWOJE I NIE BOI SIĘ NICZEGO

Helena Englert to córka Jana Englerta i Beaty Ścibakówny. Choć dopiero kończy szkołę aktorską, oglądamy ją już w dwóch głównych rolach – w serialu HBO MAX „#bringbackalice” i w filmie „Pokusa”. Nam opowiada, dlaczego znane nazwisko to dla niej błogosławieństwo i przekleństwo

Paweł Grzyl

Od początku roku jesteś w centrum medialnej zawieruchy. Jak sobie z tym radzisz?

Dobrze wiedzieć, że to się nie dzieje tylko w mojej głowie. (śmiech) Staram się nie stracić zdrowego rozsądku i słuchać swojej intuicji. Wiąże się z tym oczywiście pewna presja, którą chyba jednak sama sobie nakładam. Łapię się na tym, że rozglądam się za tym, czy ktoś się za mną nie rozgląda. Bo tak naprawdę kogo obchodzi jakaś dwudziestoparoletnia gówniara? Staram się więc znaleźć równowagę między tą medialną zawieruchą a tym, że muszę robić zakupy w Żabce. To dziwne uczucie, ale sytuacja, w której jestem, stanowi spełnienie moich marzeń. Czuję się więc źle, kiedy na nią narzekam, bo wiem, że nie powinnam.

Popularność szybko uderza do głowy. Masz w sobie przyzwolenie na „sodówkę”?

Mam. To jest nieuniknione. Trudno jest ocenić, czy to już się wydarzyło czy jeszcze nie. W moim przypadku mogło się to już zacząć. Uważam, że wszystko trzeba robić z głową i nie krzywdzić nikogo. Do momentu, kiedy ta „sodówka” jest nieszkodliwa, to wszystko OK. Ale jak zacznie się zamieniać w mechanizm bycia arogantem czy opryskliwym, będzie dla mnie problematyczna. Dlatego bardzo się będę bronić, aby to się nie wydarzyło.

Jaki masz na to sposób?

Na szczęście otaczają mnie ludzie, którzy mają absolutnie gdzieś to, gdzie pracuję i w związku z tym bardzo skutecznie ściągają mnie na ziemię. To bardzo ważne, aby mieć takie grono bliskich osób, które zauważy, kiedy wspomniana „sodówka” za bardzo zacznie mi uderzać do głowy i nie pozwoli mi za daleko odfrunąć.

Pewnie ta zawierucha medialna wokół ciebie byłaby

mniejsza, gdyby nie twoje nazwisko. Powiedziałaś niedawno, że to dla ciebie „błogosławieństwo i przekleństwo”.

Głupio mi na to narzekać, bo tak naprawdę to wielki przywilej. Zagrałam tylko dwie główne role w życiu, a „Vogue” pisze o mnie „Mocne wejście młodej gwiazdy polskiego kina”. Rozumiem więc frustrację niektórych kolegów czy koleżanek po fachu. Moim zdaniem nie zasłużyłam sobie na takie miano. Ale z drugiej strony presja, jaką odczuwam, byłaby mniejsza, gdyby nie to nazwisko.

To znaczy?

Wczoraj po raz pierwszy od piętnastego roku życia przeczytałam komentarze na mój temat na Pudelku. I wystarczy mi tego na kolejne osiem lat. Dowiedziałam się o sobie wielu ciekawych rzeczy, z których większość nie jest prawdą. Trudno jest się jednak przed tym bronić. Nawet jeśli wie się, że nie trzeba tego czytać i nie zwracać na to uwagi. Ja myślałam, że kiedy zrobię coś, czemu oddam całe moje serce i wypłacę hektolitry łez, to ludzie to zauważą i powiedzą:

„OK - to niby Englertówna, ale robi fajne rzeczy”. A tu okazuje się, że to tak nie działa. Sama się sobie dziwię, ale byłam naiwna i wierzyłam w ludzi.

Tymczasem co premiera, dostaję sygnał, że natura człowieka nie jest zyciwiwa. I ze względu na moje nazwisko nigdy nie dobieję się do tych, którzy mają już wyrobioną opinię na mój temat. Może w tej sytuacji lepiej przestać próbować, nie przejmować się żadną krytyką i po prostu robić swoje? Dlatego teraz przemebłowuję swoją głowę i zmieniam stosunek do opinii publicznej. Jeśli czuję w kościach, że coś jest dla mnie dobre, to nie widzę sensu, aby to blokować, zastanawiając się, kto i co o tym pomyśli.

Masz takie poczucie, że przez znane nazwisko, musisz się bardziej starać niż twoje koleżanki i koledzy z branży?

Aż tak bym nie powiedziała. To zupełnie inny rodzaj presji. Nie potrafię jej jednak na razie nazwać.

Oglądamy cię aktualnie w głównej roli serialu stacji HBO - „#bringbackalice”. Jak do niego trafiłaś?

Castingi trwały dłużej niż zwykle. Zazwyczaj przychodzi się trzy razy i kiedy się przejdzie dwa pierwsze etapy, na tym trzecim dostaje się odpowiedź tak lub nie. Tymczasem przy tym serialu byłam kilkanaście razy na castingu i znam dziewczyny, które przychodziły częściej niż ja, a finalnie nie zagrały. Obsada była kompletowana bardzo skrupulatnie. Początkowo brano mnie pod uwagę do roli Pauli, podobnie jak Milę Jankowską. Dopiero podczas ostatniego dnia castingu pani producent wpadła na pomysł, aby dać mnie na Alicję.

Serial opowiada o współczesnych nastolatkach. Ty masz obecnie 23 lata. Czujesz jeszcze bliskie powinowactwo z dzisiejszymi nastolatkami?

Trochę tak. Mieszkam w centrum Warszawy, dlatego często widzę w modnych miejscach obecnych licealistów. I dostrzegam, że ubierają i zachowują się inaczej niż ja w ich wieku. Ale nie jakoś diametralnie. Obawiałam się jednak, czy trafimy estetycznie do nich z naszym serialem. Bo oni idą w stronę brudu i błota w stylu końca lat 90., gdy my tymczasem opowiadamy o neonowych latach początku minionej dekady, kiedy wszystko było śliczne i rodem z Instagrama. Najbardziej śmieszy mnie, kiedy dzisiejsze nastolatki zaczynają do mnie mówić per „pani”. Kiedy mijam ich przechodząc obok jednego z liceów, widzę, że patrzą na mnie jak na dorosłą

kobietę wracającą z pracy. Tymczasem ja mam ochotę ich spytać, czy mogłabym z nimi spalić szluga. (śmiech)

Podobnie jak ty, uprzywilejowana jest bohaterka z serialu. Dużo bliskiego sobie znalazłaś w Alicji?

Trochę. Ale raczej w tej Alicji, która wyłania się w trzecim odcinku. Ona jest w podobnym miejscu energetycznie jak ja. Trudno tak mówić o sobie, ale jestem człowiekiem, który idzie po swoje i nie boi się niczego. I jaka by nie była cena, jestem gotowa ją zapłacić. Wiem, że w naszym kraju nie jest to dobrze widziane - ale taka jest prawda. Z tą różnicą, że ja nie krzywdzę ludzi. A przynajmniej staram się tego nigdy specjalnie nie robić. Jeżeli już to się wydarzy, to biorę odpowiedzialność za swoje błędy i tak działam, by niczego nie żałować. Tymczasem Alicja przekracza granice, która są dla mnie nieprzekraczalne. Mimo to lubię ją i za nią tęsknię. A nie zawsze się gra postaci, które się lubi.

Alicja cierpi na częściową amnezję. Trudno grać osobą w takim stanie zawieszenia?

Tak. Ten serial to przykład typowego kina gatunkowego. Dlatego musiałam znaleźć złoty środek między prawdą psychologiczną o mojej postaci a wymogami gatunku. Bardzo się skupiałam na tej amnezji Alicji: ponieważ zdawałam maturę z psychologii, napisałam do mojego profesora i poprosiłam o materiały źródłowe na temat PTSD. Potem od tego zaczęłam przygotowania do roli. Najpierw zbudowałam smutną Alicję, którą oglądamy w dwóch pierwszych odcinkach - a później się od tego odbiłam. Jej trauma była dla mnie punktem wyjścia.

Nie brakuje w serialu mocno emocjonalnych scen. Trudno było ci sobie z nimi poradzić?

Najprzyjemniej kręciło mi się środkowe odcinki. Tam było najwięcej dramy. Mogłam więc sobie pozwolić na zabawę moją postacią. Najtrudniejsze były z kolei dwa pierwsze odcinki - bo leżą one najdalej pod względem energetycznym ode mnie. Zagranie na takim poziomie było dla mnie katogą. Ale dzięki temu nauczyłam się jak się to robi. Absolutnym piekłem był jednak dopiero odcinek finałowy - choćby dlatego, że dzieje się w nocy i mieliśmy maraton nocnych zdjęć. To było bardzo trudne wytrzymałościowo. Niestety, ja mam tak, że kiedy się bardzo stresuję, to siada mi odporność. I cały szósty odcinek grałam z gorączką. Całe szczęście Sebastian Dela podtrzymał mnie przy życiu. Zresztą cała ekipa bardzo sobie wzajemnie pomagała. Emocjonalnie to była jednak krew, pot i łzy. Stąd tak mi zależy, żeby widzowie to docenili.

Wspomniałaś o ekipie: to prawie sami młodzi ludzie w twoim wieku. To miało wpływ na atmosferę na planie?

Tak. Inaczej pracuje się z doświadczonymi aktorami, a inaczej z dziećmi. Wchodząc na plan, nie wiedziałam co to znaczy grać w konkretnym gatunku. Mamy tutaj bowiem zupełnie inny świat niż ten, który istnieje za oknem. To nie jest typowa polska szarzyzna. Wszystkie wnętrza są umeblowane od A do Z przez scenografa. Kostiumy wzięto z najwyższej półki. Czyli im dziwniej i bardziej kolorowo, tym lepiej. Dlatego trzeba było używać innych środków, budując te postaci. Musieliśmy się tego nauczyć nie tylko my, jako młoda obsada, ale również musieliśmy wypracować to z reżyserem i z każdym pionem produkcji. Tam każdy rekwizyt był ważny i musiał być gatunkowy. Bardzo mnie interesowało, jak wszyscy pracują na to, aby stworzyć tę cukierkową rzeczywistość. W efekcie powstała

swego rodzaju bajka - i bardzo mi się to podoba.

Powiedziałaś o tym serialu: „To projekt, w którym powolutku zaczęłam stawać się aktorką”.

To był pierwszy profesjonalny plan, na który weszłam po powrocie ze Stanów. Wcześniej miałam przez studia i pandemię dwuletnią przerwę. Musiałam więc szybko przypomnieć sobie, jakie są jego zasady i wdrożyć się w tę rutynę. Te sto dni pracy nad serialem było dla mnie wielką nauką i okresem autentycznego dorastania. Jasne - ja wiem, że nadal wiele nie umiem. Ale po tym serialu niczego się już nie boję. Choćby tego, że na castingu dostanę scenę, której nie będę potrafiła zagrać. Bo wiem, że choć na początku nie będę znała drogi, to z czasem ją znajdę. Mam bowiem wystarczająco dużo narzędzi, by sobie z tym poradzić. Kiedyś szłam na casting i modliłam się: „Boże, żeby mi tylko dostała coś, co leży w mojej strefie komfortu, bo inaczej wyda się, że czegoś nie potrafię”. Teraz podchodzę do tego z mniejszą obawą.

Coś byś dzisiaj zmieniła w swej grze?

Oczywiście. Jest kilka takich scen, o których myślę: „Co ty grasz?”. Ale ja to lubię. Podobnie zresztą mam oglądając swoje koleżanki i kolegów. Bo wiem, że kiedy ktoś fałszuje, to znaczy, że podjął próbę i ryzyko. Wiadomo - kiedy ktoś cały czas fałszuje, to jest zła rola. Ale kiedy widzę, że mam momenty, które są świetne, to wybaczam te fatalne. Wolę tak, niżby to miało być cały czas nijakie i miałkie. Myślę, że nie zabrzmi to arogancko, ale uważam, że ta rola jest tak różna, że nawet jeśli są tam fałszywe nuty, to są też takie, z których mogę być naprawdę dumna. Nikt mi tego nie zabierze.

Po „#bringbackalice” nakręciłaś kinowy film - „Pokusę”. Ta



Helena Englert: W warszawskiej akademii pracuje się bardzo ciężko – przez siedem dni w tygodniu niemal od rana do nocy. Przetwarzają tylko najsilniejsi

kolejność miała znaczenie dla twojej gry?

Ja bym w ogóle nie wzięła tego filmu, gdyby wcześniej nie było tego serialu. Nie miałabym bowiem środków, aby go zrobić. Początkowo przeczytałam „Pokusę” jako komedię. „Fajnie. Tak jeszcze nie grałam” – pomyślałam. Ostatecznie wyszło jak wyszło, ale próba została podjęta. Był to więc kolejny element mojej aktorskiej edukacji.

Powiedziałaś o swej bohaterce: „Mogłam stworzyć od zera nowego człowieka”.

Wiem, że to okropnie zabrzmiało, ale musiałam przy „Pokusie” odkryć swoją kobiecość. Tego ode mnie wymagało to zadanie. Chodziłam więc całe dni w szpilkach i wszyscy się na mnie gapili, myśląc: „Co ta typiara robi o czternastej w obcasach?”. Ale na tym polega ten zawód – że można być każdym. Tutaj mogłam się na chwilę rozsiaść w takiej hiperkobiecości i znaleźć nieznośną lekkość bytu.

Polubiłaś Inez jak Alicję i też tęsknisz za nią?

Nie. Z Alicją bym się zaprzyjaźniła i na pewno byśmy się dogadały. Z wielu powodów. A z Inez bym się nie dogadała. Bo ona

podejmuje decyzje, które są dla mnie niezrozumiałe. Grając ją, musiałam znaleźć w sobie powody, dla których ona to robi. Ja jestem ze szkoły, która uznaje, że aktor nie musi bronić za wszelką cenę swojej postaci. Bo fajnie jest grać ludzi, których się nie lubi. Którzy są źli i naiwni. I podejmują decyzje, których prywatnie by się nie podjęło. Bo inaczej cały czas gra się siebie. Trzeba próbować budować swych bohaterów od zera. Ja tak miałam z Inez. To po prostu oznaczało, że trochę trudniej mi się nad tą rolą pracowało. Ale im większe wyzwanie, tym większa satysfakcja, jeśli się uda.

Media skupiły się po premierze „Pokusy” na erotycznych scenach z twoim udziałem. Tymczasem ty powiedziałaś: „Wystąpiłam przed kamerą bez ubrania i czułam się z tym OK”.

Nie jestem ambasadorką pruderii. Zresztą jak chyba większość ludzi z show-biznesu. Uznałam więc, że te sceny to kolejna granica, którą mogę sobie pozwolić przekroczyć i kolejny krok, który mogę wykonać, nie robiąc sobie krzywdy. W „#bringbackalice” też są robione sceny, ale zostały tak zmontowane, że wyglądają

na delikatniejsze. A to nie znaczy, że ja nie stałam goła na planie dwa razy dłużej i przed dwa razy większą ekipą. Granie tych scen było bardzo podobne, tylko inaczej je filmowano. A na to jak jest to pokazane, ja jako aktorka nie mam wpływu. Tak czy siak jednak to ja się rozbiłam. Dlatego kręcąc „Pokusę” miałam już to za sobą. A kiedy stoi się nago na jachcie na środku Bałtyku, obok ciebie stoi nago kolejnych osiem osób z obsady, a na drugiej łódce jest cała ekipa – to w pewnym momencie nawet przestajesz się już zasłaniać. „To co, kręcimy?” – i jedziesz. To był taki moment, po którym sceny dwojkowe z „Pokusy” nie stanowiły już dla mnie problemu. To taka praca. Nikogo tym nie skrzywdziłam – a dla mnie to było OK. I tyle.

Coraz częściej aktorki i aktorzy mówią, że sceny erotyczne to dla nich tylko choreografia. Rzeczywiście tak jest?

Oczywiście. Jeżeli zaczynałoby mnie to emocjonalnie kosztować, to mam prawo przerwać zdjęcia. Bo w ten sposób robiłabym sobie krzywdę. Od tego są dzisiaj koordynatorzy scen intymnych na planie. Taka osoba pilnuje granic w chwilach,

kiedy aktorce jest trudno je samej wyznaczyć. Adrenalina na planie zawsze podskakuje i czasami zgadzasz się na więcej: „Tak, róbmy to!”. A potem wracasz do domu i myślisz: „Czy to było OK? To nie było wcześniej uzgodnione. Ja nie wiem czy ta improwizacja była spoko”. I taki koordynator jest od tego, by pilnować, abyś ty sam nie zrobił sobie krzywdy.

„Pokusę” kręciła kobieta – Marysia Sadowska. To miało w tym kontekście znaczenie?

Dla mnie nie. Reżyser to twój zwierzchnik, który wydaje ci polecenia. Oczywiście słucham go i przyjmuję wszystkie uwagi, które dostaje. Ale zostawiam trochę dla siebie i nie dzielę się tym z nim. Na tym polega higiena tej pracy. Reżyser to nie osoba, której ja bezgranicznie ufam. To działa w dwie strony. Reżyser ma swój pomysł i ja mam swój pomysł. I chodzi o to, aby pójść na kompromis.

Po raz pierwszy pojawiłaś się w filmie, mając zaledwie dwa lata. To był pomysł twoich rodziców?

Nie mam pojęcia. To urosło do rangi anegdoty, ale nie wiem jak to się stało.

A kiedy świadomie weszłaś po raz pierwszy na plan?

To był plan „Układu zamkniętego” niezującego już Ryszarda Bugajskiego. I pamiętam, że bardzo mi się nie podobało. Plan to nie jest miejsce dla dziecka: było dużo ludzi, panował hałas, biegali antyterrorysty. Ze wszystkich stron słyszałam: „Nie stawaj na kablu!”, „Tu nie przechodź!” albo „Tu nie siadaj!”. Musiałam czekać i czekać i czekać. Było mnóstwo bodźców, czułam się więc niefajnie. Musiałam z czasem nauczyć się lubić tę pracę.

Kiedy to się stało?

Jak miałam piętnaście lat. Zorientowałam się wtedy, że próbowałam już wszystkiego, tylko tego jeszcze nie. Bardzo się przed tym broniłam i nie chciałam w to iść. Ale w końcu poszłam do agencji aktorskiej i wzięłam udział w castingu do „Barw szczęścia”. Wygrałam go – i podpisałam umowę na rok. Po pierwszym dniu zdjęciowym chciałam się zabić. Uznałam, że to w ogóle nie dla mnie i nigdy nie będę pracowała w tym zawodzie. Miałam takie same wrażenia jak po „Układzie zamkniętym”. Poszłam więc do mamy i się jej wypłakałam. „Dlaczego podpisałam tę umowę przed wejściem na plan?” – szlochałam. Przeraziłam się dodatkowo, że skoro i ten zawód nie jest dla mnie, to co ja w ogóle będę robić w życiu? To był dziwny dramat piętnastolatki.

Dlaczego zmieniłaś nastawienie?

Poszłam do pracy następnego dnia. I potem następnego. I następnego. W końcu coraz mniej mi się podobało w szkole, a coraz bardziej na planie. Z biegiem czasu niecierpliwie czekałam na te dni, kiedy będę mogła być w pracy. Zaczęłam się kolegować ze wszystkimi, narodziły się więc moje pierwsze zawodowe przyjaźnie. Spodobało mi się też to, że na planie byłam traktowana jak dorosła, a nie jak dziecko w szkole. I nikt mi nie zwracał uwagi za szepkanie z koleżankami. Tak przeszłam od nienawiści do miłości. Ciekawe było też to, że mogłam korygować swoje błędy: oglądałam kolejne odcinki i kiedy widziałam, że coś mi idzie fatalnie, potrafiłam to zmienić. Widziałam w ten sposób progres w mojej pracy. Nie potrzebowałam do tego instruktora, tylko umiałam sama siebie korygować. To było super. To nie znaczy, że nie umiem przyjmować krytyki od innych. Nie uznaję się za nieomylną. Widziałam jednak swój rozwój i to było dla mnie bardzo satysfakcjonujące.

Po maturze wyjechałaś studiować aktorstwo do USA. To był dobry pomysł?

Fantastyczny. Gdybym wtedy tam nie pojechała, to teraz byłabym tutaj bardzo nieszczęśliwa.

Dlaczego?

Bo nie wiedziałabym co straciłam. Musiałam tam pojechać, żeby zakochać się w Warszawie. Kiedy tam byłam, po dwóch miesiącach ustawiłam sobie jako tapetę na laptopie kolumnę Zygmunta. (Śmiech) Nagle zrozumiałam z jakiej kultury pochodzę. Że ona jest czasem trudna, ale w żadnej innej nie chcę się poruszać. Męczyłam się w tych Stanach, nie umiałam się zasymilować.

A same studia?

Też mi nie odpowiadały. Tam opiera się to na kanapkach z komplementów, a ja potrzebuję konkretnego i ostrzejszego dydaktyki.

Mogłaś grać dalej i bez szkoły. Dlaczego zdecydowałaś się zdawać do warszawskiej Akademii Teatralnej?

Chciałam dostać warsztat. To są narzędzia, których nie da się zdobyć bez szkoły. W warszawskiej akademii pracuje się bardzo ciężko – przez siedem dni w tygodniu niemal od rana do nocy. Tam nie ma świąt i weekendów. I przetwarzają tylko najsilniejsi. To jest okrutne, ale uczy etyki pracy: wytrwałości, hierarchii, ale też tych wszystkich technicznych rzeczy – dykcji, ruchu, znajomości gatunków, różnicy w graniu klasyki i teatru współczesnego. Najpierw dostajesz Szekspira i Fredę, a potem na trzecim roku współczesny dramat amerykański. I dobrze – bo żeby malo-

wać abstrakcyjnie, trzeba najpierw nauczyć się robić to klasycznie. To bardzo potrzebne. I co ważne, szkoła daje możliwość pracy na etacie w teatrze po jej skończeniu. Może to na razie nie moja droga, ale uważam, że akademia była mi potrzebna.

A jak przyjęli młodą Englertównę rówieśnicy?

To w szkole poznałam takich samych ludzi jak ja, którzy chcą tak samo ciężko pracować. Którzy wstają o siódmej rano, żeby zrobić próbę, bo o innej godzinie nie ma możliwości. To jest super.

Ten warsztat z akademii przydaje ci się w filmowej praktyce?

Filmowy warsztat tak naprawdę zdobywa się pracując w zawodzie. Ta praca to bonus do podstawy, którą są studia. Jeśli bym ich nie skończyła, to moją bazą byłaby praktyka zdobyta w filmie i telewizji. To też cenna nauka. Ale mając jedno i drugie, jestem bogatsza.

Zagrałaś już w przedstawieniu dyplomowym – „Prawdziwy norweski black metal”. Teatr to coś innego niż film czy serial?

Kompletnie. Jeszcze się w nim nie odnajduję tak dobrze jak w filmie. Mimo skończenia szkoły, to jest dla mnie ciągle nowe. Nie czuję się wygodnie na scenie. Mam pewien dyskomfort i lęk przed oceną. Pracując w filmie, kieruję się intuicją, której mogę zaufać. A w teatrze jeszcze się trochę miotam. Mam więc tu pracę do wykonania.

Powiedziałaś niedawno: „Bardzo bym nie chciała osiąść na laurach”. To trudne zadanie przy twoich sukcesach?

Ja cierpię na chorobę ludzi ambitnych: nigdy nie jestem z siebie zadowolona. Dlatego dla mnie zawsze będzie za mało. Możesz to nazwać ambicją albo zachłannością. Ale zawsze chcę więcej, mocniej, szybciej, wyżej. I uważam, że to jest super, bo nie ma niebezpieczeństwa, że osiądnę na laurach.

A jak ci się znudzi aktorstwo, to możesz poświęcić się modzie. Bo to też twoja pasja.

To nie takie proste. Ale faktycznie lubię modę. To taki teren działania, na którym mam stu procentową sprawczość. Tutaj to ja podejmuję wszystkie decyzje artystyczne. Praca aktora polega na kompromisach, bo to sport zespołowy. Też to lubię. Ale ponieważ przy moim charakterze potrzebuję rutyny i lubię mieć wszystko dokładnie zaplanowane, moda pozwala mi na to, bym to ja mogła podejmować wszystkie decyzje. Kiedy mówię „To, a nie to” – to tak ma być i nikt nie będzie ze mną dyskutował. Potrzebuję mieć pełną kontrolę nad chociaż jedną sferą swego życia. I jest nią właśnie moda.

DZIESIECIU Z PAWIAKA. ZA ŚWIĘTOWANIE KONSTYTUCJI 3 MAJA DO WIEZIENIA

Był 3 maja 1940 r., piątek. 149 rocznica 3 Maja. Kierownicy warszawskich szkół ze Śródmieścia, Powiśla i Mokotowa jednogłośnie uznali – świętujemy.

Tadeusz Płuzański

Już wcześniej warszawscy nauczyciele przeciwstawiali się okupantowi. Mimo żądania Niemców nie wydali podręczników szkolnych, przekazując w zamian „buble” z antykwariatów. W ten sposób ocalili wartościowe książki do języka polskiego, historii i geografii. Z uczniami klas starszych prowadzili niedozwolone przez władze zajęcia. Kolportowali również tajną gazetkę „Polska Żyje”.

Najdroższy wyraz

Dla przygotowania obchodów święta 3 Maja kierownicy stołecznych szkół powołali ośmioosobowy komitet organizacyjny. Zamiast zajęć miały się odbyć patriotyczne pogadanki. Program dla młodszych klas był bardziej rozrywkowy, dla starszych poważniejszy. Nad wszystkim czuwał mój dziadek Wacław Płuzański, który kierował Publiczną Szkołą Powszechną nr 93 i pełnił funkcję przewodniczącego Rejonowej Komisji Kierowników.

Tekst otwierający pogadankę rozesłano do szkół. Szczęśliwie zachował się do dziś:

„Ojczyzna! Ojczyzna - najdroższy wyraz... Ojczyzna bowiem w tym mieści się słowie, Co serce kochające przez usta wypowie: To nasza powinność, to dla nas świat cały. Świat wspomnień, poświęceń, nadziei i chwały”.

Stanisław Zawadzki, kierownik Publicznej Szkoły Powzechnej nr 54 wspominał: „We wszystkich szkołach naszego rejonu świętowano 3 Maja zgodnie z przyjętymi ustaleniami. Uroczystości wypadły nad wyraz sprawnie, ciepło, podniosło”.

Woda po kostki

Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. 6 maja rejonowy podinspektor, nadzorujący szkoły z polecenia władz niemieckich, zebrał wszystkich kierowników szkół, w których świętowano rocznicę konstytucji. Zażądał od nich złożenia pisemnego oświadczenia o przebiegu obchodów. Następnego dnia znaleźli na swoich biurkach pismo: „Na skutek zlecenia p. Radcy Szkolnego Miejskiego z dnia 6 maja 1940 r. pro-

szę o przybycie punktualnie do Inspektoratu Szkolnego Miejskiego (Daniłowiczowska 1/3), piętro V, pokój nr 82 w piątek dnia 10 b.m. o godz. 15”.

Spośród dwunastu wezwanych nauczycieli nie stawiło się tylko dwóch. Przybyli: Stanisław Boczar, Romuald Buczowski, Stanisław Dobrowolski, Jan Jastrzębski, Kazimierz Mamczar, Stefan Nowiński, Wacław Płuzański, Ludwik Rajewski, Józef Wójcik, Stanisław Zawadzki.

W inspektoracie sprawdzono nazwiska przybyłych i do pomieszczenia weszli oficerowie Gestapo. Każdy nauczyciel dostał eskortę w postaci jednego oficera. Zeszli na dół. Wszystkich, samochodami osobowymi, przewieziono na Pawiak. Znaleźli się na oddziale siódmym, w celi 215 i sąsiedniej.

Stanisław Zawadzki: „Prerażająca była droga do tych cel; kilkanaście wielkich okratowanych drzwi zamykało się za idącymi, zanim nie trafili na mokre sienniki, bo wody było po kostki. Tak przesiedzieliśmy do rana”.

Żaden z uwięzionych nie zdawał sobie sprawy, że był to dopiero początek. Wkrótce otrzymali pismo, informujące o zwolnieniu ich z pracy z dniem 31 maja 1940 r. Widnieje na nim podpis inspektora szkolnego na m.st. Warszawy dr Teofila Szczerby. Rodziny nauczycieli dostały polecenie opuszczenia służbowych mieszkań.

Przez cały okres przebywania na Pawiaku nie byli wzywani do gmachu Gestapo przy ulicy Szucha. Fakt świętowania 3 Maja, mimo zakazu władz, nie podlegał dyskusji.

Od rodzin, nauczycieli i woźnych szkolnych dostawali grypsy, a przede wszystkim produkty żywnościowe - tłuszczy, cebulę, czekoladę. Wszystko dzięki pomocy polskich pracowników kuchni i szpitala więziennego. Wacław Płuzański trafił na Pawiak już kolejny raz. Wcześniej Niemcy aresztowali go jako zakładnika na okres przyjazdu Hitlera do Warszawy.

Inni nauczyciele-więźniowie przychodzili do niego z pytaniami - co Niemcy z nami zrobią?, jak potraktują nasze ro-



Wacław Płuzański zmarł 16 maja 1940 r. na serce w więziennym szpitalu

dziny?, czy można przeżyć więzienie? 16 maja 1940 r. Wacław Płuzański zmarł w więziennym szpitalu na serce. Dzięki staraniom rodziny Niemcy wydali jego zwłoki. Został pochowany na Starych Powązkach.

Pozostałych kierowników szkół osadzono na oddziale czwartym i piątym. Aby zapomnieć o więziennych rzeczywistości, opowiadali sobie przeczytane ostatnio książki, dzielili się wrażeniami z wyjazdów zagranicznych i wspomnieniami z działalności politycznej. Włączyli się również w konspirację. Dzięki ich kontaktom ze światem zewnętrznym inni towarzysze niedoli dowiadywali się o przebiegu śledztwa, losach najbliższych.

Tajne nauczanie

Nauczyciele nie przebywali na Pawiaku długo, gdyż więzienie to było tylko przystankiem przejściowym. Stanisław Zawadzki pisze: „We wtorek, 21 września 1940 r., zostaliśmy zgrupowani na placu. Podjeżdżały ciężarowe auta, kryte

plandekami. Na rampie kolejowej zostaliśmy załadowani do towarowych wagonów”.

Wagony jechały do Auschwitz.

W obozie nauczyciele postawili sobie trzy cele: walczyć z deprawacją i utrzymać ludzką godność; ból przeradzać w nadzieję, zgodnie ze stwierdzeniem Wergiliusza w „Eneidzie”, że życie jest większą powinnością, niż śmierć i wymaga nie mniejszej odwagi, niż śmierć; nie zapomnieć, że Ojczyzna jest w niewoli i nawet w szczególnych warunkach obozowych walczyć o Jej niepodległość.

Stanisław Zawadzki: „Hitlerowcy byli przekonani, że takie posunięcie sterroryzuje nauczycieli warszawskich spoza murów więziennych i obozów koncentracyjnych - tymczasem nasze wywiezienie do Oświęcimia zapoczątkowało tajne nauczanie”.

Najgorzej w Wigilię

W obozie Stanisław Zawadzki współorganizował ruch oporu wśród nauczycieli, pod

nazwą Tajna Organizacja Nauczycielska. Jej zadaniem było niesienie pomocy najsłabszym, kolportowanie nielegalnych biuletynów o walce z okupantem w kraju i sytuacji na froncie.

W marcu 1943 r. Zawadzki został przewieziony do obozu w Buchenwaldzie, gdzie działał w sabotażu.

Prócz Stanisława Zawadzkiego, Auschwitz przeżył również Ludwik Rajewski, kierownik prywatnej szkoły powszechnej przy Brackiej 18. Pozostali nauczyciele zginęli.

Romuald Buczowski (nauczyciel przyrody od 1933 r. i w czasie wojny kierownik prywatnej szkoły powszechnej przy Smolnej 30) w obozowej konspiracji też był bardzo aktywny - zaopatrywał innych w odzież i żywność, pisał korespondencję w języku niemieckim, którą koledzy wysyłali do domów.

Barbara Buczowska przez całe życie traktowała dwa listy od ojca, z marca i maja 1941 r., jak relikwie. Na obozowych

blankietach znalazły się takie dane więźnia, jak: narodowość (Pole), nazwisko, data urodzenia - 7.02.1902, numer więzienny - 4401. Obok dodatkowe informacje: Block 10, Stube 3, KL Auschwitz, Postamt II. To kolejny dowód na niemiecką skrupulatność.

Stanisław Zawadzki zanotował: „Najboleśniej dla nas dniem w obozie (w pierwszym roku pobytu) był dzień wigilijny. Każdy zaszył się w zakamarku bloku, by samemu przeżyć porę wieczerzy wigilijnej. Po pewnym czasie zacząłem szukać Romka i znalazłem go jak w sposób nieopanowany szlochał. Urywanyymi wyrazami powiedział: „Jakie to straszne... Moje trzy Marysie (matka, żona i jedna z córek), uwielbiana Basia (druga córka) i ten synek, taki jeszcze mały... Wszyscy beze mnie, bez mej opieki i pomocy, wtedy, gdy tego najbardziej potrzebują, a ja tu, tak całkowicie bezsilny!”

Romuald Buczowski zakazał rodzinie, aby starała się o wydobycie go z obozu. Zimą 1940/41 doznał poważnego odmrożenia nóg. Został rozstrzelany 22 sierpnia 1941 r. razem z grupą innych rekonwalescentów. Na akcie zgonu, wystawionym przez obozową kancelarię, zachowała się adnotacja: godzina 3 minut 15. Wkrótce koledzy znaleźli w magazynie pasiak więzienny z numerem 4401.

Ofiary Auschwitz

W KL Auschwitz na serce zmarli: Stanisław Boczar i Stefan Nowiński. Po pogryzieniu przez esesmańskie psy wykrwawił się Stanisław Dobrowolski. Kazimierz Mamczar, mimo pomocy kolegów, zmarł z głodu. Wszyscy odeszli dlatego, że w 1940 r. odważyli się upamiętnić narodowe święto 3 Maja.

Barbara Buczowska-Błęadowska i Jolanta Zawadzka-Kolczyńska, córka Stanisława Zawadzkiego założyły Chrześcijańskie Stowarzyszenie Rodzin Oświęcimskich. 14 czerwca 1998 r., w rocznicę przywiezienia do Auschwitz pierwszego transportu Polaków - więźniów politycznych. Ich głównym celem jest przechowanie pamięci o polskich ofiarach niemieckiego obozu. ©

CAMILLE CLAUDEL I POLSKIE RZEŹBIARKI PRZEŁOMU XIX I XX W.

W Muzeum Narodowym w Warszawie rusza wystawa poświęcona legendarnej francuskiej artystce, ale też pionierskiej generacji polskich rzeźbiarek, z których większość tworzyła w tym samym czasie

Mariusz Grabowski

Wtle Camille Claudel znalazły się m.in. Tola Certowicz, Antonina Roźniatowska, Jadwiga Milewska, Natalia z Tarnowskich Andriolli, Maria Gerson-Dąbrowska, Amelia Jadwiga Łubieńska i Felicja Modrzejewska.

Smutne życie

Camille Claudel (1864-1943) - czytamy w opisie wystawy pióra kurator dr Ewy Ziemińskiej - to „najbardziej dziś rozpoznawalna rzeźbiarka XIX wieku, która zagościła w kulturze popularnej dzięki poświęconym jej filmom i książkom, uznania doczekała się dopiero pośmiertnie”. A przecież zmarła samotna i zapomniana i została pochowana na cmentarzu komunalnym w Montfavet, we wspólnym grobie z bezdomnymi.

Nie miała łatwego życia. Po wielu sukcesach artystycznych odcięła się od świata i zaczęła stopniowo popadać w obłąd. Wtedy została w 1913 r. umieszczona przez matkę i brata w zakładzie zamkniętym, gdzie spędziła trzydzieści lat. W zamknięciu niczego nie stworzyła, a jej dorobek popadł w zapomnienie. Proces odkrywania na nowo twórczości Claudel rozpoczął się wystawą w paryskim Musée Rodin w 1951 r. August Rodin, starszy od niej o 24 lata, był bowiem jej mentorem i nauczycielem oraz długoletnim kochankiem.

Od jej śmierci powstało na jej temat wiele publikacji naukowych, a w 2017 r. otwarto muzeum monograficzne w Nogent-sur-Seine, miejscowości, gdzie rozpoczęła edukację artystyczną. Kiedy postanowiono, że w Hotelu Biron w Paryżu powstanie Muzeum Rodina, zdecydowano, że jedna z sal będzie poświęcona właśnie jej. W 2008 r. została tam zorganizowana duża retrospektywna wystawa prac Camille Claudel, na której zaprezentowano ponad 80 rzeźb, rysunki, listy z Rodinem oraz fotografie.

„Kobieta-geniusz!”

Camille Claudel pochodziła z mieszczańskiej rodziny. Kształ-

ciła się w - stojącej naprzeciw konserwatywnej École des Beaux Arts - Akademii Colarossiego, do której wstęp miały także kobiety. Claudel dołączyła wówczas do grupy jedynych trzech rzeźbiarek, którym lekcji udzielał Boucher.

W 1888 r. Claudel wyrzeźbiła „Sakountalę”. Dzieło przedstawia stojącą kobietę, pochylającą się nad klęczącym ukochanym. Nie brak głosów, że powstały rok później „Wieczny idol” Rodina wzorowany był na dziele kochanki. Od 1903 r. wystawiała swoje prace w Salonie Artystów Francuskich. Rzeźby Claudel były niezmiernie dynamiczne,

wykonane na ogół w kamieniu i brązie.

Miała swoje momenty sławy. Pisano o niej „Rewolta przeciw naturze!”, „Kobieta-geniusz!”. Prace takie, jak „Walc” (1893) czy „Wiek dojrzały” (1900) wydają się podobne do prac Rodina, ale są bardziej liryczne. Z kolei „Fala” z 1897 r. to świadoma próba zerwania ze stylem Rodina, swojego mistrza. Sam przełom wieków to kilka krótkich lat jej sławy i powodzenia.

Płaczący Rodin

Jeszcze w 1899 r. powstaje może najbardziej poruszająca

z rzeźb Camille - „Wiek dojrzały”. Młoda naga kobieta leży na ziemi. Pełna bólu i bezradności wyciąga przed siebie ręce, rozpaczliwie usiłuje złapać oddalającego się starszego mężczyznę, którego porywa uskrzydłona postać - anioł śmierci. „Wiek dojrzały” jest rzeźbą niezwykle osobistą. Niezwykle wstrząsnęła oglądającym ją Rodinem. W 1932 r. marszand Eugene Blot pisał do Camille: „Widziałem go głaskającego metal i płaczącego... Tak, płaczącego jak dziecko”.

Samotne życie nie było dla artystki łaskawe. Z czasem racjonalne argumenty przero-

dziły się w umyśle rzeźbiarki w teorie spiskowe. Przekonana, że dawny mistrz stara się wykraść jej dzieła, zaczęła niszczyć swój dorobek. Przestała tworzyć i wystawiać, żyła w skrajnej biedzie i osamotnieniu.

Już po śmierci rzeźbiarki jej brat Paul Claudel, znany poeta i pisarz, zanotował: „Moja siostra! Tragiczna egzystencja! Kiedy mając lat trzydzieści, zorientowała się, że Rodin ani myśli jej poślubić, wszystko zawaliło się wokół niej i nie oparły się temu władze umysłowe”.

Brud i pył

Przejdźmy do polskich rzeźbiarek, swego czasu popularnych i odnoszących sukcesy na krajowych i międzynarodowych wystawach, realizujących zamówienia na rzeźby przeznaczone do przestrzeni publicznej. Na długie lata popadły w zapomnienie, ale ich życiorysy to często, tak jak w wypadku Camille Claudel, historia zmagania ze stereotypami, uprzedzeniami i wynikającymi z nich nierównościami i przeciwnościami.

„O ile nauka malarstwa i rysunku stanowiła na ogół element edukacji dziewcząt, kształtujący ich wrażliwość i poczucie estetyki, o tyle do rzeźbienia na różne sposoby ograniczono im dostęp. Modelowanie w glinie, odlewanie w gipsie czy kucie w kamieniu (oraz towarzyszące im trud fizyczny, brud i pył) postrzegano jako sferę działań typowo męskich” - piszą organizatorzy wystawy.

Z rzeźbieniem wiązała się także kwestia odwzorowywania nagiego ciała, co w wypadku specyfiki procesu twórczego wiążącego się z bezpośrednim kontaktem artystki z materiałem uznawano wówczas za zagrożenie moralności kobiet.

Polki i dłuto

Na wystawie znajdziemy prace m.in. Toli Certowicz (1862-1918), która najpierw pobierała nauki u Marcela Guyskiego w Krakowie, a po wyjeździe do Paryża w Académie Julian. Wystawiała swoje prace w Paryżu, Wiedniu i Berlinie. Do Krakowa powróciła w 1891 r. Dwa

lata później na wystawie w Zachęcie Sztuk Pięknych w Warszawie otrzymała trzecią nagrodę za płaskorzeźbę w brązie „Fragment”. W latach 1897-1901 zajmowała się działalnością pedagogiczną, prowadząc Szkołę Sztuk Pięknych dla Kobiet. Była to pierwsza szkoła artystyczna w Krakowie, w której mogły się uczyć kobiety.

Z kolei Antonina Roźniatowska (1860-1895) rzeźbiła w marmurze, terakocie, brązie i gipsie. Wykonała dwa posągi Heleny Modrzejewskiej w gipsie w roli Ofelii w 1885 r. oraz siedzący naturalnej wielkości w roku 1887. Uczestniczyła w Pierwszej Wystawie Sztuki Polskiej w Krakowie, zorganizowanej w 1887 r. Na wystawie sztuki współczesnej we Lwowie otrzymała srebrny medal.

Natalia z Tarnowskich Andriolli (1856-1912) swoje pierwsze prace, szkice, wysyłała na wystawę już w 1886 r., zaś cztery lata później, jako jedna z dwóch Polek wysyłała swoje prace - „Lirnika” i „Wiosnę” - na wystawę w Berlinie. Były one później wystawiane również w Salonie Zachęty. Dwa lata później jej rzeźby - „Naga modelka” i „Postać wieśniaka” - wystawiono na salonie paryskim.

Arystokratka także

Na osobną uwagę zasługują hr. Amelia Jadwiga z Hausnerów Łubieńska (1852-1930). Pozycja i majątek pozwoliły jej w profesjonalny sposób rozwijać pasję, jaką było dlań rzeźbiarstwo. Przeniosła się do Florencji, gdzie lekcji udzielał jej rzeźbiarz Gaetano Guidi i malarz Amos Casioli. Pracownię założyła w ogrodzie otaczającym jej willę. Swoje rzeźby Łubieńska wysyłała na włoskie i polskie wystawy, ale „Bluszcz” w „Kronice działalności kobiecej” podkreślał: „Hrabina pracuje tylko dla siebie i wykonywane przez nią dzieła nie przechodzą nigdy w ręce obce, nie idą do zbiorów cudzych”.

Portretowała głównie bliskich, a dzieła religijne ofiarowywała do kościołów. W 1880 r. florencką willę Łubieńskiej odwiedził krytyk sztuki Henryk Struve, który relacjonował w „Kłosach”: „Hr. Łubieńska od czterech lat dopiero poświęca się rzeźbie; od bardzo niedawna zawiadnęła zupełnie trudną, szczególnie dla niewiasty, techniką tejsztuki. Nie dziwi tedy, że tworzy z pewną gorączkowością, że nie ma spokoju, aż choć w kilku dziełach pokaże, czego dokonać jest zdolną”.

Jednak rok później nagle przestała wystawiać, przeniosła się do Wiednia. Do dziś nie wiadomo dlaczego.

Wystawa „Bez gorsetu. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX wieku” potrwa w MNW do 10 września. Towarzyszą jej liczne wykłady, spotkania i warsztaty. Patronat nad wystawą objął ambasador Francji w Polsce Frédéric Billet, a dofinansowano ją ze środków MKiDN. Informacje: mnw.art.pl.



Podczas wystawy będzie można zobaczyć m.in. rzeźbę Camille Claudel „Opuszczenie” (L'Abandon) pochodzącą z 1886 r.

Któż choć raz nie słyszał kultowych piosenek z musicalu, takich jak „Summer nights” czy „You’re the One That I Want”, kto nie kibicował Danny’emu (John Travolta) oraz Sandy (Olivia Newton-John) w ich drodze do szczęśliwego związku, kto wreszcie nie poczuł ukłucia nostalgii, oglądając losy bez trosk licealistów w ostatniej klasie? To wszystko ma „Grease”, film z 1978 roku, który nie bez powodu uważany jest za jeden z najlepszych światowych musicali.

Zaczęło się na scenie... zajeżdźni

Fabula jest prosta: koniec lat pięćdziesiątych; Danny Zuko, lider szkolnego gangu T-Birds, podczas wakacji poprzedzających ostatnią klasę liceum zakochuje się w Sandy Olsson. Los zrzędza, że dziewczyna trafia do jego klasy. Chłopak jednak, nie chcąc wyjść przy kumplach na mięczaka, gra przed Sandy bawidamka i cwaniaka, jednocześnie przyznając przed sobą, że jest zakochany. Sandy z kolei, początkowo zawiedziona, dołącza do żeńskiej grupy Pink Ladies i kombinuje, jak odmienić Danny’ego i ostatecznie zdobyć jego serce. W finale uświadamia sobie, że swój cel może osiągnąć w iście odwrotny sposób.

Rzecz jasna, film nie był pierwszy – jest on ekranizacją musicalu „Grease”, który premierowo wystawiono w nocnym klubie Kingston Mines w Chicago, pełniącym niegdyś funkcję... zajeżdźni tramwajowej. Spektakl odniósł niebywały sukces, szybko trafił na deski West Endu, był też najdłużej wystawiany w dotychczasowej historii Broadwayu – aż do 1980 roku.

Wersja teatralna różniła się nieco od późniejszego filmu, w którym przede wszystkim usunięto chicagowską, miejską scenerię akcji na rzecz typowo szkolnych lokalizacji. Zmieniono też niektóre elementy fabuły, postaci i piosenki. Mało kto wie, że na scenie Sandy nosiła swojsko brzmiące nazwisko Dumbrowski, jednak reżyserowi filmu Randalowi Kleiserowi nie pasowało polskie pochodzenie głównej bohaterki. Zmienił więc nazwisko dziewczyny na Olsson i dodał ojczyznę: Australię. Inne źródło mówi, że to sama aktorka zażądała tych modyfikacji (dodajmy, że w emitowanej na żywo w 2016 roku w amerykańskiej telewizji kolejnej wersji musicalu Sandy nosi nazwisko Young).

Musical wielokrotnie wystawiano także na polskich scenach, z rodzimymi aktorami (m.in. na deskach Teatru Muzycznego Roma).

Aktorzy dawno po maturze

Po sukcesie spektaklu niejaki Ralph Bakshi chciał stworzyć film animowany bazujący na musicalu, jednak jego współ-



„Grease”, film z 1978 roku, nie bez powodu uważany jest wciąż za jeden z najlepszych światowych musicali

„GREASE”. MŁODOŚĆ W RYTMIE PRZEBOJÓW

To jedna z tych produkcji, która mimo upływu czasu nie daje o sobie zapomnieć. Świetne piosenki wplecione w sprawnie napisany, choć nieskomplikowany scenariusz – wkrótce minie 45 lat od premiery kinowej wersji „Grease”

Wojciech Obremski

nik i autor muzyki do „Grease” Jim Jacobs nie chciał o tym słyszeć. Nie spodobało mu się również to, że w tej wersji zamierzano znacząco zmienić fabułę z teatralnego oryginału oraz... uśmiercić Danny’ego. Ostatecznie powstał film aktorski, z animowaną czołówką.

Do roli Sandy początkowo brano pod uwagę: Susan Dey, Deborah Raffin i Marie Osmond. Postawiono ostatecz-

nie na Olivii Newton-John, która początkowo nie chciała wcielić się w Sandy – po prostu uznała, że... jest za stara, by grać licealistkę. Cóż, jest w tym trochę racji, gdyż miała wówczas 29 lat. Zresztą nie tylko ona spośród aktorów osiągnęła dawno wiek, nazwijmy to, pozaskolny: John Travolta miał wtedy 24 lata, Jeff Conaway, Michael Tucci, Barry Pearl i Didi Conn – po 28 lat. Jamie Don-

nelly stuknęła trzydziestką, a najstarsza była Stockard Channing, która podczas powstawania filmu liczyła 34 wiosny z okładem. Wszystkich aktorów łączyło jedno: jak wspominali, praca na planie była jedną wielką zabawą.

Śmierć króla a piosenka z filmu

Danny’ego miał z początku zagrać Henry Winkler, jednak

CO CIEKAWE, ŚPIEWAJĄCEGO W JEDNEJ Z PIOSENEK ANIOŁA STRÓŻA MIAŁ ZAGRAĆ SAM ELVIS PRESLEY, KTÓRY JEDNAK ZMARŁ W TRAKCIE KRĘCENIA FILMU

odmówił, gdyż miał już na koncie podobną rolę w serialu „Happy days” i nie chciał, by go zaszufladkowano (po latach przyznał, że ogromnie żałuje tej decyzji). Rola trafiła więc do Johna Travolta, który występował już w scenicznej wersji „Grease”, wcielając się w Doody’ego. Travolta był już znany ze swoich talentów tanecznych także za sprawą „Gorączki sobotniej nocy”, która weszła na ekrany rok wcześniej. Jak wiadomo, obie produkcje wywindowały aktora na sam szczyt.

Co ciekawe, śpiewającego w jednej z piosenek anioła stróża miał zagrać sam Elvis Presley, który jednak zmarł w trakcie kręcenia filmu, a rola ostatecznie powędrowała do Frankiego Avalona. Nie był to jedyny epizod związany z królem rock and rolla – w piosence „Look at Me, I’m Sandra Dee” znajdował się fragment dotyczący aktora Sala Mineo. Jednak jego odejście rok przed kręceniem „Grease” sprawiło, że słowa zmieniono tak, by odnosiły się do Elvisa Presleya. Ten zaś... zmarł tego samego dnia, w którym nakręcono scenę z powyższą piosenką!

A skoro już jesteśmy przy nutach, warto dodać, że na potrzeby filmowej wersji dopisano cztery nowe utwory, w tym jeden z bardziej znanych, „You’re the One That I Want”. Przy okazji: scena z przyszłym przebojem kręcona była na festynie, który niespodziewanie został następnego dnia zlikwidowany. Reżyser był wściekły, bo miał w planach dokręcenie dubli. Polecil więc scenografom zbudowanie repliki wesołego miasteczka. Będąc przy tej scenie, należy dodać, że skórzane spodnie Olivii Newton-John znalazły się na czwartym miejscu w rankingu na dziesięć najpiękniejszych filmowych kreacji.

Trenera Calhouna miał początkowo grać Harry Reems, jednak obawiano się, że jego wcześniejsza kariera w filmach dla dorosłych zaszkodzi wizerunkowi obrazu o nastolatkach i w ostatniej chwili powierzono rolę Sidowi Caesarowi.

Dwójka? Tak, ale po co?

„Grease” osiągnął wielki sukces na całym świecie (choć, nie wiedząc czemu, był zakazany w NRD), toteż nic dziwnego, że zaczęto myśleć o kon-

tynuacji. Ta, zatytułowana po prostu „Grease 2”, weszła na ekrany w 1982 roku i... została zmiażdżona przez widzów i krytyków. Nie pomogli nawet będący wówczas coraz bardziej popularni Maxwell Caulfield i Michelle Pfeiffer, wcielający się w głównych bohaterów. Powodów jest wiele: filmowi brak postaci z oryginału (Caulfield gra kuzyna Sandy), zniechęca drętwa fabuła, próbująca na siłę dorównać „jedynce”, musicalu nie ratują nawet piosenki – ani jedna z nich nie stała się przebojem na miarę „Summer nights”. Dość, że twórcy oryginalnego „Grease” nie chcieli mieć z nową produkcją nic wspólnego i całkowicie się od niej odcięli.

Kurtka i auto za grube tysiące

W 2003 roku Olivia Newton-John zdradziła, że planowana jest trzecia odsłona „Grease”, tym razem z oryginalnymi bohaterami w obsadzie.

- Piszą to i zobaczymy, co się stanie. Jeśli scenariusz będzie wyglądał dobrze, zrobię to – mówiła aktorka, która zmarła w 2022 roku.

Mało zatem prawdopodobne, by powstała kolejna część (i chyba tak byłoby najlepiej). Za to kilka miesięcy temu na ekranie telewizyjnym zagościł serial „Grease: Rise of the Pink Ladies”, będący swoistym prequelem „Grease”, opowiadający o genezie grupy Pink Ladies.

Na topie są wciąż przedmioty, które widzimy na ekranie – wspomniany, skórzany strój Olivii Newton-John został sprzedany na jednej z aukcji w 2019 roku za 405 tysięcy dolarów (ponad 1,5 miliona złotych). Zaś różowa kurtka z wyszytym imieniem „Sandy” „poszła” za 50 tysięcy dolarów (ponad 200 tysięcy zł). Aktorka przeznaczyła te kwoty na cele charytatywne. A kilka lat wcześniej Hell’s Chariot, czyli samochód, który należał do rywala Danny’ego podczas pamiętnego wyścigu, został sprzedany za 180 tysięcy dolarów.

To dowodzi, że musical sprzed pół wieku i jego filmowa wersja są dziełami ponadczasowymi – wszak widzowie nadal są spragnieni dobrego aktorstwa i świetnego scenariusza, co w połączeniu ze starannie napisanymi piosenkami daje jeden wielki, nieśmiertelny przebój, jakim niewątpliwie stał się „Grease”.

Materiał informacyjny JSW SA

30
LATTRANSFORMACJA
ZACZYNA SIĘ W KOPALNI

Węgiel koksowy z Jastrzębskiej Spółki Węglowej jest wykorzystywany jako surowiec w produkcji stali w zakładach hutniczych w Polsce i za granicą. Jego produkcja, to złożony i wymagający współpracy specjalistów z wielu dziedzin, proces, który zaczyna się w kopalni.

JSW to największy producent węgla koksowego w Unii Europejskiej. Znaczenie tego surowca jest nie do przecenienia - bez węgla nie da się wyprodukować koksu, który jest kluczowym składnikiem niezbędnym do wytworzenia stali. Stal natomiast - nie bez przesady - można uznać za podstawowy budulec, bez którego współczesny świat nie mógłby się rozwijać. Dzięki swoim właściwościom, przede wszystkim bardzo wysokiej wytrzymałości i elastyczności, jest stosowana w większości gałęzi przemysłu - budownictwie i infrastrukturze, produkcji samochodów, maszyn przemysłowych, sprzętu medycznego, elementów konstrukcyjnych, narzędzi i znakomitej większości sprzętów, których używamy w naszym codziennym życiu. Stal jest również niezbędna w produkcji wiatraków i paneli fotowoltaicznych oraz samochodów elektrycznych, które są kluczowymi elementami tzw. zielonej transformacji, czyli działań mających na celu odejście od wykorzystania paliw kopalnych i zatrzymanie zmian klimatycznych.

Cztery kopalnie fedrują węgiel koksowy

Mało kto ma świadomość, że ta droga zaczyna się pod ziemią, od ciężkiej pracy górników.

Kopalnie należące do JSW produkują rocznie ok. 14 mln ton węgla, z czego około 80 proc. to właśnie węgiel koksowy. Spółka posiada cztery kopalnie: Pniówek w Pawłowicach, Knurów-Szczygłowice w Knurowie, Budryk w Ornowicach oraz Borynia-Zofiówka-Bzie w Jastrzębiu-Zdroju. W we wszystkich tych zakładach pracuje łącznie ponad 21 tys. osób. Warto w tym miejscu wspomnieć sobie, że cały proces produkcji węgla jest złożony i wymaga zaangażowania specjalistów z wielu różnych dziedzin. Dla osób niezwiązanych z górnictwem, kopalnia kojarzy się zwykle z tym, co widzą na powierzchni. To ogromny kompleks budynków, który obejmuje m.in. magazyny, pomieszczenia socjalne dla załogi i budynki administracyjne. Najbardziej charakterystyczne są jednak wieże wyciągowe, które ustawiane są nad szybami. To właśnie szyby można nazwać „wejściami do kopalni”. To tędy na dół zjeżdżają górnicy, transportowane są maszyny i materiały oraz wyjeżdża na górę owoc górnictwa, czyli tzw. urobek. Szyby są również kluczowymi elementami systemu wentylacyjnego kopalni głębinowych. Za ich pośrednictwem do wydrążonych pod ziemią chodników doprowadzane jest powietrze (to tzw. szyby wdechowe), a następnie odprowadzane na górę (to szyby wydechowe, nazywane też wentylacyjnymi, które zwykle nie mają typowych wież szybowych).

Kluczowe ściany i przodki

Praca w kopalni węgla kamien-

nego jest ciężka i wymagająca fizycznie, ponieważ górnicy muszą wykonywać swoje obowiązki w warunkach wysokiej wilgotności i temperatury, a dodatkowym wyzwaniem jest duże zapylenie. To ostatnie szczególnie uciążliwe jest przy ścianach wydobywczych. To właśnie tutaj odbywają się prace wydobywcze, gdzie przy pomocy maszyn tzw. kombajnów ścianowych jest prowadzona eksploatacja węgla. Drugim ważnym miejscem dla funkcjonowania kopalni są przodki. W tych miejscach prowadzone prace związane z drążeniem wyrobisk, w których wykorzystywane są kombajny chodnikowe. Czasem w przypadku, gdy skały są bardzo twarde do ich rozkruszenia trzeba użyć materiałów wybuchowych. Budowa nowych chodników ma kluczowe znaczenie w dotarciu do nowych partii złóż i kontynuowaniu produkcji węgla. Ogromne znaczenie ma również podziemny system transportu w kopalniach. Wydobycie z czasem prowadzone jest w coraz większej odległości od szybów, więc zarówno materiały, jak i ludzie mają do pokonania coraz dłuższą drogę, która może się sięgać nawet kilku kilometrów. Dlatego istotna jest rozbudowa kolejek podziemnych - szynowych i podwieszanych oraz przenośników taśmowych. Tą drogą transportowany jest urobek, który następnie szybem wyciągany jest na powierzchnię.

Po węgiel coraz głębiej i nowocześniej

Po węgiel górnicy z JSW muszą sięgać też coraz głębiej. Obecnie średnia głębokość eksploatacji w kopalniach JSW

wynosi prawie 800 metrów, a niektóre ściany pracują już nawet głębiej niż kilometr pod ziemią. To właśnie należąca do JSW kopalnia Budryk jest najgłębszą kopalnią w Polsce. W 2011 roku zakończono drążenie głównego przekopu odstawczego z poziomu 1050 do 1290. Przekop ten ma długość ponad kilometr, a jego koniec uznawany jest za najgłębsze miejsce w Polsce. Po zakończeniu jego budowy w kopalni rozpoczęła się budowa nowego poziomu 1290.

Kopalnie JSW przez cały czas zmieniają się, a w ostatnich latach spółka wprowadziła wiele nowoczesnych rozwiązań, aby zoptymalizować proces wydobywania węgla i poprawić bezpieczeństwo pracowników. Pod ziemią coraz szersze zastosowanie mają zaawansowane technologie informatyczne, w tym systemy monitorowania i sterowania produkcją oraz systemy zarządzania ryzykiem, co pozwala na szybkie reagowanie na ewentualne problemy i awarie.

Produkcja również na powierzchni

Wyciągnięcie urobku na górę, to jednak nie koniec procesu produkcji węgla. Surowiec, który wyjeżdża na powierzchnię jest w dużej mierze zanieczyszczony materiałami skalnymi, które trzeba oddzielić od węgla. Ten proces odbywa się w zakładach mechanicznej przeróbki węgla, które są integralną częścią kopalni JSW. W zakładach przerobczych surowy węgiel jest poddawany procesom przesiewania, rozkruszania i płukania. Dzięki temu finalnie można uzyskać węgiel o odpowiedniej granu-

lacji, wilgotności, kaloryczności oraz zawartości popiołu lub siarki. Należyte parametry jakościowe węgla, a dokładniej tworzonych z niego mieszanek, mają następnie kluczowe znaczenie w uzyskaniu odpowiedniego jakościowo koksu, który potem jest wykorzystywany do produkcji stali o oczekiwanych przez producenta właściwościach.

Nie tylko kopalnie, również koksownie

Grupa Kapitałowa JSW jest nie tylko największym producentem węgla koksowego, ale również jednym z wiodących producentów koksu w Unii Europejskiej. Jako że węgiel koksowy stanowi początek łańcucha produkcyjnego, którego ostatecznym efektem jest wytwarzanie stali, a jego pośrednim elementem jest koks, pozwala to GK JSW na skorzystanie z efektu synergii, czyli korzyści wynikających z połączenia tych działalności produkcyjnych. Produkcja koksu odbywa się w trzech koksowniach należących do spółki JSW Koks: Przyjaźń w Dąbrowie Górniczej, Radlin w Radlinie oraz Jadwiga w Zabrze. W zakładach koksowniczych należących do JSW pracuje łącznie ponad 2 tys. pracowników, natomiast roczna produkcja wynosi ponad 3 mln ton koksu. Wysokiej jakości koks z JSW jest w sprzedawany jest w głównej mierze za granicą, m.in. do Niemiec, Austrii, Czech, a także do Azji, np. do Indii. Koncern przez cały czas modernizuje swoje koksownie podnosząc stale jakość wyrobów, a także ekonomiczność produkcji oraz gospodarcze wykorzystanie

odpadów produkcyjnych - w efekcie oprócz produkcji koksu zakłady JSW wytwarzają także produkty węglowodórne, gaz koksowniczy oraz energię elektryczną i ciepło.

Historyczny wynik

O tym, jak ogromne znaczenie dla gospodarki ma produkcja węgla koksowego świadczy fakt, że został uznany - obok 30 innych surowców - za surowiec krytyczny dla Unii Europejskiej. Grupa ta obejmuje surowce, których brak lub ograniczona dostępność może mieć poważne konsekwencje dla gospodarki Unii Europejskiej i jej przemysłu. Tak jak pozostałe surowce, węgiel koksowy znalazł się na niej ze względu na ograniczoną liczbę dostawców i zwiększone ryzyko zakłóceń w dostawach w przypadku wystąpienia problemów gospodarczych lub politycznych w krajach, gdzie są produkowane. Jako jedyny znaczący producent węgla koksowego w Unii Europejskiej JSW ma zapewnione stabilne funkcjonowanie na kolejne lata. Łączne zasoby węgla, którymi dysponują kopalnie JSW, wynoszą ok. 1 mld ton, co oznacza, że spółka może prowadzić produkcję do 2084 roku. Ostatni rok pokazał, że produkcja węgla koksowego i koksu, mimo wielu wyzwań, tak nieprzewidywalnych jak chociażby siły natury, jest bardzo intratna. W 2022 roku Grupa JSW wypracowała zysk w wysokości 7,6 mld zł, co jest rekordowym wynikiem w historii spółki.



OD WĘGLA
DO
KOKSOWEGO
STALI

Jastrzębska Spółka
Węglowa S.A.
Aleja Jana Pawła II 4
44-330 Jastrzębie-Zdrój

W opiece św. Andrzeja, patrona Polski

Piotr Piotrowski
Religia

16 maja Kościół katolicki w Polsce obchodził święto Andrzeja Boboli, kapłana i męczennika, patrona Polski. W tym roku w dniu patronalnego święta przypadała 85. rocznica kanonizacji jezuitę męczennika. Czy zostanie jednym z głównych patronów Polski?

W 2002 r. papież Jan Paweł II dołączył św. Andrzeja Bobolę do grona patronów Polski. Jednak wielu naszych rodaków wciąż nic nie wie o tym potężnym orędowniku. Również rozwój kultu świętego Andrzeja wydaje się nietypowy - bo to Bobola sam dopomina się o to w objawieniach i wszystkim kieruje.

Jaka jest jego rola w przyszłości Polski? Najbardziej znane jest jego objawienie z 1819 r. w Wilnie, gdzie ukazał się o. Alojzemu Korzeniewskiemu - dominikaninowi, który nie mógł pogodzić się z utratą niepodległości przez Polskę. Głosząc kazania, budził ducha patriotycznego. Gdy dowiedzieli się o tym Rosjanie, zagrozili zamknięciem klasztoru i wyrzuceniem zakonników z miasta. Alojzy mógł odtąd poruszać się tylko po klasztorze i nie wolno mu było kontaktować się z ludźmi. Pewnego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek, o. Alojzy modlił się, pytając Pana Boga, czy i kiedy Polska odzyska niepodległość. Wtedy ukazał mu się kapłan, mówiąc: Jestem Andrzej Bobola, jezuita. Po czym polecił mu otworzyć okno. Korzeniewski zobaczył rozległą równinę, która była pokryta walczącymi wojskami wielu narodów. Andrzej Bobola przekazał mu wtedy trzy prorocтва dotyczące Polski:

- Powiedz Polakom, że gdy skończy się ta wielka wojna, znowu będą na mapach świata.

- Nadejdą czasy, że będę patronem Polski.

- Gdy będę jej głównym patronem, Polska będzie w pełnym rozkwicie.

Dwa prorocтва już się spełniły, trzecie - dotyczące jego głównego patronatu nad Polską - jeszcze nie.

Niezłomny rycerz Chrystusa

Andrzej Bobola urodził się w 1591 r. w Strachocinie koło Sannoka. Wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w 1611 r. Wyświęcony na kapłana w 1622, pełnił najpierw obowiązki kaznodziei i moderatora Sodalijii Mariańskiej w Wilnie. Został misjonarzem wędrownym i od 1636 r.



Święto Andrzeja Boboli, patrona Polski, obchodziliśmy 16 maja

utwierdzał w wierze katolickiej liczne rzesze wiernych, w trudnych dla Kościoła czasach. Zginął śmiercią męczeńską w Janowie na Polesiu w roku 1657, zamęczony z nienawiści do religii katolickiej. Został kanonizowany w 1938 r. przez Piusa XI. Jego ciało spoczywa w kościele jezuitów w Warszawie.

Św. Andrzej Bobola został ogłoszony patronem Polski w 2002 roku. W sanktuarium św. Andrzeja Boboli na warszawskim Mokotowie, które ma charakter narodowy, spoczywają zachowane w całości relikwie tego męczennika. Sanktuarium, którym opiekują się jezuiti, szerzy kult św. Andrzeja Boboli we współpracy ze wszystkimi świątyniami, parafiami i organizacjami pod jego wezwaniem, znajdującymi się na terenie Polski. Rozwija ono szczególną współpracę z ośrodkami duszpasterskimi znajdującymi się w miejscach urodzenia (Strachocina, Archidiecezja Przemyska obrządku łacińskiego) i męczeńskiej śmierci św. Andrzeja Boboli (Janów Poleski, Diecezja Pińska, Białoruś).

Przez 46 lat przeżytych w zakonie Andrzej Bobola mieszkał w kilkunastu miejscowościach, posyłany tam, gdzie akurat był potrzebny. Pracował jako kaznodzieja, spowiednik, nauczyciel, rektor kościoła.

Podczas zarazy w Wilnie z wielkim poświęceniem pomagał chorym. Uważany był za świętego kapłana.

Jak napisał o nim biograf, „Dzięki Bożej łasce potrafił wznieść przeciętność na wyżyny heroizmu”. Gdziekolwiek pojawia się informacja, że św. Andrzej Bobola był autorem tekstu Ślubów Lwowskich króla Jana Kazimierza, ale wiarygodne źródła tego nie potwierdzają.

Był już po sześćdziesiątce, kiedy trafił do Pińska na Polesiu, na terenie dzisiejszej Białorusi. Jako wędrowny misjonarz i ka-

W związku z rozwojem kultu rozpoczęły się starania o kanonizację, która dokonana się 17 kwietnia 1938 roku w Rzymie

znodzieja odwiedzał okoliczne wsie. Była to praca prawdziwie misyjna, bo ludzie żyli tam dziko, praktycznie nie znali żadnych sakramentów poza chrztem i żadnych modlitw poza „Hospody pomyluj”. Hołdowali zabobonom i przesądom.

Wsie były rozrzucone wśród lasów i bagien, nie było dróg. O. Bobola wędrował od osady do osady i mówił ludziom o Jezusie, spowiadał, udzielał ślubów, odprawiał msze święte. Odwiedzał zarówno tych, którzy przyznawali się do katolicyzmu, jak i tych, którzy uważali się za prawosławnych. Zdaje się zresztą, że i jedni, i drudzy często nie widzieli różnicy między tymi określeniami. Przyczynił się do tylu nawróceń, że nazywano go „duszochwatem”, czyli łowcą dusz...

Śmierć z rąk kozackich

Jego niestrudzona praca zostaje nagle przerwana śmiercią męczeńską w 1657 roku. Dowódca jednej z kozackich watah wysłał grupę mołojców do poleskiej wioski. Dopadli oni Andrzeja Bobolę tuż za wsią, gdy jechał wozem. Woźnica Jan Do-

manowski, widząc odległą kuzawę i kozackie spisy, ratował się na polecenie Boboli ucieczką. Sam jezuita nie skorzystał z tej szansy, mimo że przyjaciele przygotowali mu w lesie kryjówkę. Stał i czekał na nadciągających Kozaków. Oprawcy okrążyli wóz i rozpoczęli „nawracanie” duchownego. Bobola nie chciał przejść na wiarę prawosławną, więc mołojcy obili go nahajami, wybili zęby i przytroczyli do koni. Po czterech kilometrach biegu 66-letniego jezuitę popędzanego nahajami, spisami, szablami, pociętego, pokrwawionego postawiono na rynku janowskim przed starszyzną kozacką na sąd. Wiary się nie zaparł. Więc rozciągnięto go na stole rzeźniczym.

Zachował się dokładny opis okrutnych tortur. „Wiencami dębowymi” ścisano Boboli głowę, wbijano drzazgi za paznokcie, wycięto na ciele ornaty, oskalpowano czerep tworząc tonsurę, „świeże rany posypywali plewami z orkisz, odcięli mu nos i wargi, przez otwór wycięty w karku wydobyli język i odcięli u nasady, wreszcie powiesili go u sufitu za nogi, głową na dół i naśmiewali się z ciała”. Po dwóch godzinach męczeństwa ojciec Bobola, słynący z żywotności i ogromnej energii, nadal żył, jakby wzywał Kozaków do opamiętania. Wreszcie drgające w konwulsjach ciało spuścili Kozacy na polepę i dwukrotne cięcie szablą po gardle przerwało cierpienia jezuitę.

Wkrótce po dokonaniu zbrodni kozacy uciekli przed zbliżającymi się wojskami litewskimi.

Ocalały z rzezi proboszcz Janowa Poleskiego ks. Jan Zaleski złożył skrwawione ciało jezuitę w kościele parafialnym w drewnianej trumnie. Był to początek miejscowego kultu, który jednak szybko zanikł, gdyż ciało przewieziono do Pińska.

Po swojej śmierci został zapomniany i musiał sam przypomnieć o sobie - miało to miejsce 16 kwietnia 1702 roku. Wtedy to ukazał się przełożonemu klasztoru jezuitów w Pińsku, gdzie został pochowany w miejscowym kościele. Gdy została wydobyta trumna ze szczątkami Świętego, wtedy jego relikwie, zachowane w niezwykły sposób pozwoliły poznać okrutne szczegóły męczeńskiej śmierci. Rozpoczął się kult męczennika - do jego relikwii pielgrzymowali zarówno katolicy, jak i prawosławni, jednocząc się we wspólnej modlitwie.

Rozwój kultu

Dalsze dzieje kultu Andrzeja Boboli były ściśle związane z lo-

sami Rzeczypospolitej. Upadek państwa polskiego spowodował opóźnienie procesu beatyfikacyjnego, który dopiero w 1853 roku doprowadził do ogłoszenia Męczennika błogosławionym. Już wtedy istniało przekonanie, że Bobola przepowiedział niepodległość Polski, i że będzie jej patronem. Gdy więc Polska zaczęła się odradzać po I wojnie światowej, ożywił się także kult Andrzeja Boboli. Droga relikwii św. Andrzeja była też znamienna. W 1923 r. zostały z Połocka przewiezione do Moskwy do muzeum medycyny, potem przekazane Stolicy Apostolskiej i spoczęły w Rzymie.

W związku z rozwojem kultu rozpoczęły się starania o kanonizację, która dokonana się 17 kwietnia 1938 roku w Rzymie. Dopiero po tym wydarzeniu trumna z relikwiami Świętego w sposób bardzo uroczysty powróciła do Rzeczypospolitej. Na wyrażenie życzenia papieża Piusa XI relikwie pozostały w Warszawie. Już wtedy nazywano św. Andrzeja patronem Polski, choć nie było jeszcze oficjalnego potwierdzenie tego tytułu. Rok potem wybuchła II wojna światowa.

Odrodzenie państwa polskiego po wojnie było niepełne - nie dało prawdziwej niepodległości. Także kult Andrzeja Boboli natrafiał na przeszkody, jedną z nich był zakaz władz państwowych budowy sanktuarium Jego imienia. 16 maja 1956 r., w dniu liturgicznego wspomnienia św. Andrzeja Boboli, Prymas Tysiąclecia, kard. Stefan Wyszyński spisał tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu, które okazały się tak istotne dla duchowej odnowy polskiego Kościoła w trudnych latach. Gdy sytuacja zaczęła się zmieniać, zwłaszcza po wyborze Papieża Polaka, przyszło pozwolenie na budowę sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Warszawie. Pierwsza Msza św. była w nim celebrowana w 1988 roku, w 50. rocznicę kanonizacji.

Następnego roku doszło do zmiany systemu politycznego w Polsce. Niedługo potem, w 1992 roku, św. Andrzej Bobola został ogłoszony patronem Metropolii Warszawskiej. Po kilku latach doszło do nowej inicjatywy. Podczas 296. Zebrania Plenarnego Konferencji Episkopatu Polski, w październiku 1998 roku, została skierowana prośba do Stolicy Apostolskiej, aby św. Andrzej Bobola był uznany oficjalnie za patrona Polski. Watykańska Kongregacja wydała odpowiedni dokument. ©

Szkoła jest po to, by ludzi uczynić przyzwoitymi i uczciwymi

Krzysztof Marczyk
Koszalin

O przejściu na emeryturę, wieloletniej pracy w szkole i maturze opowiada Rafał Janus, dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Dubois w Koszalinie.

Od nowego roku szkolnego przechodzi pan na emeryturę. Ponad 40 lat pracy dydaktycznej za panem. Szybko zleciało?

Bardzo szybko. To jest pewnie refleksja osób w podobnym wieku do mojego i w podobnej sytuacji. Ze zdziwieniem spoglądamy za siebie i w przód i stwierdzamy, że ten czas, przecież długi, rzeczywistość szybko minął. Choć to szmat czasu, to długa historia. Pracuję w szkole od 44 lat, wcześniej byłem też uczniem, a prywatnie jeszcze dłużej jestem związany ze szkołą, bo kiedyś tak bywało, że ludzie rozdali się w domach. Ja się urodziłem w domu przy ulicy Harcerskiej. I okna mojego domu wychodziły na szkolne boisko, więc mogę powiedzieć, że od urodzenia jestem związany ze szkołą. Zacząłem tu pracę w 1979 roku, po studiach. Byłem nauczycielem języka polskiego, byłem wicedyrektorem przez dwa lata, a od 1 września 1998 roku, a więc w poprzedniej epoce, w poprzednim wieku, pełnię funkcję dyrektora.

Czy mógłby pan przywołać jakieś momenty, które najbardziej utkwiły panu w pamięci?

Było wiele takich momentów. Niesłychanie miłych zarówno dla mnie, jak i dla szkoły. Do nich niewątpliwie należą wszystkie te chwile, kiedy zagnałem się z uczniami. Każde pożegnanie, zwłaszcza wtedy, gdy byłem wychowawcą klasowym, to była niezwykła chwila. Ma się wtedy poczucie, że się dokonało czegoś, co za chwilę przełoży się w coś o realnym wymiarze. Bo praca nauczycielska jest na co dzień niewymierna. Natomiast dziś, gdy spotykam swoich absolwentów, mogę poczuć tę wymierność, bo oni wszyscy gdzieś zaistnieli, mają dokonania. I mam nadzieję, że w zdecydowanej większości są to dobrzy, przyzwoici i

uczciwi ludzie. O to tak naprawdę chodzi w szkole. Ważne są spotkania z absolwentami, jubileusze, zjazdy. Miłe chwile. Na pewno moment, w którym przejąłem stery szkoły, był dla mnie ważny, bo obejmowałem stanowisko dyrektorskie po legendarnym Lechu Żyłe, który stał u steru I LO przez 27 lat. I patrząc na to z obecnej perspektywy, losy mamy podobne. Wtedy jednak Lech Żyła powiedział mi: zostaniesz dyrektorem i będziesz miał 20 lat spokoju. Ale nie wierzyłem, że to jest możliwe. A czasy, w których obejmowałem stanowisko dyrektora, okazały się trudne. Bardzo trudne. Ile to razy zmieniała się struktura szkoły, ile to reform edukacji. Ilu ministrów edukacji. Policzyłem niedawno, że za mojej kadencji było ich trzynastu. I każdy próbował wprowadzać coś nowego. Niestabilność, która towarzyszyła mi przez te wszystkie lata, była jakimś problemem.

Mimo wszystkich zawirowań, mniej lub bardziej zasadnych reform, mocną pozycję szkoły udawało się utrzymać. Jaki był na to sposób?

Moim zadaniem, tak to pojmowałem, było utrzymać wysoką pozycję szkoły i zachować te normy i zasady, które nas definiowały od zawsze w tym niestabilnym świecie. I to, mam wrażenie, się udało. A jaki jest wzór na sukces szkoły? Wybitni, zdolni uczniowie plus nieprzeciętni nauczyciele. I ten zestaw gwarantuje sukces. Ale oczywiście to trzeba odpowiednio obudowywać, pielęgnować. Trzeba szukać sposobów, metod, form pracy. I my to robiliśmy. Nie ma jednak prostych recepty. Nie da się powiedzieć, że zrobienie czegoś tak i tak da odpowiedni wynik. W przypadku szkoły zbyt wiele zmiennych ma na to wpływ. Nam się udaje tworzyć w szkole, odkąd pamiętam, dobrą atmosferę, w której ceniona jest praca, zaangażowanie, ale też jest miejsce na luz, rozrywkę, zabawę i dowcip. I na sport. Chciałem zwrócić uwagę, że my jako liceum w tym elemencie jesteśmy wciąż w czołówce krajowej, w pierwszej setce. Raz nawet, w 2006 roku, byliśmy na 10. miejscu.



Rafał Janus, absolwent I LO im. Dubois w Koszalinie, następnie nauczyciel języka polskiego w tej szkole, a od 1 września 1998 roku - jej dyrektor

Obecnie lokujemy się w okolicach 70. miejsca. I takie są nasze możliwości, w takim mieście jak Koszalin, w takim środowisku. O ograniczonym jednak charakterze akademickim. Nie możemy przecież porównywać się z aglomeracjami, takimi jak Warszawa, Kraków, Poznań, Szczecin czy Trójmiasto. Jesteśmy, ponad wszelką wątpliwość, najlepszym liceum w regionie, ale jednocześnie mamy sukcesy w sporcie, w Licealiadzie, zarówno na szczeblu lokalnym, jak i ogólnopolskim. Czyli w takiej szkole, jaką niektórzy określają klasztorem, i twierdzą, że u nas to tylko się zakwawa, w sposób naprawdę imponujący rozwija się to, co młodzież lubi. A realizuje się ona na różnych polach, także w sferze kultury, bo mamy teatr szkolny, grupy wokalne. I młodzież ma do tego sposobność. Trzeba tym młodym ludziom tylko dać możliwości.

Co chciałby pan przekazać swemu następcy, czyli Pawłowi Rudeckiemu, nauczycielowi matematyki?

Kolega będzie kierował szkołą od 1 września i zapewne będzie wprowadzał jakieś swoje porządki. Ma do tego pełne prawo. Natomiast będę się cieszył, jeśli zechce kontynuować pewne rozwiązania

i podtrzymać te idee, o których wcześniej powiedziałem. Idee otwartej szkoły, które pozwalają młodzieży się realizować.

Czy jest także rzecz, którą zawsze chciał pan zrobić, ale brakowało czasu, więc teraz wreszcie będzie to możliwe?

To jest pytanie, z którym przechodzi mi się mierzyc od jakiegoś czasu. I nie mam z tym na razie żadnego problemu. Mam rozległe zainteresowania. Po pierwsze, te edukacyjne, zawodowe, ale także jestem kibicem sportowym. Jestem przede wszystkim fanem muzyki, jeżdżę na koncerty i staram się być tam, gdzie coś ciekawego się dzieje. Dużo czytam. Mam rodzinę. Będzie czas, by zająć się wnukami, bo dotychczas w tych pięknych okresach wiosennych - matury, potem koniec roku szkolnego - byłem bardzo zajęty. Teraz to się zmieni. Nie martwię się tym, co będzie. Chwilę odpocznę i na pewno będę aktywny.

Trwają matury. W jednym z wywiadów powiedział pan, że umiejętność pisania staje się, niestety, coraz mniej istotna. Ale, jak się okazuje, by zdać maturę, nie jest to konieczne. Czyli co - cywilizacja zatacza koło, kładziemy na-

cisk na kulturę wizualną i pismo obrazkowe, czyli emotikony? W tym kierunku to zmierza? I czy jest szansa, by te procesy spowolnić, a może i odwrócić?

Trudno powiedzieć. Nikt nie przewidział, w jakim kierunku pójdzie nasza kultura czy też sposoby komunikacji. Z jednej strony to dobrze, że matura reaguje na to, co się dzieje na świecie, bo dziś młodzi ludzie trochę inaczej się komunikują i do innych rzeczy zagląдают, niż to było kilkadziesiąt lat temu. To jest młodzież wychowana czy wręcz urodzona ze smartfonami, ze światem wirtualnym. I w tym świecie znakomicie się czuje. Dobrze, że matura trochę bierze to pod uwagę, że uwzględnia inny typ człowieka. Chociaż z drugiej strony matura to pewien standard. Już dawno temu umówiliśmy się, że żeby mieć to średnie wykształcenie, a później by dostać się na studia, trzeba ją zdać. Należy w związku z tym poznać pewną porcję wiedzy i umiejętności. A o ile wiedza w zasadzie się nie zmienia, tak umiejętności rzeczywiście się reformują. Jeżeli zmiany w maturze temu mają służyć, to dobrze. Ale mam pewne wątpliwości, bo niektóre z tych zmian w obecnym wy-

daniu budzą niepokój. Nie wiemy, czy młodzież sobie z tym poradzi. Matura jest trudniejsza, jest dłuższa. Trzeba napisać dłuższe wypracowanie. Nie wiem, czy to nie idzie wbrew tym tendencjom, które obserwujemy na świecie. Patrząc na doświadczenia z przeszłości, młodzi ludzie dają sobie radę ze zmianami. Pamiętam, gdy po raz pierwszy były przeprowadzane egzaminy po nowemu, to my, nauczyciele, bardzo się tego baliśmy. To były matury zupełnie inaczej zorganizowane, już nie sprawdzane w szkołach, lecz zewnętrznie. Tymczasem uczniowie weszli do sali, otworzyli arkusze i wzięli się do roboty. Tak po prostu. Bo oni są pragmatyczni, praktyczni i byli do tego przez lata przygotowywani. Chociaż tempo wprowadzenia tych zmian, które w tym roku zaistniały, trochę niepokoiło. Właściwie miesiąc przed egzaminem zmieniła się lista lektur obowiązkowych czy zadań obowiązkowych na egzamin ustny. To zaskoczyło i nas, nauczycieli, i uczniów.

Pozostaje liczyć na to, że z powstałego zamieszania zostaną wyciągnięte wnioski przez Ministerstwo Edukacji i komisje egzaminacyjne. Że odpowiedzialne za maturę i jej sprawdzanie podmioty będą elastyczne.

Miejmy nadzieję. Edukacja - a często to można usłyszeć w wypowiedziach różnych osób - to taka sfera, która wymaga stabilności. Wymaga spokoju. Niestety, egzamin maturalny jest dowodem na coś zupełnie odwrotnego. Tzw. nowa matura jest przecież realizowana od 2005 roku. I w tej formule już było tyle zmian, że najlepsi, najwięksi specjaliści nie są w stanie nad tym zapanować. Przykładowo odpowiednie instrukcje dla zdających z lat poprzednich są drukowane w kilku kolorach, bo po prostu każdy miał jakiś inny element w tej maturze, który trzeba było uwzględnić. Inaczej byśmy się pogubili w wypełnianiu deklaracji maturalnych. Brakuje więc stabilności, poczucia, że za rok będzie na pewno tak, jak ustaliśmy w tym momencie.

©©

Siedem maratonów na siedmiu poleciał do Bostonu, za miesiąc

Magdalena Olechnowicz
Słupsk

Ma 70 lat. Zaczął biegać po pięćdziesiątce. Teraz szykuje formę na Rio de Janeiro. Zostanie Tokio i Sydney. Wówczas Zbigniew Szkuclarek zdobędzie koronę. Nie była jąką, bo Koronę Maratonów Świata!

O Zbigniewie Szkuclarku Słupsk usłyszał, gdy przebiegł maraton na Antarktydzie. Brzmiało to tak abstrakcyjnie, że każdy chciał wiedzieć - kim jest ten Szkuclarek? Co mu strzeliło do głowy, aby biegać po Antarktydzie? Tam w ogóle mało kto był... Na topie jest Egipt, Turcja, Grecja, czasami ktoś ze znajomych pochwali się zdjęciami z Los Angeles czy Dubaju. Ale z Antarktydy nikt na fejsa zdjęć nie wrzucał. Aż tu nagle, jak Filip z konopi, wyskoczył Szkuclarek! Kiedy pochwaliła go sama prezydentka miasta - Krystyna Danilecka-Wojewódzka - o Szkuclarku zrobiło się głośno. A to dlatego, że wszyscy na Antarktydzie zobaczyli, skąd pochodzi. Pan Zbigniew z dumą fotografował się z flagą Słupska, na której widnieje czerwony gryf nad trzema niebieskimi falami. Jak się potem okazało - nastoletni Zbyszek podkochiwał się w koleżance z klasy - Krysi, ale nic wtedy z tego nie wyszło.

Na rozmowę z biegaczem umawiam się w jego domu, który, jak to się mówi, ma duszę. Bo bieganie to nie jedyne hobby pana Zbigniewa. W gabinecie nad naszymi głowami znajdował się niemal cały zwierzynek świata. A dokładnie poroża. Bo myślistwo to kolejna z pasji pana Zbigniewa. Zresztą jest ich tyle, że rozmowę można by prowadzić tygodniami - bo to jeszcze żeglarstwo, narciarstwo, zamiłowanie do starych mebli. Pan Zbigniew z dumą pokazywał ręcznie wykonane z drewna stoły, szafy czy ozdobne elementy z metalu jak lustra i półki. A na półkach pamiętki z całego świata. Bo podróż to chyba największa miłość słupszczanina.

Maratońska rehabilitacja

Mało mu jednak było wrażeń w życiu, więc zaczął biegać. - Miałem 23 lata, kiedy pierwszy raz miałem ochotę na biegi. Któregoś razu ubrałem dresy, trampki i poszedłem pobiegać. Ale sąsiadki zobaczyły,



Ciężki, pofałdowany teren, silne wiatry, niskie temperatury. Na maraton na Antarktydzie trudno się dostać, a jeszcze ciężiej jest go przebiec. 70-letni Zbigniew Szkuclarek, który walczył o udział w tym biegu przez sześć lat, dał wszystkiemu radę. Z radością fotografował się z flagą państwową i z godłem rodzinnego miasta Słupska

że głupi Szkuclarek biega, i speszyło mnie to na 30 lat! - wspomina. - Dopiero gdy miałem 55 lat i zaczęły pojawiać się choroby i szpitale, a ja byłem już okrągły, lekarz zalecił mi ćwiczenia i rehabilitację. Zacząłem biegać. Po półtora roku nic nie bolało, wszystko przeszło. Trafiłem na konsultację, a neurolog mówi: „Pan patrzy, jak panu dobrze te masaże zrobiły”. A ja

na to: „Jakie masaże! Ja biegam. Właśnie pierwszy maraton zrobiłem w Warszawie - 42 kilometry”. „O Jezu, przecież panu nie wolno biegać” - powiedział, a ja na to: „Jak nie wolno, jak ja się doskonale czuję i nie zamierzam przestawać” - opowiada o swoich początkach.

To było 15 lat temu, kiedy Zbigniew Szkuclarek miał 55 lat.

- Mój pierwszy maraton w Warszawie biegłem bardzo ostrożnie, na mecie popłakałem się z radości, bo udowodniłem sobie, że mogę, że potrafię! Potem były następne - w Poznaniu, Dębnie, Krakowie, Wrocławiu.

Apetyt na korony

W ten sposób zdobył Koronę Maratonów Polskich, gdyż

te pięć biegów udało mu się ukończyć w ciągu zaledwie dwóch lat. Biorąc pod uwagę, że słupszczanin był kompletnym amatorem, to naprawdę ogromny sukces.

- Na początku jest zmęczenie, zadyszka, dopiero potem przychodzi zadowolenie i człowiek biega - czy wiosna, czy zima, czy lato... - mówi Szkuclarek.

Pewne jest, że tę przyjemność z biegania ma. Po zdobyciu Korony Maratonów Polskich postawił sobie poprzeczkę wyżej.

- Półka wyżej to World Marathon Mayors - Big Six - sześć najbardziej kultowych maratonów na świecie, gdzie startuje najwięcej ludzi - mówi Szkuclarek.

Co postanowił, to realizuje.

kontynentach. Wrócił z Antarktydy, pobiegnie w Rio de Janeiro

- Pobiegłem w Berlinie, gdzie było na starcie 56 tys. ludzi, potem w Londynie - 48 tysięcy zawodników, Nowy Jork, Chicago, teraz Boston. Na przyszły rok zostaje mi szósty - Tokio - zdradza. Jednak od razu w głowie zakiełkowało kolejne marzenie. - Absolutnym ukoronowaniem moich planów jest siedem maratonów na siedmiu kontynentach z uwzględnieniem Antarktydy.

Projekt polegający na przebiegnięciu maratonu na każdym z siedmiu kontynentów został nazwany Koroną Maratonów Świata lub Ziemi. Jest to możliwe od 1995 roku, kiedy to odbył się pierwszy maraton na Antarktydzie.

Do tej pory tego wyczynu dokonało około 530 biegaczy z całego świata, w tym 17 Polaków. W każdym maratonie trzeba zmieścić się w limicie czasu określonym przez organizatora. Nie ma natomiast ograniczenia czasowego, w którym biegi powinny zostać skompletowane. Można więc stworzyć swoją Koronę latami.

Klejnoty koronne tanie nie są

Najtrudniejsze jest zakwalifikowanie się na bieg, bo chętnych na prestiżowe maratony są tysiące. I jest jeszcze jedna trudność - trzeba łączyć pieniądze. To nie tylko wpisowe, ale przede wszystkim ogromny koszt podróży dookoła naszego globu.

- W związku z tym, że przebiegłem już Europę (maratony w Berlinie i Londynie), Afrykę (Marakesz), Azję (Dubaj), Amerykę Północną (Nowy Jork i Chicago), a teraz Antarktydę, zostały mi Ameryka Południowa i Australia. W Ameryce Południowej pobiegnę już w czerwcu, gdyż szczęśliwie udało mi się zakwalifikować na maraton w Rio de Janeiro. I mogę też oficjalnie zakomunikować, że we wrześniu wezmę udział w imprezie w Sydney w Australii - mówi.

Skąd ma na to pieniądze?

- To głównie moje oszczędności. Jestem inżynierem budownictwa, ponad 20 lat pracowałem w Niemczech, wciąż działałem tam dla kilku niemieckich i polskich firm. Jestem już emerytem, ale dalej zajmuję się fasadami, aluminium, szkłem. Dzięki mnie polskie firmy realizują w Niemczech duże projekty. Postanowiłem



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Medal z maratonu z Antarktydy wzbogacił kolekcję biegowych trofeów

wydawać zarobione pieniądze na podróże. Poznałem Argentinę, Indie, krąg polarny jeszcze za czasów ZSRR, Afrykę - Namibię, Maroko, Botswanę. Jak jadę, to na miesiąc. Projekt 7 maratonów na 7 kontynentach to połączenie pasji podróży i biegania. Bardziej dziś dbam o dobrą kondycję i samopoczucie - opowiada pan Zbigniew. - Plan był taki,

aby do siedemdziesiątki udało się zrobić wszystko. Niestety, 70. stuknie mi w tym roku, a w Tokio pobiegnę w przyszłym.

A co potem?

- Potem będę biegał dalej, ale mam świadomość, że wydolność jest inna niż 15 lat temu i trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć sobie stop. To znaczy, że będę biegał, ale już bez tak am-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Boston. - Nie dobiegłem pierwszy do mety, ale wiem, że jestem mistrzem dla samego siebie - pisał biegacz na FB

bitnych celów, no chyba że przytrafi się bardzo ciekawy maraton... Na przykład jest taki sponsorowany przez producentów wina. Co ciekawe, nie ma limitu czasu! Co dwa i pół kilometra są wina i sery - „tralala i tralali” i biegę dalej. Jest też taki bieg w RPA - od Pacyfiku do Atlantyku - Two Oceans Marathon... marzył mi się kiedyś.

Z dotychczasowych najczęściej emocji i wrażeń dostarczył maraton na Antarktydzie.

- Sześć lat się starałem o to, aby się zakwalifikować na ten bieg. Odbywa się on tylko raz w roku i startuje tylko 150 osób - stu maratończyków i 50 półmaratończyków. W tym roku z Europy zakwalifikowały się tylko trzy osoby, w tym ja jeden z Polski. Antarktyda nie przynależy do żadnego państwa, tam mają wstęp tylko badacze. To kontynent strzeżony ze względu na ochronę środowiska. Stąd takie obostrzenia. Tam nie ma portów ani lotnisk dla dużych samolotów. Na małych mogą lądować tylko grupy badaczy, więc my dwa dni płynęliśmy statkiem, a potem przesiadaliśmy się na pontony. Widoki po drodze są bajeczne - widziałem wieloryby i lodowce. To wszystko robi ogromne wrażenie - opowiada pan Zbigniew.

Sam maraton był bardzo trudny i na ciężkim terenie.

- Pogoda fatalna, wiatr 45 km/h w porywach do 65. Teren bardzo pofalowany, deszcz na przemian ze śniegiem, temperatura około zera Celsjusza, ale ocean jest zimny, więc wia-

try są bardzo zimne. Omiatają wyspę, powodując, że śniegu tam nie ma. Wszędzie było błoto i hardcorowe podbiegi. W sumie musieliśmy zrobić sześć okrążeń po siedem kilometrów. Było naprawdę potwornie zimno - opowiada. - Czas dla mnie nie miał znaczenia. Nie chodziło o bicie rekordów, ale o przebiegnięcie. W trzy godziny i 10 minut trzeba było przebiec półmaraton, aby móc kontynuować bieg na dystansie maratońskim. Ja się zmieściłem. Potem na czas już nie patrzyłem. Na mecie zameldowałem się po 6 i pół godzinie. Byłem wyczerpany, organizatorzy pomagali mi się ubrać. Straciłem 3700 kalorii.

Był też czas na krótkie zwiedzanie, ale w asyście osób pilnujących.

- Tam nie ma kościołów, teatrów, zabytków. Tylko przyroda. Wiedzieliśmy pingwiny, foki. Niczego jednak nie można było dotykać. Zależało mi na tym i zrobiłem to. Zbierałem na to pieniądze i udało się cel osiągnąć. Ale drugi raz bym tam nie pojechał. To było po prostu zadanie do wykonania. Bardzo trudne zadanie.

W sumie przez 15 lat Zbigniew Szkuclarek przebiegł 32 maratony. Aby osiągnąć swoje cele, musi zaliczyć jeszcze trzy - w Rio de Janeiro w czerwcu, w Sydney we wrześniu i w Tokio - w przyszłym roku. Maraton w Tokio to chyba najtrudniejszy do zapisania się bieg na świecie. Chętnych jest co roku około 350 tysięcy osób, a miejsc - teoretycznie - 10 razy mniej. W praktyce dostępnych dla zwykłych biegaczy miejsc jest zaledwie niecałe 20 tysięcy, gdyż kilkanaście tysięcy numerów przeznaczonych jest dla członków różnych japońskich stowarzyszeń i szkół biegowych. Jeżeli nie jest się zawodowcem, o kwalifikacji decyduje losowanie.

Wbrew temu, co by się mogło wydawać, Zbigniew Szkuclarek na co dzień wcale tak dużo nie trenuje.

- Biegam trzy do czterech razy w tygodniu - w sumie od 30 do 50 km. Poza tym ćwiczę jogę, której nauczyłem się, podróżując po Indiach. Bo sukces jest w głowie - zaznacza.

Wierzy, że Koronę Maratonów Świata zdobędzie.

- Dam radę. Wiem to - mówi.

©©



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Odhaczone, zaliczone, na Antarktydę Zbigniew Szkuclarek już raczej nie wróci. Przed nim kolejne kraje, kontynenty i maratony

Rozwikłać tajemnicę zaginionego ORP „Orzeł”

Tomasz Chudzyński
Pomorze

- Niewiele osób ma świadomość, że spośród 200 statków i okrętów, które zatoniły na Morzu Północnym, połowa pozostaje nieodkryta. Gdzieś wśród nich znajduje się ORP „Orzeł” - mówi Tomasz Stachura, trójmiejski nurk, poszukiwacz wraków, szef nurkowej grupy Baltictech.

Badacz wraz z innymi przedstawicielami Baltictechu ma na koncie odnalezienie wraków torpedowca „Tiger”, tankowca „Liselotte”, frachtowca „Karlsruhe” i wielu innych. Wraku zaginionego w 1940 r. „Orla” poszukuje od 2014 r.

- Uważam, że nasza wieloletnia akcja spowodowała wydobycie ORP „Orzeł” z czeluści niepamięci. Nie chcemy przypisywać sobie wszelkich zasług, ale na pewno nasza akcja spowodowała, że o ORP „Orzeł” dużo się mówi - zaznacza Tomasz Stachura.

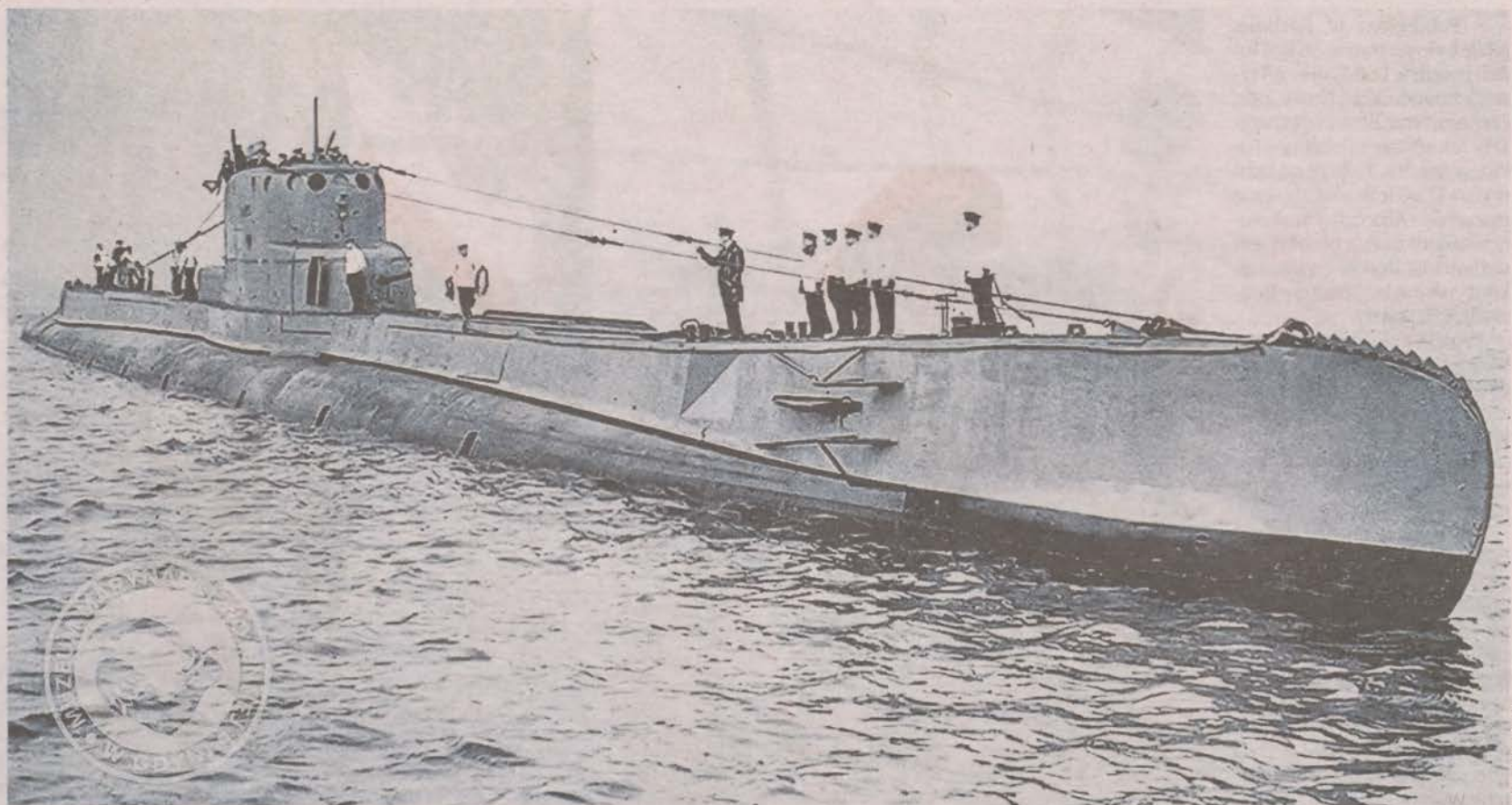
45 okrętów

- Do dziś znaleźliśmy i zidentyfikowaliśmy wraki 45 zatopionych na Morzu Północnym okrętów podwodnych - podkreśla Gert Normann z Muzeum Wojny na Morzu w Thyboron.

Na mapie sporządzonej przez duńskie muzeum oznaczone są m.in. brytyjskie okręty HMS „E10”, „K1”, L10 z czasów I wojny światowej, a także HMS „Starfish”, „Seahorse” czy „Tarpon”, które zostały zniszczone w czasie II wojny światowej. Są również niemieckie u-booty z czasów obu wielkich konfliktów (te spoczywają licznie na dnie Cieśnin Duńskich).

Na mapie prowadzonej przez duńskich badaczy pojawiła się niedawno nowa pozycja. W marcu tego roku prowadzący poszukiwania z pokładu jednostki badawczej „Cable One” duńscy muzealnicy natknęli się na wrak kolejnego okrętu podwodnego.

- Początkowo sądziliśmy, że to holenderski okręt podwodny O-13. Wrak został zlokalizowany blisko niemieckiego pola minowego z 1940 roku, położonego krótko przed zgłoszeniem zaginięcia O-13. Była to zatem oczywista możliwość - relacjonował w mediach społecznościowych Sea War Museum Jutland Gert Normann.



MW chciała pozyskać „silnie uzbrojone jednostki torpedowe typu uderzeniowego, zdolne do prowadzenia działań bojowych w odległych od bazy operacyjnej akwenach”

Holenderski O-13 był 60-metrowym okrętem podwodnym (wszedł do służby w roku 1931) przeznaczonym do patrolowania holenderskich wód macierzystych. Po upadku Holandii i Francji okręt popłynął do Wielkiej Brytanii. Wraz z innymi holenderskimi jednostkami O-20, O-21, O-23 i O-24 wszedł w skład 9. Flotyli Okrętów Podwodnych, operującej ze szkockiego Dundee. O-13 wyszedł w swój pierwszy patrol z tego portu w czerwcu 1940 roku i... zniknął.

Co ważne, w historii zaginięcia O-13 są i polskie wątki. Przypuszczano bowiem, że to na tym samym polu minowym, na którym prawdopodobnie znalazł się O-13, na przełomie maja i czerwca mógł zostać zniszczony ORP „Orzeł”.

Z holenderskim okrętem wiązano również incydent z 20 czerwca 1940 r., kiedy to inny polski okręt podwodny, ORP „Wilk”, raportował o staraniu niemieckiego u-boota. Późniejsze badania (m.in. uszkodzeń kadłuba polskiego okrętu) wskazywały, że „Wilk” mógł uderzyć w boję zabezpieczającą pole minowe lub właśnie w sojuszniczego O-13. Jednak na dnie w okolicach rapor-

owanej kolizji, którą po wojnie przeszukano, nie znaleziono żadnego wraku okrętu podwodnego.

O-13 jest jednym z siedmiu utraconych w czasie II wojny światowej okrętów podwodnych Królewskiej Holenderskiej Marynarki Wojennej. W urzędowych pismach widnieje jako „wciąż będący na morzu” (still on patrol).

To nie był O-13

Analiza materiałów - zarówno pomiarów, jak i wideo nie potwierdziła jednak hipotez o odnalezieniu O-13.

- Musieliśmy porzucić teorię, że to holenderski okręt podwodny - podkreśla Gert Normann.

Za to wszystko wskazują na U-85, okręt podwodny niemieckiej cesarskiej marynarki wojennej z czasów I wojny światowej. Dowodami są elementy konstrukcji, które zachowały się na wraku, czy wymiary jednostki uzyskane po obrazowaniu batymetrycznym wraku. Jak podkreślił Gert Normann, dokładna identyfikacja wciąż jest w toku.

Zaznaczmy, U-85 rozpoczął swój ostatni patrol przeciwko żegludze państw Ententy,

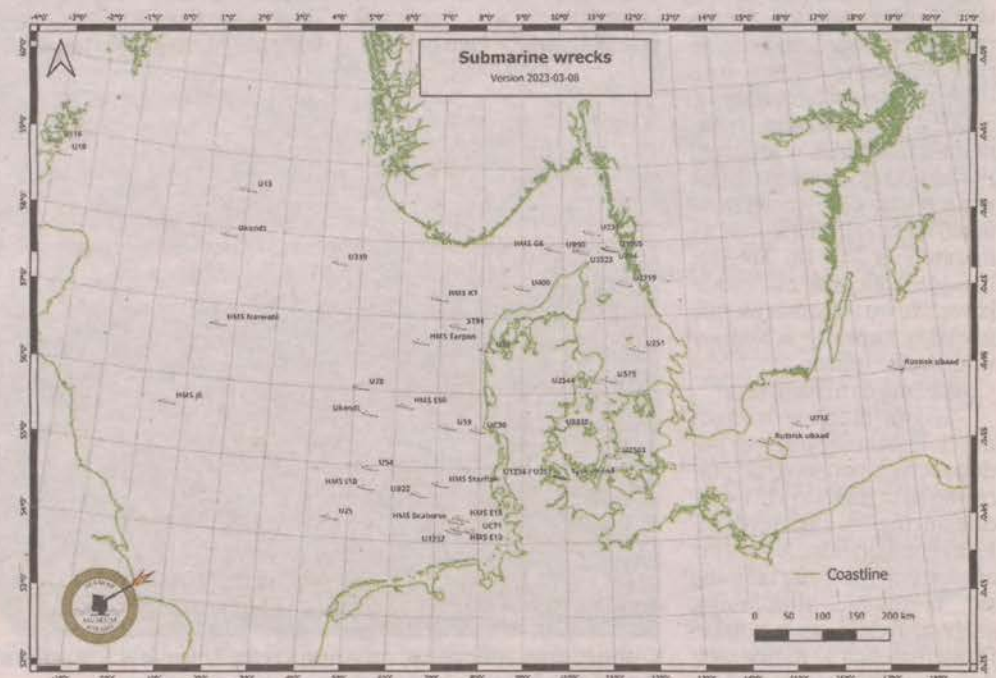
pod koniec stycznia 1917 roku. W tym czasie zdołał zatopić pięć statków handlowych - jeden norweski i cztery brytyjskie. Kontakt z u-bootem został utracony w marcu 1917 r. Jednostka zaginęła wraz z całą 38-osobową załogą.

- Odnaleźliśmy większość okrętów podwodnych, które po-

szły na dno Morza Północnego. Pozostały do wyjaśnienia dwie najważniejsze zagadki - miejsca spoczynku holenderskiego okrętu podwodnego O-13 oraz polskiego ORP „Orzeł”. To najbardziej poszukiwane okręty na Morzu Północnym - podkreśla Gert Normann.

Ostatni patrol

Okręt podwodny ORP „Orzeł” był jedną z najnowocześniejszych polskich jednostek na początku II wojny światowej. Budowa „Orla” w holenderskiej stoczni została w znakomitej większości sfinansowana z dobrowolnych składek polskiego społeczeństwa - to



ARTYKUŁ REKLAMOWY

0210790286

był ewenement nie tylko w skali Europy, ale i świata.

Po działaniach na Zatoce Gdańskiej we wrześniu 1939 r. okręt zdobył sławę brawurową ucieczką z internowania w Tallinie. Następnie załoga przeprowadziła okręt przez Bałtyk i Cieśninę Duńskie do Wielkiej Brytanii, nawigując jedynie w oparciu o odtworzone z pamięci przez ppor. mar. Mariana Mokrskiego mapy.

„Orzeł”, pod dowództwem kpt. mar. Jana Grudzińskiego, wślawił się także zatopieniem na początku kwietnia 1940 r. niemieckiego frachtowca „Rio de Janeiro”, na którego pokładzie znajdowały się wojska szukające się do agresji na Norwegię.

Okręt wypłynął na swój ostatni patrol bojowy dokładnie 23 maja 1940 r. Podczas tej misji zaginęła bez wieści, a jego zatonięcie do dziś stanowi największą tajemnicę Polskiej Marynarki Wojennej.

Mariusz Borowiak, historyk, autor opracowań dotyczących Polskiej Marynarki Wojennej w dwudziestoleciu międzywojennym i dziejów polskich okrętów w czasie II wojny światowej, podkreśla, że hipotez na temat przyczyn zatonięcia „Orła” jest co najmniej kilka - od omyłkowego zatopienia przez brytyjskie jednostki sojusznicze (podwodne, nawodne lub lotnictwo), tzw. friendly fire lub niemieckie okręty (podwodne lub nawodne), po wejście na zagrodę minową.

- Według mojej koncepcji „Orła” zatopiła dryfująca mina, która została zerwana z zagrody - mówił mediom Mariusz Borowiak. - Jednak pełną wiedzę o okolicznościach zatonięcia ORP „Orzeł” uzyskamy dopiero po odnalezieniu wraku.

Gdzie może spoczywać „Orzeł”?

Obszar, w którym może znajdować się wrak „Orła”, jest ogromny. Każda z ekspedycji poszukiwawczych przeszukuje wybrany obszar morskiego dna (także pod kątem hipotez na temat przyczyn zatopienia okrętu), a poszukiwania poprzedzają badania w archiwach. Szczątki okrętu mogą być mocno uszkodzone, rozetrwane. To niełatwe zadanie.

- Niewiele osób ma świadomość, że spośród 200 statków i okrętów, które zatonęły na Morzu Północnym, połowa pozostaje nieodkryta. Gdzie wśród nich znajduje się ORP „Orzeł” - zaznacza Tomasz Stachura.

Wrak okrętu podwodnego ORP „Orzeł” próbowały odnaleźć wyprawy Marynarki Wojennej. W 2013 roku poszukiwania prowadzono z pokładu ORP „Lech”, gdy negatywnie zweryfikowano jeden ze spoczywających na dnie Morza Północnego wraków. W 2008 r. odbyła się ekspedycja pod patronatem

firmy Balexmetal, a w latach 90. XX w. badania holendersko-norwesko-polskie. Wraku nie udało się odnaleźć.

Tomasz Stachura w ramach ekspedycji „Santi Odnaleźć Orła” poszukuje polskiego okrętu niemal od dekady. Na początku marca 2020 r., jeszcze przed covidowym lockdownem, z morza wróciła dziewiąta ekspedycja ekipy „Santi Odnaleźć Orła”, której wsparcie hydrograficzne zapewniały Instytut Morski w Gdańsku oraz duńskie Sea War Museum Jutland.

- Mamy znakomitą współpracę z ekspertami duńskiego Muzeum Wojny na Morzu. Tak jak ja znam się na Bałtyku, bo nad tym morzem mieszkam, tak oni znają się na Morzu Północnym. Nawiązanie współpracy z tą placówką było dobrym krokiem - mówi Stachura.

Ta ostatnia do tej pory ekspedycja „Santi Odnaleźć Orła” (od tamtej pory głównie z uwagi na covidowe obostrzenia wyprawy się nie odbywały) sprawdziła lokalizacje niemieckich i brytyjskich pól minowych z czasów II wojny światowej. Udało się odnaleźć dwa wraki, w tym jeden okrętu podwodnego. Okazało się jednak, że jest to brytyjska jednostka HMS „L10”, zatopiona w czasie walk u schyłku I wojny światowej. Podczas wszystkich ekspedycji członkowie poszczególnych wypraw „Santi” odnaleźli kilkadziesiąt wraków. W roku 2017 odkryli pozycję zatopionego brytyjskiego okrętu podwodnego HMS „Narwhal”.

- Hipotezę związaną z friendly fire, czyli nieszczęsnym atakiem lotniczym Brytyjczyków na „nieznany” okręt podwodny, sprawdzaliśmy w ciągu ostatnich pięciu wypraw - tłumaczył w 2019 r. lokalnej gazecie Tomasz Stachura. - My ją, tak się wydaje, dość dobrze zweryfikowaliśmy. Przeszukaliśmy hydrograficznie ponad 1200 km kwadratowych obszaru, gdzie do ataku na „Orła” mogło dojść. Nie natrafiliśmy na ślad okrętu. Wychodzimy zatem z innego, dość prostego założenia. Mianowicie, że „Orłowi” coś „stało się” na samym początku patrolu, w pierw-

szych trzech, czterech dniach rejsu. Załoga okrętu dostała rozkaz wyjścia na patrol obszaru Morza Północnego oznaczonego jako A3 - około 200-220 mil od Rosyth. „Orzeł” potrzebował doby, by do niego dotrzeć. Miał w nim przebywać między 24 maja a 1 czerwca 1940 r. Możliwości są dwie - na „Orle” doszło do „zwykłego” wypadku, awarii technicznej, niezwiązanej z działaniami wojennymi, lub okręt wpłynął na minę zerwaną z niedalekiego, od obszaru A3, pola minowego. Co ważne, „Orzeł” nie kontaktował się z bazą w Rosyth od początku swojego ostatniego patrolu.

Po raz pierwszy od trzech lat

W morze na poszukiwania wyruszył także ekspedycja Narodowego Programu Poszukiwania Wraku ORP „Orzeł”, powołanego w roku 2020. Realizować mają go (pod patronatem premiera RP) Stowarzyszenie Wyprawy Wrakowe (jego szefem jest Mariusz Borowiak) oraz szwedzka Akademia Morska (AM ma zapewnić m.in. badawczy statek).

Zaznaczmy, zdaniem organizatorów obu ekspedycji, odnalezienie wraku ORP „Orzeł” pomogłoby wyjaśnić przyczynę zatonięcia polskiej jednostki i odtworzyć jej ostatnie dni. Ważnym czynnikiem jest również pamięć o polskich marynarzach i oficerach. Na ostatni patrol wyruszyło na swoim okręcie 60 ludzi.

- Nie ma nic ważniejszego dla dziejów polskiej Marynarki Wojennej od wyjaśnienia zagadki ORP „Orzeł” - mówił Borowiak. - Jednak dla rodzin potomków marynarzy ma to znaczenie drugorzędne. Oni chcieliby się dowiedzieć, po 80 latach, w jaki sposób zginęli ich bliscy i gdzie spoczywają.

Ten rok ma być pierwszym, od trzech lat, gdy wznowione zostaną poszukiwania ORP „Orzeł”.

- Są duże szanse na rozpoczęcie kolejnej ekspedycji „Santi Odnaleźć Orła” w tym roku. Na pewno chcielibyśmy wrócić do regularnych wypraw - zaznacza Tomasz Stachura.

©P

PODWODNY KRAŻOWNIK

ORP „Orzeł” był jednym z najśłynniejszych, ale też i najpiękniejszych polskich okrętów.

Aleksander Gosk z Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni w czasie jednej ze swoich historycznych prelekcji nazwał „Orła” podwodnym krążownikiem. Okręt liczył 84 metry długości, 12 wyrzutni torpedowych kal. 550 mm. Uzbrojenie artyleryjskie stanowiła armata kal. 105 mm umieszczona w wieży przed kioskiem. Za obronę przeciwlotniczą odpowiadało podwójnie sprzężone działo kal. 40 mm, za pomocą mechanizmu hydraulicznego wysuwane ze stanowiska na szczycie nadbudówki. Wraz z bliźniaczym „Sępem”, „Orzeł” mógł operować na morzu 90 dni. Wyporność obu okrętów wynosiła 1100 t. Polacy zdecydowali się powierzyć budowę holenderskiej stoczni, czemu sprzyjała i cena, i bliska odległość od polskich baz.

0210790286



Zadzwoń teraz – produkty gratis czekają

Jak szybko może zniknąć BÓL?

Ta magnetyczna bransoletka działa nawet wtedy, gdy zawodzą wszystkie inne metody!

Jak działa bransoletka magnetyczna?

Generuje pole magnetyczne, o mocy 5000 Gs, które może przenikać przez skórę i tkanki, wspomagając procesy wygaszania impulsów bólowych, przyspieszania tempa przemiany materii i odkwaszania organizmu.

Terapeutyczne pole magnetyczne działa jak niewidzialna tarcza. Może oczyszczać naczynia krwionośne ze złogów cholesterolu - dając szansę na ochronę przed miażdżycą i zawałem serca. Ułatwia zasypianie, poprawia pracę mózgu i ogólne samopoczucie.

Jeśli zaobserwowałeś u siebie te objawy:

- ♦ ból spowodowany chorobą zwyrodnieniową, syndromem zespołu cieśni nadgarstka, urazami związanymi z przewlekłym przeciążeniem mięśni i ścięgien,
- ♦ bóle i stany zapalne w barkach, ramionach, nadgarstkach i dłoniach,
- ♦ ból po urazach, tamiwe kości
- ♦ niewłaściwe krążenie
- ♦ wysoki poziom cukru i cholesterolu we krwi
- ♦ bóle głowy, zmęczenie, bezsenność, nerwowość, nadmierny stres...

TA MAGNETYCZNA BRANSOLETKA CZYNI CUDAI!

OPINIA EKSPERTA

Systematyczne noszenie tej biżuterii magnetycznej jest najlepszym rozwiązaniem dla osób, które na co dzień zmagają się z przewlekłym bólem i chcą zapobiec rozwojowi poważnych schorzeń.



Qui Renzong
Specjalista w dziedzinie magnetoterapii

siłam już bransoletkę, a trzeciego dnia zaczęłam odczuwać wyraźnie zmniejszający się ból, który po 2 tygodniach całkowicie ustąpił. Aż nie mogłam w to uwierzyć! Stawy przestały mnie boleć, odstawiłam nawet środki przeciwbólowe! Powiedziałabym, że to prawdziwy cud, ale byłoby to kłamstwo - to po prostu nauka! Nauka, która wreszcie rozwiązała mój uciążliwy problem. Bransoletkę podarowałam również mojej córce, której doskwierała bezsenność i bóle pleców. Jej też pomogła, choć Ania zupełnie straciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie czuć się lepiej. Co najlepsze, ta metoda jest bezpieczna i nie wymaga wychodzenia z domu, ani dodatkowych kosztów! Polecam ją każdemu!

Ból powoli odbierał mi siłę i możliwość poruszania się...

„Odkąd zmarł mój mąż, mieszkam sama. Opiekuję się wnukami, dbam o swój ogród i ukochany dom pod lasem. Jeszcze 3 miesiące temu musiałam bardzo uważać na swoje stawy, ponieważ nawet najmniejszy wysiłek powodował u mnie silny ból, który następnego dnia uniemożliwiał mi wstanie z łóżka. Walczyłam z tym problemem jak tylko mogłam. Chodziłam od jednego specjalisty do drugiego i słuchałam ich rad. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ból nie chce ustąpić, choć robię dokładnie to, co zalecili mi specjaliści.

Dziś domyślam się, że zalecane środki jedynie obciążały mój portfel i żołądek. Latami po prostu marnowałam pieniądze! Co gorsza, mój ból stawów stawał się coraz bardziej uciążliwy. Ciężko mi było usiąść i wstać z krzesła. Przejście z kuchni do łazienki kosztowało mnie wiele wysiłku. Nie miałam energii na pracę w ogrodzie i zajmowanie się wnukami. Nadgarstki bolały mnie tak bardzo, że nie mogłam nawet odkręcić pojemniczka z tabletkami na nadciśnienie. Byłam na skraju rozpacz. Nie mogłam spać, ciągle tylko zastanawiałam się, co by się stało, gdybym całkowicie straciła sprawność fizyczną. Bałam się, że stanę się ciężarem dla mojej rodziny.

Uzdrowiająca energia

Podczas dalszych badań lekarz zalecił mi natychmiastowe rozpoczęcie rehabilitacji. Szczególnie polecał zabiegi magnetoterapeutyczne. Zadzwoniłam do centrum rehabilitacji, myśląc, że znalazłam rozwiązanie moich problemów. Ale kiedy specjalista podał mi cenę, byłam zdumiona. Niebotyczna kwota 400 zł za jedną wizytę. Kto może sobie na to pozwolić!? Rozczarowana i zła odłożyłam słuchawkę. Bez entuzjazmu zaczęłam przeglądać gazety. Mój wzrok padł na zdjęcie eleganckiej bransoletki, która od razu bardzo mi się spodobała. Dopiero później zwróciłam uwagę na tytuł artykułu:

„Nowa broń w walce z bólem”

Bransoletka, która może zwalczać ból? To niemożliwe - pomyślałam. Ale poczytałam dalej. Dowiedziałam się, że posiada ona aż 20 magnesów neodymowych o dobroczynnych dla zdrowia właściwościach. Według specjalistów z dziedziny magnetoterapii, noszenie jej pomaga organizmowi walczyć z nadciśnieniem, osteoporozą, jaskrą, bezsennością, nadwagą, zmęczeniem, bólami stawów, bólami pleców i miażdżycą. Byłam bardzo podekscytowana wizją tak przyjemnej terapii i od razu zadzwoniłam na wskazany numer. Kilka dni później no-

JUŻ TERAZ ZREDUKUJ BÓL!

Z jedną z puli 100 bransoletek magnetycznych całkowicie gratis! Nie zwlekaj, decyduje kolejność zgłoszeń!

Tylko do **22.05.2023** bransoletka magnetyczna zupełnie **ZADARMO!**

Tel. 42 300 32 86

Pon.-Niedz. 8:00-20:00.
(normalne połączenie lokalne bez dodatkowych opłat)

*Szczegóły oraz informacje dotyczące procedury zwrócenia i reklamacji dostępne są pod adresem: www.infocare-customers.consultation.pl

Tańcz do utraty tchu. 12 tysięcy złotych czeka na najwytrwalszych



Rajmund Welnic
Biały Bór

Sześć dni i sześć nocy tańczył zwycięzca maratonu tańca w Białym Borze u schyłku PRL. Moda na nie przywędrowała z Ameryki lat Wielkiego Kryzysu.

Maratony tańca były szczególnie popularne w Polsce w latach 80. XX wieku. Na Pomorzu moda ta znalazła swoich wielbicieli w Białym Borze. To tutaj na przełomie lat 70. i 80. zorganizowano dziesięć edycji takiej tanecznej imprezy, jedynej wówczas na całym Pomorzu. Aczkolwiek pod koniec zmagania, gdy pary dosłownie snuły się po parkiecie, trudno to już było nazwać tańcem.

W roku 1983 odbyła się czwarta odsłona białoborskiego maratonu. Jej niewątpliwym atutem była wysoka jak na tamte czasy nagroda dla

zwycięskiej pary, która najdłużej wytrzyma na parkiecie. Wydarzeniu patronował wówczas dziennik „Głos Pomorza”, a więc na imprezę redakcja odelegowała dziennikarza i fotoreportera. To dzięki niezwykłym zdjęciom fotografa Krzysztofa Sokołowa możemy i dzisiaj poczuć klimat tamtych zmagania tancerzy.

Rok później, na kolejnej edycji maratonu, padł rekord. Wytanńczyli go tancerze z Zielonej Góry.

- W roku 1984 na maratonie w Nowej Soli przetańczyliśmy non stop 83 godziny - wspominał na łamach „Gazety Lubuskiej” tancerz Andrzej Gliwa. - I zapadła decyzja. Jedziemy do Białego Boru w Koszalińskim! Przetanńczyliśmy tam sześć dni i sześć nocy!

Cóż to jednak w porównaniu z wyczynem Mike Ritova i Edith Boudreaux, którzy tańczyli... od 29 sierpnia 1930 do 1 kwietnia 1931? Czyli 5 152 go-

dziny. Zarobili za to dwa tysiące dolarów...

Zwycięzcy białoborskiego maratonu inkasowali w końcówce Polski Ludowej 12 tysięcy złotych. Dodajmy, niewymienialnych wtedy na dolary. To było tylko nieco mniej, niż wynosiła wówczas przeciętna miesięczna płaca. Było więc o co walczyć i nic dziwnego, że w białoborskim ośrodku kultury w sierpniową sobotę przez kilka lat stawiano się kilkadziesiąt par z całego regionu.

- Jeden z maratonów wygrał mój kolega, z którym chodziłem do technikum, Janusz Janecki z Miastka - wspomina Tadeusz Datta, trener i nauczyciel ze Szczecinka. - Nie pamiętam już, jak się nazywała jego partnerka. Tańczyli całą dobę z przerwami, byłem tam wtedy przez około 30 minut popatrzeć.

Regulamin maratonów tańca pozwalał na przerwy

na odpoczynek, skorzystanie z toalety i posiłek. Po kilku dniach tańca nie miało to już jednak większego znaczenia. Narastało potworne zmęczenie, niektórzy mdleli. Tancerze już nie tańczyli, lecz ciężko się o siebie wspierali, aby nie upaść, i wykonywali jakiegokolwiek ruchy, aby nie zostać zdyskwalifikowanym. Na parkiecie zostawało na koniec kilka par, które ożywiały jedynie wizja nagrody. Ze sportem i rozrywką miało to już niewiele wspólnego.

Pan Tadeusz Datta pamiętał jeszcze jedną ciekawostkę z tej imprezy.

- Organizatorzy na początku nie wiedzieli, jak oznaczyć zawodników - opowiada. - Chcieli najpierw flamastrami pisać numery na koszulkach, ale ktoś wpadł na inny pomysł. Poszli do stadniny koni pożyczyc numery, które pozostały po międzynarodowych zawodach jeździeckich we wszech-

stronnym konkursie konia wierzchowego. Dlatego na tych plastronach widnieje CCI, nazwa międzynarodowa zawodów WKKW.

Świadomie lub raczej nieświadomie organizatorzy nawiązali w ten sposób do amerykańskiego filmu z roku 1969 „Czyż nie dobija się koni”, poświęconego maratonowi tańca w okresie panowania w USA Wielkiego Kryzysu.

To bowiem zza oceanu przybyła do nas moda na taneczne maratony. Szczególną popularność zdobyły one w USA w latach 20. XX wieku. Zaczęło się od sportowej rywalizacji, gdy Alma Cummings ustanowiła 27-godzinny rekord, tańcząc z kilkoma partnerami. Motywacją tancerzy, którzy zapisywali się do kolejnych maratonów, była chęć pobicia tego osiągnięcia. Jednak wybuch Wielkiego Kryzysu i masowe bezrobocie sprawiły, że to nie sportowe ambicje,

lecz finansowe nagrody za wygranie maratonu zaczęły przyciągać desperatów gotowych zaryzykować zdrowiem i życiem dla zarobku. Najbardziej prestiżowe maratony oferowały wygrane liczone w tysiącach dolarów, co było wówczas zawrotną kwotą. Na parkietach w całej Ameryce meldowały się więc rzesze osób bez żadnego przygotowania tanecznego, co zresztą nie miało większego znaczenia, bo ostatecznie liczyło się to, kto dłużej ustoi na nogach.

Widowiska te podziwiała rzesza widzów. To na ich oczach rozgrywały się dramaty. W roku 1923 po przetańczeniu 88 godzin podczas nowojorskiego maratonu zmarł Homer Morehouse. Kilka lat później samobójstwo próbowała popełnić tancerka z Seattle, która przeszła załamanie po 19-godzinny tańcu, który to czas pozwolił jej zająć tylko piąte miejsce. ©

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Mickiewicza 24, 75-004 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

- NIERUCHOMOŚCI
- FINANSE/BIZNES
- ZDROWIE
- BANK KWATER
- MATRYMONIALNE
- ŻYCZENIA
- ROLNICZE
- HANDLOWE
- NAUKA
- USŁUGI
- ZWIERZĘTA
- RÓŻNE
- /PODZIĘKOWANIA
- MOTORYZACJA
- PRACA
- TURYSTYKA
- ROŚLINY, OGRODY
- KOMUNIKATY
- GASTRONOMIA
- TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

M-4, 60m², Słupsk, 668839118

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ udziały w nieruchomościach,

spadkach, 602-738-759

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJE pokoju na dłużej,

502-394-769 Koszalin

MIESZKANIA - ZAMIENIE

ZAMIANA/KUPNO mieszkań

zadłużonych, dopłata, 602-738-759

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

DZIAŁKA BUDOWLANA 571 M2

SPRZEDAM POŁCZYN ZDRÓJ

602742814

GARAŻE

0010803686

**GARAŻE Białe
BRAMY Garażowe
KOJCE dla Psów**

Najniższe **CENY**
Różne wymiary
Transport cały kraj
Montaż **GRATIS**
Dogodne **RATY**

94-318-80-02 91-311-11-94
58-588-36-02 95-737-63-39
59-727-30-74 512-853-323

www.konstal-garaze.pl

POŚREDNICTWO

0010705120

**OMEGA
WYCENY
OBRÓT**

SŁUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11
tel. 59 841 44 20;
601 654 572;
www.nieruchomosci.słupsk.pl
omega@nieruchomosci.słupsk.pl

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

A do Z skup-skupujemy każde pojazdy,
płacimy nawet za wraki, oferujemy
najwyższe ceny, 536079721

AUTO skup wszystkie 695-640-611

USŁUGI

KONSERWACJA podwozi, 883080883.

TEUMIKI, katalizatory, złącza. Czekaj

Zbigniew.

Koszalin, Szczecińska 13A (VIS).

Tel: 501-692-322.

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACOWNIKA DO SKLEPU
OGRODNICZEGO ZATRUDNIMY

KOSZALIN ;94/3422660

0010799281

APN Sentium
Opieka z szacunkiem

Wyjeżdź jako opiekunka na wakacje
i w 8 tygodni zarób nawet

3800€ netto
na rękę
+ premia do 200€

+48 500 401 901

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.
Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

INNE

ALKOHOLIZM - esperal 602-773-762

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

BUDOWLANO-REMONTOWE

CYKLINOWANIE bezpyłowe
511323367

CYKLINOWANIE bezpyłowe
884912222

MALOWANIE dachów 788-016-988

REMONTY mieszkań 792 834 494 GK

REMONTY od A do Z,
660-683-933(GK)

USŁ. łazienki, hydraulika 696498391.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

PROMOCJA od 100 zł/os. w tym 2
posiłki. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DZWIRZYNOMORZE.PL, 605-905-969

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

LEBA, tanie pokoje z łaz. 603-471-715

Matrymonialne

PAN pozna Panią, 507424834

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny
rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI odchowane 784 461 566

KURY nioski młode - sprzedam,
Telefon: 782-827-428, 792-732-052,
59/810-89-05

REKLAMA 0010719806

ZŁOM kupię, potnę, przyjadę
i odbiorę, tel. 607 703 135.

USŁUGI HYDRAULICZNE,
tel. 607 703 135.

SPRZĄTANIE strychów,
garaży, piwnic, wywóz starych
mebli oraz gruzu w big
bagach, 607 703 135.

REKLAMA

0010817263

BURMISTRZ MIASTKA

ogłasza II publiczny nieograniczony przetarg ustny
na sprzedaż nieruchomości lokalowej, stanowiącej własność Gminy Miastko

Przedmiotem przetargu jest lokal użytkowy numer VI o powierzchni użytkowej 26,62 m², położony na parterze w budynku numer 6 położonym przy ul. Wielkopolskiej w Miastku, obręb 83/3, wraz z udziałem wynoszącym 227/10000 w częściach wspólnych budynku oraz w prawie własności gruntu działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 73/4 o powierzchni 1926 m².

Nieruchomość położona jest na terenie, dla którego brak jest miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. W studium kierunków rozwoju i zagospodarowania przestrzennego Gminy Miastko teren przeznaczony jest na cele zabudowy mieszkaniowej i usług.

Dla nieruchomości urządzona jest księga wieczysta KW SL1M/00006878/1 prowadzona przez Sąd Rejonowy w Miastku IV Wydział Ksiąg Wieczystych.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI 58.000,00 złotych

Przetarg odbędzie się w dniu 20 czerwca 2023 roku o godz. 12.30 w siedzibie Urzędu Miejskiego w Miastku, ul. Grunwaldzka 1, pokój nr 6.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłata wadium w gotówce w wysokości 10% ceny wywoławczej, tj.: 5.800,00 zł, najpóźniej do dnia 16 czerwca 2023 r. na konto Urzędu Miejskiego w Miastku w PKO BP nr 17 1020 2791 0000 7702 0258 4803 z określeniem numeru nieruchomości, na którą dokonywana jest wpłata wadium i okazaniem się dowodem wpłaty w dniu przetargu.

Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Urzędu Miejskiego w Miastku.

Uczestnicy przetargu zobowiązani są przedstawić Komisji Przetargowej następujące dokumenty:

- dokument tożsamości,
- pełnomocnictwo do udziału w przetargu sporządzone w formie aktu notarialnego,
- osoby fizyczne (lub osoby prowadzące działalność gospodarczą) pozostające w związku małżeńskim i posiadające ustrój wspólności majątkowej – pisemne oświadczenie współmałżonka, iż wyraża on zgodę na nabycie nieruchomości będącej przedmiotem przetargu po cenie wylicytowanej przez współmałżonka przystępującego do przetargu.

Lokal można oglądać od 22 maja 2023 roku w godzinach od 9.00 do 14.00 w uzgodnieniu z pracownikiem tut. urzędu, pokój nr 12.

Osobie, która przetarg wygrała, wpłacone wadium zostanie zaliczone na poczet ceny sprzedaży, pozostałym osobom zwrócone niezwłocznie po przetargu.

W przypadku uchylania się od zawarcia umowy wadium ulega przepadkowi, a przetarg czyni niebyłym.

Warunkiem nabycia nieruchomości jest wpłata ceny osiągniętej w przetargu w całości przed zawarciem aktu notarialnego.

I przetarg na przedmiotowy lokal odbył się w dniu 27 kwietnia 2023 r. i zakończył się wynikiem negatywnym.

Burmistrz Miastka może odwołać ogłoszony przetarg jedynie z ważnych powodów, przy czym informacja o odwołaniu przetargu z uzasadnieniem podana zostanie do publicznej wiadomości w formie zastosowanej dla ogłoszenia o przetargu.

Wszelkich informacji o przedmiocie przetargu udziela Wydział Rozwoju Gospodarczego Urzędu Miejskiego w Miastku, pokój nr 12, lub telefonicznie, tel. 59 857 07 11.

REKLAMA

0010817264

BURMISTRZ MIASTKA

ogłasza I publiczny nieograniczony przetarg ustny
na sprzedaż nieruchomości lokalowej, stanowiącej własność Gminy Miastko

Przedmiotem przetargu jest lokal użytkowy numer VIII o powierzchni użytkowej 64,65 m², położony na parterze w budynku numer 6 położonym przy ul. Wielkopolskiej w Miastku, obręb 83/3, wraz z udziałem wynoszącym 551/10000 w częściach wspólnych budynku oraz w prawie własności gruntu działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 73/4 o powierzchni 1926 m².

Nieruchomość położona jest na terenie, dla którego brak jest miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. W studium kierunków rozwoju i zagospodarowania przestrzennego Gminy Miastko teren przeznaczony jest na cele zabudowy mieszkaniowej i usług.

Dla nieruchomości urządzona jest księga wieczysta KW SL1M/00006878/1 prowadzona przez Sąd Rejonowy w Miastku IV Wydział Ksiąg Wieczystych.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI 132.000,00 złotych

Przetarg odbędzie się w dniu 20 czerwca 2023 roku o godz. 12.00 w siedzibie Urzędu Miejskiego w Miastku ul. Grunwaldzka 1, pokój nr 6.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłata wadium w gotówce w wysokości 10% ceny wywoławczej tj.: 13.200,00 zł, najpóźniej do dnia 16 czerwca 2023 r. na konto Urzędu Miejskiego w Miastku w PKO BP nr 17 1020 2791 0000 7702 0258 4803 z określeniem numeru nieruchomości, na którą dokonywana jest wpłata wadium i okazaniem się dowodem wpłaty w dniu przetargu.

Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Urzędu Miejskiego w Miastku.

Uczestnicy przetargu zobowiązani są przedstawić Komisji Przetargowej następujące dokumenty:

- dokument tożsamości,
- pełnomocnictwo do udziału w przetargu sporządzone w formie aktu notarialnego,
- osoby fizyczne (lub osoby prowadzące działalność gospodarczą) pozostające w związku małżeńskim i posiadające ustrój wspólności majątkowej – pisemne oświadczenie współmałżonka, iż wyraża on zgodę na nabycie nieruchomości będącej przedmiotem przetargu po cenie wylicytowanej przez współmałżonka przystępującego do przetargu.

Lokal można oglądać od 22 maja 2023 roku w godzinach od 9.00 do 14.00 w uzgodnieniu z pracownikiem tut. urzędu, pokój nr 12.

Osobie, która przetarg wygrała, wpłacone wadium zostanie zaliczone na poczet ceny sprzedaży, pozostałym osobom zwrócone niezwłocznie po przetargu.

W przypadku uchylania się od zawarcia umowy wadium ulega przepadkowi, a przetarg czyni niebyłym.

Warunkiem nabycia nieruchomości jest wpłata ceny osiągniętej w przetargu w całości przed zawarciem aktu notarialnego.

Burmistrz Miastka może odwołać ogłoszony przetarg jedynie z ważnych powodów, przy czym informacja o odwołaniu przetargu z uzasadnieniem podana zostanie do publicznej wiadomości w formie zastosowanej dla ogłoszenia o przetargu.

Wszelkich informacji o przedmiocie przetargu udziela Wydział Rozwoju Gospodarczego Urzędu Miejskiego w Miastku, pokój nr 12 lub telefonicznie, tel. 0 59 857 – 0711.

CZYTELNIA

Philip Marlowe nie zestarzeje się nigdy

Krakowskie wydawnictwo Karakter wznowiło właśnie „Panią w jeziorze” Raymonda Chandlera w nowym tłumaczeniu Bartosza Czartoryskiego. Wydana w 1943 r. powieść nic nie straciła ze swej atrakcyjności.

Gdzie jest Crystal

Trwa wojna, na Pacyfiku Stany Zjednoczone walczą z Japonią, ale w Los Angeles życie toczy się po swojemu. Prywatny glina Philip Marlowe nie narzeka jednak na brak roboty i właśnie otrzymuje zlecenie, by odnaleźć żonę bogatego producenta perfum.

Gdzie jest Crystal Kingsley? Uciekła z kochankiem? Zaginęła? Nie żyje? Sprawa wydaje się prosta, ale kłopoty to w końcu zawodowa specjalność Marlowe'a. Pogrążone w narkotycznym śnie przedmieścia rozrastającej się metropolii i zwodniczo spokojna tafla jeziora w górskim kurorcie stanowią scenę kilku splątanych ze sobą przegranych ludzkich losów.

Marlowe sponiewierany

Mylili się ten, kto traktuje książki Chandlera jedynie jako kryminały. Tak naprawdę to przygnębiające moralitety o marności ludzkiej kondycji. Akurat w „Pani w jeziorze” ludzkiej podłości i kłamstwa jest stosunkowo mało. Niewiele jest też przemocy - Marlowe dostaje wycisk tylko raz, ale za to od policjanta i to solidnie. Pomniejszych urazów nawet nie warto liczyć.

Poza tym to najbardziej kobieca ze wszystkich jego powieści. Chandler niespecjalnie lubił płęć piękną i w „Pani w jeziorze” pozwolił sobie na ukazanie przewrotnej natury niewieścicy w niemal karykaturalnej formie.

Owa Crystal Kingsley, za którą Marlowe gania od Los Angeles po górskie jezioro w Puma Point, nie znalazła się na stronkach powieści bez powodu. Dodając do tego, że Crystal ma sobowtórę, można sobie wyobrazić patriarchalną mękę Chandlera przy wymyślaniu kolejnych odsłon tej historii.

Whisky i szachy

Za rozwiązanie sprawy Crystal Marlowe inkasuje od Kingsleya 500 zielonych stówek. Powstaje pytanie: czy warto było? Za oglądanie ludzkiej przewrotności, wysłuchiwanie kłamstw, wreszcie rozbitą głowę powinien dostać o wiele więcej.

Ale masochizm pisarstwa Chandlera polega właśnie na tym, że musi być niesprawiedliwie. Marlowe pocieszy się flaszką whisky, zagra ze sobą samym w szachy, przygarnie jakąś lalunię i świat na chwilę wróci do równowagi. A potem znów zadzwoni jakiś Kingsley i wynajmie go za grosze do rozwikłania kolejnej brudnej sprawy. W tym sensie Marlowe nie starzeje się nigdy.

grab



Raymond Chandler,
„Pani w jeziorze”,
wyd. Karakter,
Kraków 2023,
cena 42 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

OLAF LUBASZENKO
Pochwalił się

Do kin wszedł właśnie film „Bliscy”, w którym jedną z głównych ról gra Olaf Lubaszko. Aktor pojawił się na premierze i zaskoczył wszystkich swym wyglądem. Lubaszko schudł aż 80 kg. W krytycznym momencie ważył 165 kg. Lubaszko na bieżąco informował o swej walce z otyłością na Instagramie, a teraz pochwalił się efektami.

MICHAŁ WIŚNIEWSKI
Wywołał kontrowersje

W miniony wtorek wokalista Ich Troje obwieścił, że ponownie został ojcem. Tego dnia jego obecna żona Pola wydała na świat ich synka. Wiśniewski poinformował na Instagramie, że chłopiec otrzymał dwa imiona - Noël Cloé. Wiadomość ta rozjuszyła internautów, którzy od razu zaczęli wykpiwać ten wybór. Wiśniewski pozostał niewzruszony. Nic w tym dziwnego: wszystkie jego dzieci mają zachodnio brzmiące imiona: Xavier i Fabienne (z Mandaryną), Etienne i Vivienne (z Anną Świątczak) i Falco Amadeus (z obecną żoną Polą).

KATARZYNA DOWBOR

Nie stoi nad grobem

Kiedy niedawno media obiegała wiadomość, że popularna prezenterka została odsunięta od prowadzenia programu „Nasz nowy dom”, w internecie pojawiły się spekulacje, że wynika to z jej podeszłego wieku i złego stanu zdrowia. Dowbor postanowiła w końcu zareagować na te plotki. Zamieściła na Instagramie zabawny filmik, w którym demontuje te sugestie. - Informacje o moim złym stanie zdrowia, które pojawiają się w mediach, są absolutnie nieprawdziwe! Nie wiercie w to! Czy tak wygląda kobieta, która jedną nogą stoi nad grobem? - napisała do internautów.

PIOTR STRAMOWSKI

Ma książeczkę

Córka aktora i jego byłej żony Katarzyny Warnke ma już cztery lata. Podczas niedawnej rozmowy z Pudelkiem Stramowski opowiedział co nieco



Klaudia El Dursi umie z siebie żartować. - Stałam w kolejce po urodę, a nie po bystrość - oznajmiła

o małej Helence. - Teraz ma fazę na Else, totalnie. Oglądamy bajki, bardzo to lubimy. Córeczka bardzo lubi się wtedy przebierać. Zaznaczył jednak, że on sam nie uczestniczy w tych przebierankach.

CEZARY PAZURA

Zostanie teściem

Popularny aktor ma 34-letnią córkę ze swego pierwszego małżeństwa. Anastazja nie poszła w ślady sławnego ojca i zajęła się grafiką komputerową. Teraz aktor zdradził, że niebawem może wydać córkę za mąż. Kiedy „Fakt” zapytał go o chłopaka Anastazji, wypowiedział się o nim w samych superlatywach. - Spotykamy się na obiadach. Jesteśmy na „ty” z moim przyszłym zięciem. Lubimy się bardzo. Ja zresztą zawsze doceniam wybór mojej córki, bo to mądra osoba - powiedział. I dodał: - Teściem jeszcze oficjalnie nie jestem, ale kto wie, kto wie.

KLAUDIA EL DURSI

Stała po urodę

Prowadząca „Hotel Paradise” wspomniła w rozmowie z „Party” swoją maturę. Okazało się, że o mały włos, a nie zaliczyłaby jednego z egzaminów w terminie. - Na jedną maturę prawie się spóźniłam. Tam był dosłownie jakiś limit 30 sekund czy minuty, bo już te arkusze miały iść w ruch i byłby kłops. Ale udało się. Ja byłam dosyć dobrze przygotowana, dobre liceum, w miarę syste-

matyczna nauka - powiedziała. Reporter postanowił sprawdzić wiedzę celebrytki i spytał ile razy można odjąć 1 od 100. El Dursi nie wiedziała. - Ale mnie teraz wzięłeś. Ja stałam w kolejce po urodę, a nie po bystrość - skomentowała.

ANNA KALCZYŃSKA

Wie za co płaci

Córka znanej prezenterki miała niedawno kontuzję kolana i okazało się, że trzeba jej założyć ortezę. Mimo że Kalczyńska zarabia na pewno przyzwicie, postanowiła skorzystać z możliwości jej nabycia na NFZ. I okazało się, że to dobry pomysł. „Ta oto ortezę prywatnie kosztowałaby 750 zł. Zlecona przez lekarza z kontraktem NFZ - 60 zł. Tak że przynajmniej wiem, za co płacę składkę zdrowotną” - napisała na Instagramie. I podsumowała: „Przy okazji doceniam fakt korzystania z NFZ”.

TOMASZ KAMMEL

Nie zgrzyta

Popularny prezenter zorganizował niedawno na swym Instagramie serię pytań i odpowiedzi. Jedną z internatek zapytała go wtedy prowokacyjnie, czy nie odczuwa moralnego „zgrzytu”, pracując dla TVP. Dodała przy tym, że ceni i lubi prezentera. Kammel odpowiedział zdecydowanie: „Nic nie zgrzyta. Wszystko, co robię, jest zgodne z moim moralnym kompasem. Moment, w którym miałoby być inaczej, będzie oznaczał zamknięcie tego etapu”.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Ktoś roztoczy przed Tobą wizję łatwych pieniędzy. Horoskop dzienny ostrzega, że za tą świetlaną wizją mogą stać niebezpieczne pułapki.

Ryby (19.02 - 20.03)

Twoją energią dałoby się obdarować kilka osób. Horoskop na dziś mówi, że będzie Cię ona wręcz rozpierać...

Baran (21.03 - 19.04)

Horoskop dzienny na piątek mówi, że potrzebna Ci będzie umiejętność poszukiwania kompromisowych rozwiązań i łagodzenia sporów.

Byk (20.04 - 20.05)

Drugoplanowe role Ci nie grożą. Horoskop dzienny bardzo wyraźnie zapowiada, że staniesz w centrum uwagi.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Dzień w kratkę: białe, czarne, białe, czarne. Horoskop na dziś mówi, że huśtawka nastrojów i emocji nie przyniesie Ci niczego dobrego.

Rak (22.06 - 22.07)

Nie składaj obietnic, których realizacja obarczona jest ryzykiem niepowodzenia. Horoskop dzienny na piątek mówi, że ktoś Cię z nich rozliczy...

Lew (23.07 - 22.08)

Przed Tobą dobry dzień na zmiany. Horoskop dzienny wróży, że postanowisz wykorzystać te sprzyjające okoliczności. Ale nie rób rewolucji.

Panna (23.08 - 22.09)

Towarzyszyć Ci będzie mała stabilizacja. Horoskop na dziś mówi, że taki stan pozwoli ukończyć nadszarpnięte nerwy.

Waga (23.09 - 22.10)

Wróć dzisiaj myślami do wydarzeń z przeszłości. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że będą to bardzo miłe wspomnienia...

Skorpion (23.10 - 21.11)

Poświęć więcej niż zazwyczaj czasu swoim bliskim. Horoskop dzienny mówi, że nie pożałujesz ani jednej chwili.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Horoskop na dziś wyraźnie ostrzega, że Twoja skłonność do moralizowania i pouczania innych może przysporzyć Ci trochę problemów.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Nie „odpuszczaj” nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Horoskop dzienny na piątek mówi, że nic nie będzie w stanie Cię zatrzymać.

AKCJA SPECJALNA „DRZEWKO ZA SUROWCE WTORNE”

Cała Polska segreguje odpady. Akcja „Drzewko za surowce wtórne” udowodniła, że chcemy dbać o ekologię

Warszawa, Kielce, Łódź, Olsztyn, Lublin, Szczecin, Zielona Góra, Wrocław, Radom, Bydgoszcz i wiele innych miast w Polsce przyłączyło się do ogólnopolskiej akcji „Drzewko za surowce wtórne”. Przez ponad miesiąc mieszkańcy brali udział w niezwykle pozytywnej wymianie. Wystarczyło przynieść surowce wtórne lub elektrośmieci i otrzymać w zamian sadzonkę drzewa lub krzewu.

Akcja „Drzewko za surowce wtórne” została zorganizowana dzięki współpracy regionalnych redakcji z Grupy Polska Press oraz Lasów Państwowych. Głównym celem było promowanie ekologicznych zachowań, życia w zgodzie z naturą i segregacji odpadów. Zadanie było bardzo proste. Aby otrzymać sadzonkę wybranego drzewka lub krzewu, należało przekazać do wyznaczonego punktu niepotrzebną makulaturę, baterie, plastikowe butelki, aluminiowe puszki albo zużyty sprzęt elektryczny. Akcja trwała od 25 marca do 29 kwietnia, w różnych miastach naszego kraju.

Polacy chcą segregować odpady

Zainteresowanie akcją „Drzewko za surowce wtórne” zaskoczyło zarówno organizatorów, jak i samych mieszkańców, którzy czekali w długich kolejkach, by w bezpieczny sposób oddać surowce wtórne. Chętni z przyjemnością pozbywali się niepotrzebnych śmieci z domów. Byli przy tym spokojni, że oddają surowce w odpowiednim miejscu, z opcją recyklingu. Przy okazji skorzystali z drobnej nagrody - sadzonki drzewka lub krzewu. Rośliny pochodzą z regionalnych szkółek leśnych. Do wyboru były różne gatunki drzew, krzewów i kwiatów, m.in. azalia japońska, jodła koreańska, klon Dawida, pigwowiec japoński, świerk pospolity, żywotnik zachodni, dzika róża czy czereśnia ptasia. Dzięki wydarzeniu mieszkańcy mogli także dowiedzieć się, jak wygląda drzewostan w poszczególnych regionach Polski oraz jakie działania podejmują Lasy Państwowe, żeby dbać o naturę i edukować o ekologię.

Przy tym wszystkim nie brakowało uśmiechu na twarzach nowych posiadaczy sadzonek. Mieszkańcy dumnie opowiadali o tym, jakie śmieci oddali i które sadzonki wybrali jako nagrodę za udział w akcji. - Dwa stare komputery, monitor, zużyte baterie, głośniki, to co znalazłem, to przywiozłem. Było na strychu, to za bardzo nie przeszkadzało, ale chętnie się tego pozbędę - przyznał Witold Miłoszewski, który wziął udział w akcji zorganizowanej w Zielonej Górze. Pan Witold posadził otrzymane drzewko na swojej działce.

Więcej śmieci w koszach = mniej śmieci w lasach

Według najnowszych danych opublikowanych przez Główny Urząd Statystyczny, przeciętny



mieszkaniec Polski produkuje rocznie ponad 358 kg śmieci. Niestety, recykling wciąż kuleje, a jego wskaźnik od lat jest niemal na tym samym poziomie. W 2021 roku zaledwie 26,9% zebranych odpadów komunalnych poddano odzyskowi - podaje GUS. Dane te pokazują, że akcje promujące recykling są niezwykle ważne i potrzebne w naszym społeczeństwie. Wysoka frekwencja udowodniła, że jesteśmy zmobilizowani do działań w trosce o środowisko. Za akcją „Drzewko za surowce wtórne” stała przede wszystkim myśl proekologiczna, bo, jak podkreślają Lasy Państwowe, im więcej śmieci odbierzemy podczas akcji, tym mniej znajdziemy ich później w lesie.

- Dbanie o środowisko to nasza wspólna misja. Każdy z nas powinien starać się żyć bardziej ekologicznie i w zgodzie z naturą. Dzięki tego typu akcjom proekologicznym możemy w bezpieczny sposób pozbywać się niechcianych odpadów, makulatury, plastiku oraz zużytego sprzętu ekologicznego. Tym samym dokładamy swoją cegiełkę do budowania odpowiedzialnego społeczeństwa - powiedział Michał Gzowski, Rzecznik Lasów Państwowych.

Tony makulatury, tysiące elektrośmieci

Mieszkańcy miast biorących udział w akcji dali dowód swojemu zaangażowaniu i mobilizacji w imię czystego środowiska. Do punktów przynoszone były przeróżne rzeczy - stare komputery, roboty kuchenne, elektryczne zabawki, ładowarki, piloty, drukarki, żelazka, ale też nakrętki, plastikowe butelki, mnóstwo papieru i żarówek. Udało się zebrać całe tony makulatury i elektrośmieci, które zostały poddane odpowiedniej segregacji i utylizacji. W zamian rozdano tysiące sadzonek, o których na miejscu opowiadali przedstawiciele Lasów Państwowych.

- Dla nas akcja „Drzewko za makulaturę” była świetną okazją, aby zaszczepić, szczególnie u młodych osób, postawy proekologiczne. Prowadzimy edukację przyrodniczą. Zwracamy szczególną uwagę na właściwe postawy i zachowanie w lesie. Chcemy też zdecydowanie ograniczyć zjawisko wyrzucania śmieci do lasów. Ten proceder stale ma miejsce. Nie ma dnia, żebyśmy w lesie nie znaleźli zużytego sprzętu, jak lodówki, telewizory, pralki, drobne śmieci. Nadleśnictwo wydaje nawet 250 tys. złotych rocznie na sprzątanie śmieci. Wierzę, że dzięki edukacji możemy ten



proceder ograniczyć do minimum - mówił Krystian Kowalczyk, rzecznik Nadleśnictwa Ostrołęka. W zaledwie kilka godzin mieszkańcy Poznania oddali ponad 20 tysięcy plastikowych nakrętek i niemal 1,1 tysiąca butelek PET. Na medal spisała się także Ostrołęka. Udało się zebrać 385 kg makulatury, 82 kg plastiku (w tym dwa pojemniki po 120 litrów plastikowych korków), a także 212 kg elektrośmieci. Urzędnicy łódzkiego Urzędu Statystycznego oddali 30 kilogramów baterii. Otrzymane drzewka posadzili przy budynku urzędu. Brawa należą się także mieszkańcom Lublina, którzy w jeden dzień oddali ponad 6 ton makulatury i 2,5 tony elektrośmieci.

Ekologicznie od dziecka

Wydarzenie, poza myślą ekologiczną, niesło również wartości edukacyjne, przede wszystkim dla dzieci. Niezwykle ważne jest, aby uświadamiać najmłodszym, że wspólnie musimy dbać o przyrodę, szczególnie poprzez małe gesty. Młodych przyrodników podczas wydarzenia wcale nie brakowało! Specjalnie dla nich zorganizowano mnóstwo atrakcji, zabaw oraz animacji. Było malowanie buziek, zajęcia plastyczne z wykorzystaniem surowców wtórnych, pokazy baniek mydła-



nych i wspólne śpiewanie piosenek. Dzieci chętnie brały udział w ekologicznej rywalizacji polegającej na wrzucaniu do worków recyklingowych odpowiednich śmieci.

Segreguj odpowiedzialnie

Przypominamy, że pojemniki do segregacji śmieci łatwo rozpoznać, są oznaczone odpowiednimi kolorami. Zielone kosze przeznaczone są na szklane butelki po napojach, słoiki czy szklane opakowania po kosmetykach. Przed umieszczeniem ich w koszu nie trzeba ich myć, wystarczy opróżnić. Pojemniki w kolorze niebieskim przeznaczone są na papier biurowy i pakowy. Wrzucamy do niego wyłącznie gazety, ulotki, książki, zeszyty, opakowania tekturowe czy kartony. Przed wyrzuceniem należy je zgnieść.

Z kolei do żółtych pojemników na metale i tworzywa sztuczne można wyrzucić np. opakowania

po produktach spożywczych, kartony po mleku i napojach, resztki żywności, obierki owoców i warzyw, pieczywo, pozostałości roślinne, przeterminowane owoce i warzywa. Odpady należy umieścić w koszu luzem - bez opakowań. Czarne pojemniki są przeznaczone na odpady zmieszane. Można w nich umieszczać pozostałe odpady reszkowe.

O tym, że warto i należy każdego dnia selekcjonować odpady, przypominają regularnie różne kampanie edukacyjne i akcje, które zachęcają Polaków do proekologicznych działań i dbania o naszą planetę. Ogólnopolska akcja „Drzewko za surowce wtórne”, która trwała kilka tygodni, była jedną z nich.

Partner Strategiczny Ogólnopolski



Lasy Państwowe

W sobotę w Kwakowie XX Bieg Olimpijski



FOT. ARCHIWUM PRZESZŁOŚĆ POKROKOWSKI

Ubiegłoroczna edycja była pierwszą po dwuletniej przerwie spowodowanej pandemią

Krzysztof Głowinkowski
krzysztof.glowinkowski@gp24.pl

W sobotę odbędzie się jeden z najpopularniejszych biegów w naszym regionie. Organizatorzy zapraszają na XX jubileuszowy Bieg Olimpijski Kwakowo 2023.

Dystans biegu to ok. 5 km zróżnicowanej nawierzchni (trawista, asfaltowa, bruk) na trasie Kwakowo - Komiłowo - Kwakowo.

Początek wydarzenia zaplanowana na godz. 11 na boisku sportowym w Kwakowie. Organizatorzy zadbali również o dojazd na to sportowe wydarzenie. O godz. 10.30 spod ratusza w Słupsku wyjedzie specjalny autobus, który dowiezie wszystkich chętnych.

Zwycięzcy z trzech kategorii wiekowych (szkoły podstawowe i ponadpodstawowe oraz open) otrzymają puchary i nagrody rzeczowe ufundowane przez Marszałka Województwa Pomorskiego. Każdy uczestnik otrzyma posiłek, napój oraz upominek i pamiątkowy dyplom. Wśród wszystkich, którzy ukończą bieg, zostaną rozlosowane nagrody rzeczowe (rowery górskie i sprzęt sportowy) niezależnie od zajętego miejsca.

Uczestnicy indywidualni mogą startować w biegu bez zapisów. Bieg odbędzie się bez względu na warunki atmosferyczne. Imprezie patronuje Polski Komitet Olimpijski.

Uczestnicy indywidualni mogą startować w biegu bez zapisów. Bieg odbędzie się bez względu na warunki atmosferyczne. Imprezie patronuje Polski Komitet Olimpijski.

Pobiegną o Puchar Komendanta

Sylwia Lis
sport@gp24.pl

Rozpoczęły się zapisy na ósmą edycję Biegu i Marszu Nordic Walking o Puchar Komendanta Powiatowego Policji w Bytowie.

To już kolejna, ósma edycja Biegu i Marszu Nordic Walking o Puchar Komendanta Powiatowego Policji w Bytowie. Impreza sportowa odbędzie się 24 czerwca 2023 r. (sobota) o godzinie 10.00 w miejscowości

Płotowo - Zagroda Styp-Rekowskich. Zapisy na bieg już trwają. Warto się pospieszyć, gdyż liczba miejsc jest ograniczona.

Biuro zawodów będzie czynne w dniu imprezy od godziny 8.00. Impreza ma charakter integracyjno-rekreacyjny, a jej organizatorem jest Gminny Klub Sportowy Myśliwiec, Parafia pw. Świętego Filipa Neri w Bytowie oraz NSZZ Policjantów województwa pomorskiego. Organizatorzy zapraszają do udziału wszystkich

preferujących aktywny wypoczynek. Na imprezę w Płotowie można przyjechać z całą rodziną, gdyż połączona jest z festywnym, na uczestników którego czeka mnóstwo niespodzianek.

Dodajmy, że w czasie trwania imprezy, funkcjonariusze z Bytowa będą promować zawodów policjanta. Każdy będzie mógł zajrzeć między innymi do policyjnego namiotu, pod którym mundurowi zaprezentują swoje wyposażenie i sprzęt.

PIŁKARSKI WEEKEND

Pomorska IV liga

Sobota: Powiśle Dzierzgoń - Bytovia Bytów (godz. 16.00), Gryf Słupsk - Czarni Pruszcz Gdański (17.00), Jaguar Gdańsk - Anioły Garzegorze (17.00), Pomezania Malbork - Sparta Sycywiec (17.00). Niedziela: AS Kolbudy - Jantar Ustka (13.00).

Klasa okręgowa

Piątek: GTS Czarna Dąbrówka - Gryf II Słupsk (godz. 18.30). Sobota: Piast Człuchów - Myśliwiec Tuchomie (14.00), Czarni Czarne - Brda Przechlewo (15.00), Start Miastko - Sokół Wycechy (15.00), Skotawia Dębica Kaszubska - MKS Debrzno (16.30), Garbarnia Kępice - Dolina Sperenda Niepogledzie (17.00), KS Włynkówko - Unison Machowino (17.00).

Niedziela: Leśnik Cewice - Kaszubska Studzienice (13.30).

Klasa A

Grupa 1.

Sobota: Polonez Bobrowniki - Lew Łębork (17.00), Słupia Kobylnica - Echo Biesowice (17.00), Sokół Szczyrkowice - Barton Barcino (17.00). Niedziela: Granit Kończewo - Stal Jezierzycze (14.00), Diament Trzebielino - KS Damnica (15.00).

Grupa 2.

Sobota: Kaszubska II Studzienice - LKS Łębunia (17.15), Urania Udorpie - Zawisza Borzytuchom (18.00). Niedziela: Victoria Dąbrówka - Magic Niezabyszewo (12.00), Grom Nakła - Orkan

Gostkowo (17.00), Granit Koczala - Błękitni Motarzyno (17.30), Lider Rychnowy - Zenit Redkowice (18.00).

Klasa B

Grupa 1.

Niedziela: Start Łebień - Victoria Słupsk (11.00), Rowokół Smoldzino - Szansa Siemianice (13.00), KS Zaleskie - Sokół Kuleszewo (14.00), Start Łeba - Błękitni Tychowo (14.00).

Grupa 2.

Sobota: Lipniczanka Lipnica - GKS Kolczygłowy (17.00). Niedziela: WKS Nożyno - Skotawa Budowo (12.00), Słupia Sulęcino - KS Bytów (14.00), Sparta Konarzyno - Baza 44 Siemirovice (14.00). **(jak)**

Kto dogoni Dudka? Sześć goli daje prowadzenie.

Maurycy Brzykcy
sport@gp24.pl

PIŁKA NOŻNA. Lider majowej klasyfikacji strzelców rankingu „Piłkarskie Orły” powiększa swoją przewagę. Kto zatrzyma snajpera Kluczewia Stargard?

Przypomnijmy: „Piłkarskie Orły” to konkurs wyłaniający najlepszych strzelców biorących udział w krajowych, zawodowych rozgrywkach ligowych na poziomie: ekstraklasy/ekstraligi, I, II, III, IV ligi oraz w Pucharze Polski, a także bramek zdobytych w europejskich pucharach. Zdobywane bramki mają zróżnicowaną wagę - w zależności od rangi rozgrywek: dla ekstraklasy/ekstraligi - wynosi 2; dla I ligi - 1,75; dla II ligi - 1,5; dla III ligi - 1; dla IV ligi - 0,625; dla Pucharu Polski - 2;

dla europejskich pucharów - 2,5.

Jak na razie w 2023 roku, w poszczególnych miesiącach triumfowali zawodnicy obecnie lub w przeszłości związani z Pogonią Szczecin. W lutym byli to Kamil Grosicki oraz Luka Zahovic, obecne gwiazdy Portowców; w marcu był to Adam Frączczak, który dla Pogoni grał prawie przez dekadę (obecnie Frączczak strzela dla Kotwicy w II lidze), z kolei w kwietniu ponownie najlepszy był „Grosik”, który tytułem najlepszego w tym miesiącu podzielił się z Alexandrem Gorgonem. Pomocnik Pogoni w maju strzelił tylko jednego gola (podobnie jak koledzy Damian Dąbrowski, Mateusz Łęgowski czy Wahan Bichakhchyan) i trudno będzie mu dogonić lidera majowej klasyfikacji „Piłkarskich Orłów”. A tym jest od jakiegoś czasu Kacper Dudek. Zawodnik Pol-

Partner Strategiczny ORLEN

TOP MAJA
STRZELCY
POMORZA ZACHODNIEGO

*stan na 18.05.23, godz. 08:00

MIEJSCE	ZAWODNIK	LICZBA BRAMEK	KLUB	LIGA	PUNKTY ŁĄCZNIE
1	KACPER DUDEK	6	KLUCZEWIA STARGARD	IV	3,75
2	DAMIAN DĄBROWSKI	1	POGOŃ SZCZECIN	Ekstraklasa	2,00
2	KAMIL GROSICKI	1	POGOŃ SZCZECIN	Ekstraklasa	2,00
2	MATEUSZ ŁĘGOWSKI	1	POGOŃ SZCZECIN	Ekstraklasa	2,00
2	VAHAN BICHAKHCHYAN	1	POGOŃ SZCZECIN	Ekstraklasa	2,00
6	DAMIAN MOSIEJKO	3	WARDIA KOSZALIN	IV	1,875
6	DANIEL KOWALCZYK	3	CHEMIK POLICE	IV	1,875
8	KAMIL BARTOŚ	1	KOTWICA KOŁOBRZEG	II	1,50

FOT. PIŁKARSKIE ORŁY

Po raz pierwszy w 2023 roku wygrać klasyfikację może zawodnik z IV ligi

ski Cukier Kluczewia Stargard strzelił w maju już sześć goli. W ostatniej kolejce Kluczewia, wicelider IV ligi, wygrał 3:0 z Hutnikiem Szczecin. Dudek otworzył wynik meczu już 4. minucie. W weekend Kluczewia podejmuje Mechanika Bobolice. Do Floty Świnoujście, lidera tabeli, stargardzianie tracą pięć punktów.

Portowcy, by wygrać w majowej klasyfikacji „Piłkarskich Orłów” potrzebują strzelić przynajmniej dwa gole, jako że przelicznik ekstraklasy do IV ligi jest prawie dwa razy większy. A Pogoń w najbliższej kolejce wybiera się do Zabrza na mecz z Górnikiem. Do końca sezonu pozostały dwie kolejki i kwestia brązowego medalu nadal jest w rękach Portowców. W ostatniej kolejce zespół trenera Jensa Gustafssona walczyć będzie u siebie z Radomiakiem Radom.



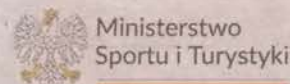
Ranking

Patronat Honorowy

Partner Strategiczny

Partner Merytoryczny

Patronat Medialny



TVP SPORT

TVP INFO

Program Olimpia to nowe otwarcie. Dzięki niemu wynosimy dostępność sportowej infrastruktury w całej Polsce na zupełnie inny poziom

Rozmowa z ministrem sportu i turystyki Kamilem Bortniczukiem

Ministerstwo Sportu i Turystyki jest niezwykle aktywne na polu popularyzacji i upowszechniania sportu. W czwartek, 18 maja, ogłosiliście wyniki pierwszego naboru do Programu Olimpia, dzięki któremu powiększy się krajowa baza obiektów sportowych.

Kamil Bortniczuk: - W ramach zakończonego właśnie pierwszego naboru dofinansujemy budowę aż 360 hal przyszkolnych łączną kwotą 730 154 942 złotych. Budowy pierwszych kilkudziesięciu hal możemy spodziewać się jeszcze w tym roku. Nie mam wątpliwości, że to największy sportowy program infrastrukturalny w historii Polski.

Zakończenie pierwszego naboru sugeruje, że będą kolejne tury przyjmowania wniosków?

Jak najbardziej. To konsekwentne wypełnienie deklaracji, którą złożyłem w marcu bieżącego roku. Biorąc pod uwagę sukces pierwszego naboru do Programu Olimpia, już teraz zapowiadamy drugi nabór. Wnioski na realizację przyszkolnych hal z Programu Olimpia będzie można składać już od 1 czerwca 2023 roku.

Do kogo kierowany jest Program Olimpia?

Program kierujemy bez wyjątku do wszystkich jednostek samorządu terytorialnego. Jeszcze raz podkreślę - wszystkich, bowiem ostatecznie, po programie pilotażowym przeprowadzonym w 2022 roku, zdecydowaliśmy się nie ograniczać w żaden sposób wielkości jednostek samorządu, które mogą ubiegać się o dofinansowanie.

Doprecyzujmy - do Olimpii mogą zgłosić się gminy oraz powiaty nie tylko wiejskie czy wiejsko-miejskie, ale również miejskie.

Tak, także te z największych miast w Polsce. Nabór odbędzie się na identycznych zasa-



Kamil Bortniczuk: - Dysponujemy na ten cel budżetem w wysokości 2 miliardów złotych i takie środki mamy zagwarantowane na najbliższe 2 lata

dach jak w pierwszej turze. Przy ocenie będziemy rozstrzygać, w której lokalizacji hala jest bardziej potrzebna i w której w sposób bardziej efektywny spełni swoją społeczną rolę. Jeszcze raz podkreślę nasze duże możliwości budżetowe, dlatego nieustannie zwracam się do wszystkich samorządowców z zaproszeniem do wypełniania wniosków i udziału w drugim naborze do Programu Olimpia. Jako Ministerstwo Sportu i Turystyki przyznajemy dotacje w wysokości 70 procent wartości projektu, zatem po stronie samorządu pozostaje zabezpieczenie jedynie 30 procent środków inwestycyjnych. Pamiętajmy, że mówimy o obiektach stosunkowo tanich i prostych w budowie. Oczywiście, w ramach Programu Olimpia można będzie wybudować pełnowymiarową halę o polu gry

20x40 metrów, ale można też będzie budować mniejsze sale. Takie też mieliśmy sygnały z wielu samorządów, że w mniejszym szkółkach w zupełności wystarczą mniejsze sale. Takie też są często uwarunkowania związane choćby z posiadanym gruntem przy szkole. Co ważne, w ramach Programu można też wnioskować o zadaszenie istniejących już boisk, co nada im walor całoroczności. A to z kolei spowoduje, że w zimie, po dogrzaniu, boiska te będą miały pełną funkcjonalność sali gimnastycznej, latem zaś - po podniesieniu ruchomych boków - de facto zmienią się w przewiewne boiska, jakby przykryte parasolem chroniącym przed warunkami atmosferycznymi.

Rozumiem, że chętni muszą - oprócz wkładu własnego - dysponować terenem.

Chcę jeszcze raz wyraźnie podkreślić, że mówimy o salach przyszkolnych. To jest bardzo ważny element, warunek wręcz podstawowy każdego naboru. Zainteresowany podmiot musi wykazać się prawem dysponowania nieruchomością, czyli terenem. Naprawdę wychodzimy frontem do samorządowców, bo wiemy, jak pilna jest potrzeba zapewnienia odpowiedniej infrastruktury przy polskich szkołach. Myślę, że ten projekt nada z perspektywy jednostek samorządu terytorialnego - zupełnie nowe oblicze projektom rządowym.

Ile konkretnie ministerstwo ma w puli na Program Olimpia i ile kosztuje jedna hala? Spre-cyzujmy, aby wszyscy wiedzieli, ile konkretnie wynosi to wymagane 30 procent wkładu własnego.

Dysponujemy na ten cel budżetem w wysokości 2 miliardów złotych i takie środki mamy zagwarantowane na najbliższe 2 lata. W tym roku mamy do dyspozycji 800 milionów złotych, a na rok 2024 - z racji, iż jest to program przyjęty uchwałą Rady Ministrów, więc jego założenia są wiążące dla Ministra Finansów przy konstruowaniu przyszłorocznego budżetu - 1,2 miliarda złotych. Z naszych szacunków wynika, że powinno to wystarczyć na budowę ponad tysiąca takich obiektów w całej Polsce. Koszt budowy pełnowymiarowej hali - choć pamiętajmy, że możliwa jest też budowa hal mniejszych i tańszych - z pełnym zapleczem sanitarnym, szatniami, węzłem grzewczym oraz łącznikiem ze szkołą, według najnowszych wyliczeń nie powinien przekroczyć 4 milionów złotych. A to oznacza, że kwota maksymalnego

dofinansowania na poziomie 70 procent inwestycji może wynieść 2,8 mln złotych. Takie obiekty, gdzie w szkole już istnieje na przykład szatnia i sanitariaty, albo istnieje kotłownia, będą oczywiście generowały znacznie mniejsze koszty.

Na pewno robiliście symulacje, w jakim mniej więcej czasie hala będzie zbudowana.

To już jest oczywiście zależne od sprawności samorządu, ponieważ dłużej od samej budowy trwa proces przygotowania inwestycji, czyli przygotowania dokumentacji czy uzyskania pozwolenia na budowę. Szacujemy, że postępowanie przetargowe powinno się zamknąć w okresie około 3 miesięcy, natomiast sama budowa hali to okres 2 miesięcy od momentu wejścia na plac budowy. Maksymalnie, bo zdarzają się znacznie szybsze realizacje. To są naprawdę proste konstrukcje, które składa się z klocków, w ekspresowym tempie. Dlatego nie mam wątpliwości, że jeszcze w tym roku powstanie pierwszych kilkadziesiąt hal. Tym samym chcę podtrzymać deklarację naszej determinacji w realizacji Programu Olimpia, dopóty, dopóki każda polska gmina nie wybuduje w pełni funkcjonalnej hali sportowej przy każdej polskiej szkole.

Dlaczego program nazwany został Olimpia?

Olimpia to nazwa symboliczna, właśnie dlatego, że program jest realizowany w latach 2023-24. Zatem jego finał został przewidziany na czas, w którym przypada stulecie polskich występów na igrzyskach olimpijskich. W przyszłym roku rozgrywane będą Igrzyska Olimpijskie w Paryżu. To właśnie w Paryżu, równo przed stu laty, reprezentacja Polski zadebiutowała w rodzinie olimpijskiej, a nasi sportowcy zdobyli pierwsze medale. Jest to więc symboliczne spięcie kłamrą stulecia polskich występów na igrzyskach olimpijskich i odegrania Mazurka Dąbrowskiego polskim sportowcom. Stąd właśnie Olimpia.

Rozmawiał Adam Godlewski

Ponad 730 mln zł
dofinansowania na budowę
360
przyszkolnych hal sportowych

Kolejny nabór!
Już 1 czerwca 2023 r. start drugiego naboru do Programu Olimpia.
Czekamy na Twój wniosek!

PIŁKA NOŻNA JOSEP GUARDIOLA POBIŁ REKORD 100 NAJSZYBSZYCH ZWYCIĘSTW W LIDZE MISTRZÓW

Manchester kontra Inter w finale!

Redakcja
redakcja@polskapress.pl

Szymon Marciniak mógłby prowadzić wykłady, jak radzić sobie z najtrudniejszymi boiskowymi charakterami.

Podczas rewanżowego meczu półfinału Ligi Mistrzów Manchester City H Real Madryt (4:0) już na początku spotkania polski arbiter musiał utemperować zapędy Erlinga Haalanda. Z ust Marciniaka ponoć padł bardzo konkretny komunikat...

O tej sytuacji dużo pisały angielskie media, które finalnie pochwały pracę Polaka w meczu Manchester City - Real Madryt. Nie oznacza to, że tego wieczoru miał... mało pracy. Wręcz przeciwnie. Od początku musiał zachować koncentrację, bowiem stawką meczu był wielki finał Ligi Mistrzów. Do spięcia na linii Szymon Marciniak - Erling Haaland doszło w 6. minucie. Norweg zareagował tak na faul Toniego Kroosa na jego koledze Bernardo Silvie. Marciniak użył gwizdka, wskazując na rzut wolny dla gości, choć wcześniej



Do spięcia na linii Szymon Marciniak - Erling Haaland doszło na samym początku spotkania. Reakcja polskiego arbitra była bardzo wymowna, studząc gniew Norwega

wyglądało na to, że stały fragment gry otrzymają gospodarze (wówczas jednak zastosował korektę).

Do Marciniaka podbiegł wściekły Haaland, który coś powiedział polskiemu sędziemu. Powtórki nie wskazują jednoznacznie na treść komunikatu, jednak reakcja arbitra była bar-

dzo wymowna. Cały się spiął i właściwie skrzyczał piłkarza. Haaland po chwili odbiegł i skupił się na grze.

Jak podaje były międzynarodowy sędzia, a obecnie ekspert Rafał Rostkowski, Haaland grubo przesadził. Według jego informacji Marciniak odskoczył do piłkarza: Powtórz to jesz-

cze raz, to wyrzucę cię z boiska! Tej informacji nie udało się jednak oficjalnie potwierdzić.

Nie można też niczego znaleźć w protokole meczowym, sędzia z Płocka bowiem nie ukarał napastnika kartonikiem. W sumie Szymon Marciniak pokazał pięć żółtych kartek. Po pierwszą sięgnął dopiero

w 50 minucie: wcześniej napominał słownie, ostrzegał, apelował o grę fair.

Nasz eksportowy arbiter tylko raz zasięgnął wiedzy u kolegów z VAR-u. Niecały kwadrans przed końcem spytał Tomasa Kwiatkowskiego i Bartosza Frankowskiego o potencjalny ofsajd przy trzeciej bramce dla Manchesteru. Gdy otrzymał potwierdzenie, że akcja wyszła „czysto”, od razu wskazał na środek boiska.

Czy po tak znakomitym występie Marciniak zagwiżdże również w finale Manchester City - Inter Mediolan 10 czerwca w Stambule? To niestety wątpliwe. - Oczywiście stuprocentowej pewności mieć nie możemy, ale byłoby to jednak zaskakujące. UEFA nie praktykuje bowiem takich sytuacji, by po półfinale arbiter dostał jeszcze finał - mówi Rafał Rostkowski

Wracając na boisko, należy przypomnieć, że „The Citizens” dotarli do finału najważniejszych klubowych rozgrywek po raz drugi w ciągu trzech lat. Do 2021 roku Manchester City

nigdy nie dotarł do finału Ligi Mistrzów. Z kolei tak wysoko Real Madryt nie przegrał w najbardziej prestiżowych europejskich rozgrywkach klubowych od 14 lat!

Trener Manchesteru City Josep Guardiola pobili rekord 100 najszybszych zwycięstw w Lidze Mistrzów jako coach. Hiszpański szkoleniowiec odniósł 100 zwycięstw w Champions League w zaledwie 160 meczach. To nowy rekord rozgrywek. Wcześniej rekord należał do trenera Realu Madryt Carlo Ancelottiego, któremu udało się osiągnąć ten wynik w 180 spotkaniach.

Z kolei włoski szkoleniowiec „Królewskich” pobili rekord sir Alexa Fergusona w liczbie występów w Lidze Mistrzów jako trener. Dla Włocha mecz rewanżowy z City był 191. w jego karierze w Champions League. Przypomnijmy, że drugim finalistą piłkarskiej Ligi Mistrzów jest Inter Mediolan, który wyeliminował AC Milan 1:0. Wielki finał rozgrywek Champions League odbędzie się 10 czerwca w Stambule.

Wyprzedził gwiazdy światowego formatu, Richarlisona i Payeta

Filip Bares
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Rok temu mało kto znał Marcina Oleksego. Dziś telefon nie przestaje mu dzwonić. Amp futbolista Warty Poznań wygrał w lutym plebiscyt FIFA na najładniejszą bramkę roku.

Oleksy wygrał plebiscyt FIFA Puskas Award i stał się popularną postacią w polskiej oraz światowej piłce. - Chciałbym odebrać telefon od wszystkich, ale po prostu nie jestem w stanie - powiedział nam Oleksy.

Był 20 listopada 2010 r. Na Szosie Kisielińskiej w Zielonej Górze trwały prace drogowe. W pewnym momencie jednego z robotników potrącił 81-letni kierowca malucha. Poszkodowany to Marcin Oleksy - 23-latek, były bramkarz czwartoligowej Korony Koźuchów, wychowanek Arki Nowa Sól. Pół roku wcześniej zawiesił buty na kołku, aby skupić się na pracy. Ówczesny trener zespołu z Koźuchowa, Andrzej Sawicki, liczył jednak, że Marcin wróci między słupki. Plany pokrzyżował wspomniany wypadek, w wyniku którego



Marcin Oleksy to pierwszy polski triumfator nagrody im. Puskasa przyznawanej za najpiękniejszego gola roku

piłkarz stracił nogę. - Na boisku, jeśli chodzi o umiejętności bramkarskie, to był naprawdę duży talent. Na pewno stać go było na grę w wyższej klasie niż IV liga i mówię to bez kurtuazji. Świetnymi interwencjami potrafił nam wygrywać mecze. Był bardzo mocnym punktem naszego zespołu - mówił w 2010 r. „Gazecie Lubuskiej” szkoleniowiec Korony.

W prestiżowym głosowaniu Oleksy pokonał gwiazdy światowego formatu: Brazylijczyka Richarlisona z Tottenhamu

i Francuza Dimitri Payeta z Marsylii, z którymi stanął do wspólnego zdjęcia przed rozpoczęciem gali.

Głosujący docenili trafienie Oleksego z ligowego meczu amp futbolu między Wartą a Stalą Rzeszów. Poruszający się o kulach reprezentant Polski uderzył z prawej nogi - nożycami. Lewą stracił w nieszczęśliwym wypadku. Nigdy wcześniej Polak nie otrzymał Nagrody Puskasa. Ledwie raz nominację otrzymał Robert Lewandowski. ©©

PARTNEREM CYKLU JEST PKN ORLEN

0010808318

Bartosz Zmarzlik na podium ORLEN FIM Speedway Grand Prix of Poland

Fantastyczne pojedynki, niesamowity doping widowni, emocje do ostatnich metrów finałowego biegu, wreszcie podium naszego najlepszego żuźlowca - tak w wielkim skrócie można opisać przebieg Grand Prix Polski na PGE Narodowym w Warszawie.

Bartosz Zmarzlik wreszcie odczarował „Narodowy” i stanął na podium naszej sztandarowej imprezy w speedway’u. Zawodnik ORLEN Team miał nawet realne szanse na zwycięstwo w tym turnieju, ale zabrakło mu dosłownie kilkunastu centymetrów...

Jednak turniej nie rozpoczął się dla naszych zawodników optymistycznie. Podczas upadku w kwalifikacjach urazu kręgosłupa doznał Dominik Kubera, którego czeka teraz dłuższa przerwa w startach. Natomiast Bartosz Zmarzlik upadł w swoim pierwszym biegu, za co został wykluczony z powtórki. Drugi start Polaka również nie należał do udanych, ale z czasem trzykrotny mistrz świata zaczął się rozkręcać



i jeździł coraz skuteczniej, dzięki czemu zameldował się w czołowej ósemce. W biegu półfinałowym jego rywalami byli: Jack Holder, Martin Vaculik oraz Tai Woffinden. Najszybciej spod taśmy ruszył Holder, który błyskawicznie odskoczył od rywali i to on dojechał do mety na pierwszym miejscu. Za jego plecami rozegrała się zażarta walka o drugą lokatę, premiowaną startem w wielkim finale. Początkowo najbliższy celu był Woffinden, ale na drugim okrą-

żeniu Zmarzlik zaatakował i wyprzedził Brytyjczyka.

W wielkim finale, oprócz Holdera i Zmarzlika, wystąpili Jason Doyle oraz Fredrik Lindgren. Niestety, start nie udał się Polakowi, który musiał atakować rywali z ostatniej pozycji. Jedna z akcji przyniosła pożądany efekt i Zmarzlik awansował na trzecią lokatę, jednak podczas wyprzedzania doszło do kontaktu z Doyle’em, który zaliczył upadek. Wyścig przerwano, a sędzia uznał winę Australijczyka. W tych okolicznościach Doyle został wykluczony, a ponowny start odbył się w trzysobowym składzie. To, co działo się chwilę później, na długo pozostanie w pamięci zawodników i fanów speedway’a. Spod taśmy najszybciej ruszył Lindgren, a Zmarzlik toczył nieprawdopodobny pojedynek z Holderem. Ostatecznie wygrał Szwed, a o kolejności Australijczyka i Polaka musiała zdecydować fotokomórka. Minimalnie szybszy okazał się Holder, ale Zmarzlik mógł się cieszyć z pierwszego w karierze podium na PGE Narodowym.

ŁAZIENKA. Kuchnia SALON?

FIMAL®



Z NAMI
**ZAPROJEKTUJESZ
KAZDE WNETRZE**

Projekt koncepcyjny **JEST USŁUGĄ DARMOWĄ** do zakupów w marketach Fimal.
Szczegółowe informacje dostępne w markecie Fimal Słupsk, ul. Bałtycka 3